

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

BIULETYN IPN

CENA 8 ZŁ (W TYM 8% VAT) ■ NR 12 (241) GRUDZIEŃ 2025



GRUDZIEŃ '70

ś t p

MIROSLAW CHOJECKI

1 IX 1949 – 10 X 2025



SPIS TREŚCI

GRUDZIEŃ '70

Piotr Brzeziński – Grudzień '70 w Trójmieście	3
Daniel Wicenty – Grudzień 1970. Pamięć, skutki i paradoksy	17
Kinga Hałacińska – Przystąpić do grzebania zmarłych od dziś	24
18 grudnia 1970 r. – po 4 dniach protestów – Trójmiasto zostało całkowicie spacyfikowane, ale władza wciąż obawiała się, że robotnicze wystąpienia z Wybrzeża rozleją się po całą Polskę. Robiła wszystko, by je powstrzymać.	
Artur Cieślik – Pomnik Poległych Stoczniovców 1970 Pamięć – przestroga – nadzieja	42
Artur Kubaj – Nierozliczone zbrodnie rodzą złe owoce Grudzień '70 w Szczecinie	58
Tomasz Czapla – „Strzelać! Strzelać! Rozkazuję wam strzelać!” Grudzień '70 w Elblągu	70
Paweł Miedziński – Antypochód Szczecińska manifestacja pierwszomajowa '71 w fotografiach	81

Adam Hlebowicz – Wypadki czy masakra grudniowa? 88

Określenia ważnych wydarzeń ukute przez propagandę systemu totalitarnego czasem funkcjonują nadal w odmienionej sytuacji politycznej. Jednym z najbardziej zauważalnych, a zarazem bolesnych przykładów jest trwanie przy nazywaniu Grudnia '70 wypadkami, zajściami, wydarzeniami.

SYLWETKI

ks. Jarosław Wąsowicz SDB – Strażnik
pamięci ofiar Grudnia '70

Ks. Hilary Jastak (1914–2000)97

Łucja Marek – Dziedzictwo ks. Tadeusza
Isakowicza-Zaleskiego 107

Katarzyna Józwik – Współtwórca ruchu oazowego
Ks. Wojciech Danielski (1935–1985) 120

W Wigilię 1985 r. w Klinice Onkologii w Warszawie, po wielu miesiącach zmagania z chorobą nowotworową, zmarł ks. Wojciech Danielski. Dzisiaj wydaje się on mało rozpoznawalny, ale 40 lat temu jego działalność wpisywała się w dramatyczne doświadczenia Kościoła lat 70. i 80. Rola ks. Danielskiego była znacząca w stanie wojennym, gdy zastąpił on pozostającego na emigracji ks. Franciszka Blachnickiego jako moderator krajowy Ruchu Światło-Życie.

KOMENTARZE HISTORYCZNE

Włodzimierz Suleja – Komendant i Szef . . . 130

Towarzysz Wiktor i towarzysz Józef. Komendant i „Szef”. Marszałek i generał. Historia wzajemnych relacji pomiędzy Józefem Piłsudskim a Kazimierzem Sosnkowskim jest i długa, i niekiedy niełatwa, a nawet bardzo trudna. Historie rozdziewików między nimi opisał wnikliwie Tadeusz Katelbach w roku 1975 w paryskich „Zeszytach Historycznych”, ale przecież nawet dysonanse nie zdołały zerwać ani nawet nadwzględnie niezwykle silnych więzi, które złączyły ich życiowe ścieżki we wspólnie przebywaną drogę.

Małgorzata Misiak – Język młodego
Piłsudskiego 140

Tomasz Szturo – Sergiusz Piasecki
Żywot człowieka nieujarzmionego 151

Kolegium:

dr Wojciech Frazik, Adam Hlebowicz,
dr Kazimierz Krajewski,
dr hab. Mariusz Krzysztofiński,
dr Marcin Majewski, dr hab. Filip Musiał,
prof. Piotr Niwiński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz,
ks. dr hab. Jarosław Wąsowicz

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813,
wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiowski (jakub.golebiowski@ipn.gov.pl),
Kinga Hałacińska (kinga.halacinska@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko – zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Anna Zechenter (anna.zechenter@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter

Sekretariat:

Maria Wiśniewska
(maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny,

projekt okładki i łamanie:

Katarzyna Dziedzic-Boboli

Korekta: Beata Stadryniak-Saracyn

Adres do korespondencji:

ul. Kurtyki 1, 02-676 Warszawa

Kolportaż:

Tel. 22 544-57-19
(joanna.pszczola@ipn.gov.pl)

Druk:

Drukarnia Leyko Sp. o.o.

Na okładce:

Patrol milicyjno-wojskowy wprowadza zatrzymanego
do gmachu KW MO. Fot. Maciej Jasiecki / AIPN

Nad spisem treści: Mirosław Chojecki. Fot. AIPN



■ WIADUKT NA UL. MARCHLEWSKIEGO (OBECNIE JANKA WIŚNIEWSKIEGO) OBOK STACJI KOLEJKI ELEKTRYCZNEJ
GDYNIA STOCZNIA. WOJSKO I MILICJA OTWORZYŁY OGIEŃ DO LUDZI JADĄCYCH DO PRACY, 17 GRUDNIA 1970 R. FOT. AIPN

PIOTR BRZEZIŃSKI

GRUDZIEŃ '70 W TRÓJMIEŚCIE

Zapalnikiem społecznej rewolty na Wybrzeżu stała się ogłoszona przez władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przed Bożym Narodzeniem 1970 r. drastyczna podwyżka cen żywności, która najmocniej uderzała w będących na dorobku młodych robotników. To oni stali się siłą napędową ulicznych protestów i głównymi ofiarami krwawej pacyfikacji dokonanej przez siły wojska i milicji.

REWOLTA W GDAŃSKU

Partijni dygnitarze zdawali się lekceważyć sytuację. 12 grudnia 1970 r. do Stoczni Gdańskiej im. Lenina przyjechał wicepremier Stanisław Kociołek, aby miejscowym członkom Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wytłumaczyć decyzję władz. Spotkanie okazało się kłapą, a wzburzeni stoczniowcy ostentacyjnie wyszli z sali. Kociołek nie poinformował o tym Władysława Gomułki.

Rankiem 14 grudnia 1970 r. rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej. Około godz. 10.00 przed budynkiem dyrekcji zgromadziło się kilka tysięcy robotników domagających się odwołania podwyżki i przybycia do stoczni przedstawicieli władz partyjnych. Przed południem kilkusetosobowy pochód udał się pod gmach KW PZPR. Ponieważ I sekretarz Alojzy Karkoszka przebywał w Warszawie, rozmowę z robotnikami podjął jego zastępca Zenon Jundziłł – apelował on, aby stoczniowcy wrócili do pracy. Ci zareagowali śmiechem. Część z nich wróciła do stoczni, inni poszli na Politechnikę Gdańską, aby wezwać studentów do poparcia strajku. Warto podkreślić, że od rana wśród manifestantów działała 200-osobowa grupa ubranych po cywilnemu milicjantów, którym powierzono zadanie fotografowania uczestników demonstracji i prowadzenia tzw. działań dezintegracyjnych.

Tymczasem do strajku dołączyły kolejne zakłady. Około godz. 16.00 pokojowa manifestacja została brutalnie zaatakowana przez oddziały milicji w rejonie wiaduktu Błędnik. Ten atak zapoczątkował kilkugodzinne walki uliczne w okolicach Dworca Głównego PKP i gmachu KW PZPR. W trakcie starć obrażenia odniosło co najmniej kilkadziesiąt osób, a milicja aresztowała ponad 300 manifestantów.

Rankiem 15 grudnia 1970 r. liczna demonstracja udała się pod Komendę Miejską MO przy al. Świerczewskiego (ob. ul. Nowe Ogrody). Manifestanci domagali się uwolnienia aresztowanych kolegów. Doszło do walk ulicznych, podczas których funkcjonariusze MO użyli broni palnej. Padli zabici. Pierwsza ofiara została zastrzelona już ok. 9.00, czyli na kilka godzin przed tym, jak wydane przez Gomułkę ustne polecenie o użyciu broni palnej przekazano do Gdańska. Warto podkreślić, że I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR podjął swoją decyzję w oparciu o fałszywą – jak się później okazało – informację o zabiciu tego dnia w Gdańsku 2 milicjantów.

Według szacunków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w manifestacjach z 15 grudnia uczestniczyło ok. 30 tys. ludzi. Demonstranci zdewastowali siedzibę



■ I SEKRETARZ KW PZPR W GDAŃSKU STANISŁAW KOCIOŁEK PRZEMAWIA NA SPOTKANIU Z MIEJSCOWYM KIEROWNICTWEM MO. CZWARTY OD PRAWEJ KOMENDANT WOJEWÓDZKI MO W GDAŃSKU PŁK ROMAN KOLCZYŃSKI. FOT. AIPN

Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych i podpalili gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Zgodnie z oficjalnymi danymi tego tragicznego dnia śmierć poniosło 6 manifestantów. Ofiary były też po drugiej stronie. Funkcjonariusz ZOMO został ciężko pobity przez demonstrantów, w wyniku czego zmarł kilkanaście dni później w szpitalu; jeden z milicjantów zmarł po 2 dniach z powodu „zatrucia





■ STOCZNIOWCY POD SIEDZIBĄ
DYREKCJI STOCZNI GDAŃSKIEJ IM. LENINA,
14 GRUDNIA 1970 R. FOT. AIPN

gazami”, użytymi podczas rozpędzania ulicznych manifestacji. Rannych zostało przynajmniej 300 osób, a ok. 500 osób aresztowano. W trakcie walk manifestanci spalili gmach KW PZPR (nazywany odtąd ironicznie przez gdańszczan „Reichstaggiem”) oraz siedzibę Naczelnej Organizacji Technicznej. Częściowo spalone zostały też budynki Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej i dworca PKP.

Wieczorem 15 grudnia 1970 r. Stanisław Kociołek wygłosił przemówienie radiowo-telewizyjne, w którym wezwał gdańszczan do powrotu do pracy. Mimo to nocą z 15 na 16 grudnia Stocznę im. Lenina otoczyły oddziały wojska. Robotnicy przyszedli do zakładu, lecz byli zaniepokojeni widokiem żołnierzy. Około 8.00 grupa kilkuset młodych pracowników wyszła przed bramę nr 2. Prawdopodobnie zamierzali oni sformować pochód, lecz zostali ostrzelani przez żołnierzy blokujących stocznę. Dwie osoby zginęły na miejscu, a kilkanaście zostało rannych. Stoczniowcy postanowili kontynuować strajk okupacyjny. W skład Komitetu Strajkowego weszli Zbigniew Jarosz (przewodniczący), Jerzy Górski, Stanisław Oziembło, Ryszard Podhajski, Kazimierz Szołoch, Lech Wałęsa i Zofia Zejser. Wieczorem tego dnia przysłany przez ministra obrony narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego na Wybrzeże jego zastępca gen. Grzegorz Korczyński zagroził zbombardowaniem zakładu. Skłoniło to strajkujących do zakończenia protestu i opuszczenia stoczni nocą z 16 na 17 grudnia. Około południa 18 grudnia jako ostatni strajk zakończyli pracownicy Zarządu Portu Gdańsk. Gdańska rewolta została spacyfikowana.



■ STOCZNIOWCY POD SIEDZIBĄ DYREKCJI STOCZNI GDAŃSKIEJ IM. LENINA,
14 GRUDNIA 1970 R. FOT. AIPN

MASAKRA W GDYNI

Pracownicy Stoczni im. Komuny Paryskiej rozpoczęli strajk rankiem 15 grudnia 1970 r. Za ich przykładem poszły załogi innych zakładów. Ludzie uformowali pochód, który przeszedł pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (ob. Urząd Miasta). Przewodniczący PMRN Jan Mariański uznał strajk za legalny i zawarł ze strajkującymi pisemne porozumienie, którego protokół zachował się do naszych czasów. Postulaty gdyńskich robotników dotyczyły głównie kwestii socjalnych, a demonstranci nie deklarowali podważania ani ustroju społeczno-politycznego PRL, ani władzy PZPR.





■ GEN. GRZEGORZ KORCZYŃSKI.
FOT. AIPN

Po zawarciu porozumienia robotnicy wrócili do swoich zakładów i zawiązali Główny Komitet Strajkowy dla Miasta Gdynia, czyli protoplastę Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z sierpnia 1980 r. W skład Prezydium Komitetu Strajkowego weszli Stanisław Słodkowski (przewodniczący), Izydor Chłędowski, Edmund Hulsz, Włodzimierz Ilnicki, Kazimierz Kalkowski, Jerzy Kowalczyk, Krzysztof Muskała, Marek Piasecki i We-

ronika Szymańska. Komitet przystąpił do opracowania planu strajku okupacyjnego i przygotowania ulotek. Nocą z 15 na 16 grudnia siły MO i ZOMO niespodziewanie wtargnęły do siedziby komitetu. Jego członków brutalnie pobito, a następnie wywieziono do więzienia w Wejherowie.

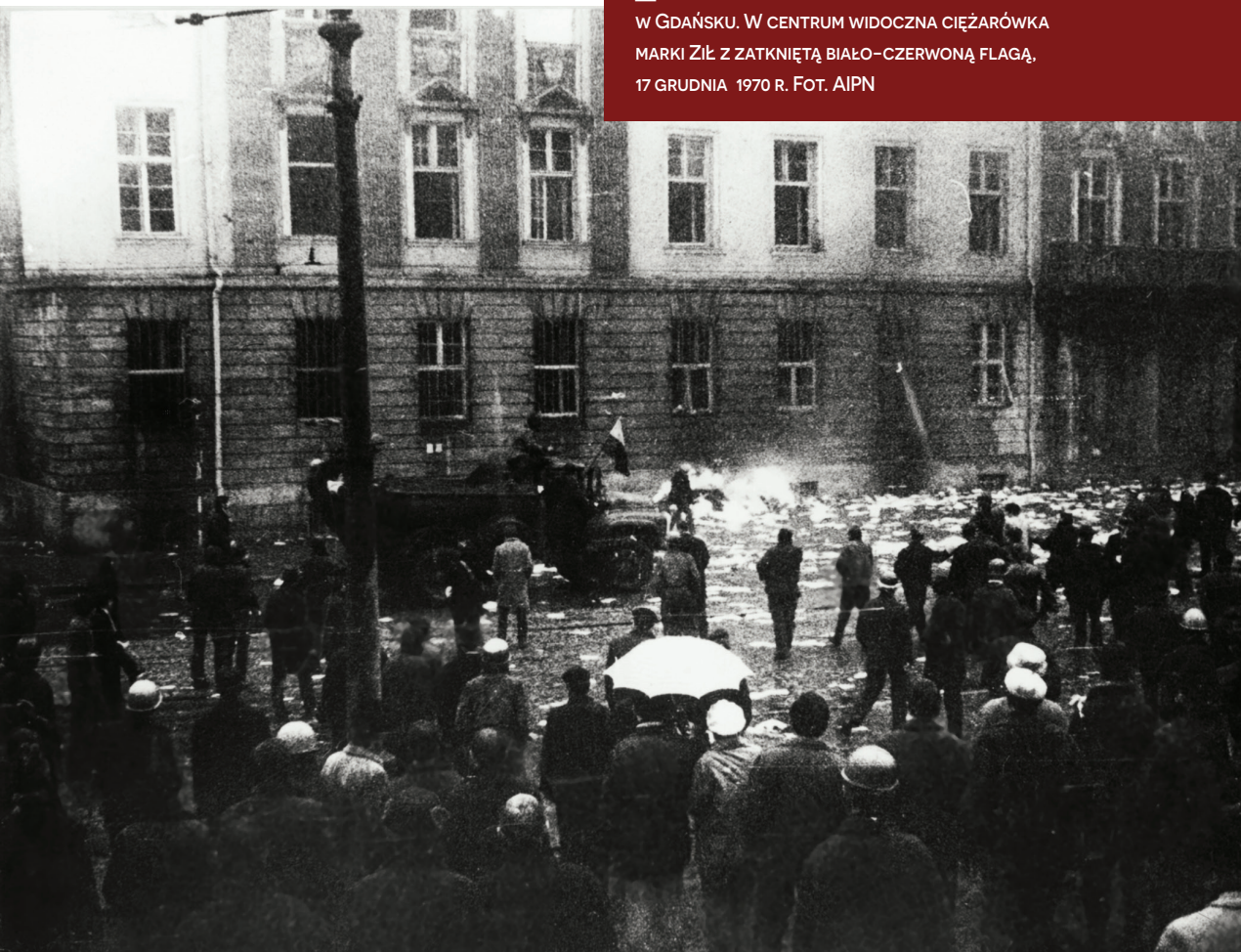
Aresztowanie przywódców protestu oburzyło gdynian, którzy zaczęli domagać się ich uwolnienia. Tymczasem władze podjęły decyzję o zamknięciu Stoczni im. Komuny Paryskiej. Do dziś nie wiadomo, czy wieczorne wystąpienie radiowo-telewizyjne Stanisława Kociołka z 16 grudnia 1970 r. było jedynie tragiczną pomyłką, czy elementem celowej prowokacji. W efekcie: w chwili, gdy wojsko przygotowywało się do blokady stoczni, Kociołek wezwał gdyńskich robotników do pójścia do pracy. Na swoje nieszczęście większość z nich posłuchała apelu i trafiła w śmiertelną pułapkę.

17 grudnia 1970 r. około 6.00 pociągi podmiejskie co kilka minut dowoziły setki ludzi na przystanek Gdynia Stocznia. Dziś jest to mało uczęszczane miejsce, lecz przed 55 laty był to punkt newralgiczny – w okolicznych zakładach pracowało wtedy ponad 30 tys. osób. Ciemność i zagęszczenie ludzi w połączeniu z panującym na peronie zamieszaniami musiały wywołać nerwowe reakcje. Potężniejący tłum nie dostrzegał zagrożenia. Zamiast wycofać się zawieszonym nad peronem wąskim pomostem lub przez torowisko w stronę ul. Czerwonych Kosynierów (ob.

ul. Morska) ludzie poszli wprost pod lufy karabinów. Właściwie nie wiadomo, dlaczego żołnierze, których zadaniem miała być blokada stoczni, ustawieni zostali tuż za przystankiem SKM, czyli aż kilometr od blokowanego zakładu. Czy planujący tę operację wojskowi nie zdawali sobie sprawy z grożącego cywilom niebezpieczeństwa? A może zależało im na wywołaniu dodatkowego zamieszania wśród robotników?

„Padła komenda ostrzegawcza dowódców: »Nie zbliżać się, bo wojsko będzie strzelać!« – wspominał płk Eugeniusz Stefaniak. – Nadal bez skutku. Wówczas padł wystrzał armatni z czołgu – dla postraszenia. Efekt huku, błysku i świstu był piorunujący. Pocisk poszybował na przeciwległe wzgórze. Na 30–40 sekund gromada ludzka zastygła w bezruchu. Po chwili rozległy się głośnie wołania: »Chłopa-ki, oni strzelają ze ślepaków, chodźmy, pokażemy tym gnojkom!«. Tłum nieśmiało ruszył”. Niektórzy chwycili kamienie, inni obrzucali żołnierzy wyzwiskami. Ci zaś, zgodnie z rozkazem, zaczęli strzelać. Serie z karabinów maszynowych zebrały

ROBOTNICZY POD KOMITETEM WOJEWÓDZKIM PZPR
W GDAŃSKU. W CENTRUM WIDOCZNA CIĘŻARÓWKA
MARKI ZiŁ Z ZATKNIĘTĄ BIAŁO-CZERWONĄ FLAGĄ,
17 GRUDNIA 1970 R. FOT. AIPN



krwawe żniwo. „Ja sobie nawet nie zdawałem z tego sprawy, że tam człowiek w ogóle mógł zginąć. To w ogóle do głowy mi nie przychodziło. Pamiętam, jak myśmy tych ludzi wynosili i płakali. A ile krwi na tym pomoście było. Ja sam wyniosłem z osiem osób przynajmniej” – wspominał Sławomir Grześkowiak. Stłoczonych na przystanku ludzi zaatakowały helikoptery, zrzucając petardy i gazy łzawiące. Świadkowie wspominają, że z helikopterów strzelano także z broni maszynowej. Inni widzieli snajperów oddających strzały z pobliskich bloków. W sumie w okolicach przystanku Gdynia Stocznia według oficjalnych danych zginęło 13 młodych mężczyzn. Najmłodszy z nich miał zaledwie 15 lat.

Około 9.00 na ul. Czerwonych Kosynierów ludzie podnieśli ciało jednej z ofiar, 18-letniego Zbigniewa Godlewskiego, ułożyli je na drzwiach i ruszyli z nim przez miasto, dochodząc aż do gmachu PMRN. Tam rozpędziły ich siły porządkowe. „Byliśmy po prostu wściekli – wspominała idąca w pochodzie Ewa Jażdżewska. – I wydawało nam się, że musi to zobaczyć świat, bo to jest niewyobrażalne”. Ten dramatyczny pochód opisuje poruszająca *Ballada o Janku Wiśniewskim*

W okolicy przystanku Gdynia Wzgórze Nowotki (ob. Gdynia Wzgórze św. Maksymiliana) uzbrojeni w kamienie manifestanci wdali się w walkę z milicją. Zginęło kolejne 5 osób. Starcia trwały do godz. 14.00. Milicjanci aż do wieczora urządzali łapanki na przypadkowych przechodniów. Tych, których podejrzewali o udział w walkach, zapędzali do budynku PMRN. Tam ich okrutnie bili. Brutalność milicji trudno wytłumaczyć. Być może władze mściły się za Gdańsk, za spalenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR, siedziby związków zawodowych i komendy MO. Możliwe też, że komuniści ukarali Gdynię za zorganizowanie spraw-

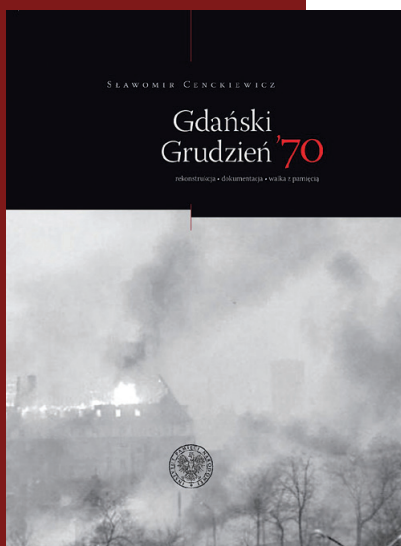


■ PŁONĄCY BUDYNEK KW PZPR W GDAŃSKU, GRUDZIEŃ 1970 R. FOT. AIPN

nie działającego Komitetu Strajkowego. Z ich perspektywy był on groźniejszy od największej ulicznej manifestacji, wytrącał bowiem eksponowany przez pelerelowską propagandę argument, że za grudniowymi protestami stali wyłącznie chuligani i kryminaliści.

Według oficjalnych danych 17 grudnia 1970 r. w Gdyni żołnierze i milicjanci zabili 18 młodych mężczyzn. Większość z nich to byli chłopcy w wieku 15–20 lat.





STRAJKI W SOPOCIE

W Sopocie grudniowe wydarzenia przybrały odmienne oblicze. Rankiem 15 grudnia pracę przerwała załoga Sopockich Zakładów Przemysłu Maszynowego, przedsiębiorstwa mającego swoją filię w Gdańsku. Strajk zainicjowali robotnicy z Gdańska, a do protestu dołączyli sopocianie. Pracownicy zakładu napisali petycję do miejscowych władz partyjnych, którą około południa przekazali do Komitetu Miejskiego PZPR. Swoją protest motywowali solidarnością ze strajkującymi stoczniovcami. Podobnie jak gdańszczanie i gdynianie byli oburzeni wysokością zapowiadanej podwyżki cen żywności. Tego dnia strajk rozpoczęła też załoga Sopockich Zakładów Przemysłu Terenowego. Każdy z wymienionych zakładów liczył po kilkuset pracowników, a strajki były kontynuowane 16 i 17 grudnia w godzinach porannych. Sopockie protesty ustały na wieść o krwawej pacyfikacji Gdyni.

17 grudnia w Sopocie doszło do zagadkowej sytuacji. Transatlantyk „Stefan Batory”, który stał na redzie gdyńskiego portu, przyplłynął do Sopotu i z pomocą

statku białej floty wysadził na molo 90 osób, które rozwieziono do okolicznych hoteli. Potem statek wrócił do Gdyni; szczegóły tej akcji nie są bliżej znane.

Cechą charakterystyczną sopockiej odsłony Grudnia '70 był duży spokój wśród robotników oraz dialog prowadzony przez dyrekcje zakładów ze strajkującymi pracownikami. Prawdopodobnie dzięki temu uniknięto eskalacji konfliktu, która mogłaby doprowadzić do manifestacji, a nawet walk ulicznych. W mieście

nie było wielkich przedsięwzięć, co z pewnością ułatwiało lokalnym władzom opanowanie sytuacji. Pewien wpływ na nastroje części załóg mógł mieć też fakt ich stosunkowo wysokiej feminizacji (Sopockie Zakłady Przemysłu Terenowego) oraz to, że lokalni działacze PZPR w dość umiemy sposób prowadzili rozmowy ze strajkującymi załogami (co nie miało miejsca ani w Gdańsku, ani w Gdyni).

Jednak krwawe żniwo Grudnia '70 nie ominęło Sopotu. Wśród ofiar „czarnego czwartku” w Gdyni znalazł się student pierwszego roku Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego (ob. Akademia Wychowania Fizycznego) w Gdańsku Waldemar Zajczonko. 20-letni chłopak został zastrzelony 17 grudnia 1970 r. w pobliżu stacji SKM Gdynia Wzgórze Nowotki, mimo że nie brał udziału w manifestacji. Jego śmierć odbiła się szerokim echem w Sopocie. Zajczonko był znany ze szkoły, z podwórka i jako wyróżniający się zawodnik miejscowej drużyny rugby Ogniwo Sopot. Pamięć o nim jest wciąż żywa, w 2015 r. sopoccy radni nadali jego imię ulicy prowadzącej na stadion Ogniwa Sopot.

■ OPANCERZONE TRANSPORTERY GĄSIENICOWE JADĄ OD STRONY
UL. HUCISKO W GDAŃSKU, GRUDZIEŃ 1970 R. FOT. AIPN



Na terenie Gdańska i Gdyni śmierć poniosło 28 spośród 45 udokumentowanych źródłowo ofiar grudniowej rewolty. Wśród zabitych znalazło się 26 cywilów i 2 funkcjonariuszy MSW, którzy brali udział w pacyfikacji ulicznych manifestacji w Gdańsku. Oficjalną listę zabitych opublikowano w lokalnej prasie dopiero w połowie stycznia 1971 r., co przyczyniło się do różnych spekulacji na temat liczby ofiar.

Grudzień '70 przybrał w Trójmieście 3 zupełnie różne oblicza. Od regularnych walk ulicznych i towarzyszącego im spalania przez demonstrantów gmachu KW PZPR w Gdańsku, poprzez pokojowe manifestacje i negocjacje z władzami miejskimi zakończone niespodziewaną masakrą bezbronných ludzi idących do pracy w Gdyni, aż po spokojne strajki w dwóch zakładach Sopotu.

O ile wydarzenia rozgrywające się w Gdańsku i Gdyni są od dawna szczegółowo opisywane przez historyków i szeroko komentowane przez publicystów, o tyle wiedza na temat grudniowych dni w Sopocie jest wciąż niewielka, nawet wśród profesjonalnych badaczy tej tematyki. W pewnym sensie trudno się temu dziwić, gdyż w zestawieniu z niezwykle dramatycznymi wydarzeniami, które rozgrywały się w sąsiednich aglomeracjach, sopocka odsłona Grudnia '70 może wydawać się mało znacząca i wręcz niewarta większej uwagi.



Piotr Brzeziński (ur. 1983) – historyk, dr. Zastępca dyrektora Instytutu Dziedzictwa Solidarności w Gdańsku. Autor książek: (z R. Chrzanowskim i T. Słomczyńskim) *Pogrzebani nocą. Ofiary Grudnia '70 na Wybrzeżu Gdańskim. Wspomnienia, dokumenty* (2015); *Zwijanie sztandaru. Komitet Wojewódzki PZPR w Gdańsku w latach 1975–1990* (2019); (z R. Chrzanowskim i A. Nadarzyńską-Piszczewiat) *Zbrodnia bez kary. Grudzień 1970 w Gdyni. Przebieg wydarzeń, represje, walka o prawdę, najdłuższy proces III RP* (2020) i in.

DANIEL WICENTY

GRUDZIEŃ 1970 PAMIĘĆ, SKUTKI I PARADOKSY

Dziesięcioletnie panowanie Edwarda Gierka poprzedziła jedna z większych tragedii w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Brutalne stłumienie strajków oraz demonstracji robotniczych i społecznych w wielu miastach Polski przyniosło 45 ofiar śmiertelnych (w tym milicjant i 2 żołnierzy), 1165 rannych oraz skryte represje, którymi dotknięte zostały m.in. rodziny zabitych i strajkujący robotnicy.



■ SKARBONA NA DATKI NA BUDOWĘ POMNIKA POLEGŁYCH STOCZNIOWCÓW 1970. DO 12 GRUDNIA 1980 R. ZGROMADZONO ZE SPOŁECZNYCH ZBIÓREK 20 MLN ZŁ. GDAŃSK, SIERPIEŃ-GRUDZIEŃ 1980 R. FOT. AIPN



2001 r., wkrótce po śmierci Gierka, Centrum Badania Opinii Społecznej przeprowadziło sondaż dotyczący byłego I sekretarza. Ponad 50 proc. respondentów oceniło go pozytywnie, tylko 6 proc. negatywnie. Skojarzenia z dekadą gierkowską są dwojakie.

Pamięta się zadłużenie Polski, kartki na cukier i propagandę sukcesu, ale także rozwój gospodarczy, poprawę warunków życia i otwarcie na świat. Gierek jest też jedynym przywódcą komunistycznym, który jeszcze stosunkowo niedawno miał kilka upamiętnień (m.in. do 2017 r. rondo w Sosnowcu). Jest coś intrygującego (i pewnie irytującego) w tym, że towarzysza Edwarda pamięta się także jako reformatora i modernizatora, który chciał dobrze i któremu nie wyszło.

Nie zamierzam tu wracać do opisu przebiegu wydarzeń Grudnia, te są co najmniej dobrze rozpoznane przez badaczy, szczęśliwie mamy kilka klasycznych monografii (choćby wydaną przez Instytut Pamięci Narodowej *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje* Jerzego Eislera) i wiele różnych opracowań na ten temat. Chciałbym przyjrzeć się konsekwencjom Grudnia '70, zwłaszcza tym nieoczywistym i paradoksalnym, dotyczącym pamięci o PRL.

NIESKUTECZNA WALKA Z PAMIĘCIĄ

Oto paradoks pierwszy. Gierek wytrwale i systematycznie walczył z pamięcią o Grudniu, ostatecznie ponosząc na tym polu porażkę. Ten wątek to dobry i pocieszający przyczynek do zakwestionowania co bardziej deterministycznych wizji dziejów – komunizm trwał i nic nie mogło go skruszyć. Wszak system w relacji ze zwykłym człowiekiem miał niezliczone środki do zaznaczenia swojej dominacji i do jego stłamszenia. Całą tę machinerię władzy widać doskonale już w pierwszych tygodniach panowania Gierka. Jak celnie wskazali Piotr Brzeziński, Robert Chrzanowski i Anna Nadarzyńska, autorzy *Zbrodni bez kary*: „Walka o pamięć gdyńskiego Grudnia 1970 r. rozpoczęła się niemal zaraz po ucichnięciu śmiertelnych wystrzałów”. Jej pierwszym frontem był problem ofiar i ich pochówku. I dziś mogą szokować słowa Tadeusza Bejma, ówczesnego przewodniczącego gdańskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej, który 18 grudnia 1970 r. przekazał swoim podwładnym dyspozycję: „Jest polecenie Z[enona] Kliszki, aby przystąpić do grzebania od dziś skrycie na cmentarzach, pod płotami wyrównując ziemię”.

Służba Bezpieczeństwa starała się nadzorować każdy szczegół pochówków: od przewozu zwłok ze szpitali na cmentarze, przez blokady odpowiednich ulic, tajną obserwację szpitali i nekropolii, aż po zastraszanie grabarzy, a ostatecznie organizację pogrzebów w nocy. Bezpieka zapewniała dojazd, ustalała miejsce pochówku, jego datę i godzinę oraz liczbę żałobników. Już na tym etapie zaczęło się zacieranie śladów, na niektóre rodziny wywierano nacisk, aby zaaprobowały protokół sekcji zwłok podający fałszywą przyczynę lub datę zgonu. Niektórych rodzin SB wcale nie powiadomiła o pochówku. Pogrzeby odbywały się w ciemnościach, przy światłach latarek oraz milicyjnych i esbeckich samochodów. Ważnym (i czasem) skutecznym narzędziem nacisku władz były groźby i obietnice finansowych rekompensat. Z tego aspektu Gierek zrobił zresztą element systematycznej polityki – w zasadzie kupił sobie spokój społeczeństwa. Wróć jeszcze do tego.

Trójmiejskie ofiary Grudnia pochowano pierwotnie na 5 cmentarzach. Wiosną 1971 r. władze pozwoliły na ekshumacje i część rodzin zdecydowała się na przeniesienie szczątków na nekropole w swoich macierzystych parafiach. Dziś groby ofiar Grudnia odnaleźć można na cmentarzach w Gdyni (Leszczynki i Witomino), Goręczynie (pow. kartuski), Wejherowie, Elblągu, Broniszewie pod Koninem i Lesku. To rozproszenie – być może skutek uboczny działań władzy i troski rodzin – było na rękę komunistom. Cmentarze bowiem postrzegano jako potencjalne zagrożenie i przestrzeń do tworzenia się antypartyjnych postaw.

Kolejnym wyzwaniem stały się obchody świąt 1 Maja, Wszystkich Świętych oraz pierwszej rocznicy Grudnia. Sieć agenturalna SB w Gdyni i Gdańsku została odpowiednio uwrażliwiona na wszelkie niezależne działania związane z upamiętnieniami: może ktoś usłyszy w zakładzie o zakupach czarnych wstążek, o przygotowaniu czarnych kasków albo o zbiorce na wieńce. Takie zadanie bliższego rozpoznania sprawy dostał m.in. tajny współpracownik „Bolek”, kiedy doniósł SB o bliżej nieokreślonych pomysłach uczczenia pamięci o zabitych kolegach. Tu zresztą kolejny paradoks – Lech Wałęsa zwerbowany przez SB jako tajny współpracownik stanie się 10 lat później autentycznym przywódcą strajku, a potem Solidarności.



■ TADEUSZ BEJM.
FOT. BIBLIOTEKA GDAŃSKA PAN

Przed 1 listopada SB przeprowadziła rozmowy „wychowawcze” z wybranymi księżmi, z dziekanami, zaplanowała tajną obserwację cmentarzy. Zorganizowano ją również w Kraśniku, Lesku i Lipnie. Sprawdzano także tabliczki i epitafia na nagrobkach. Sporadycznie kontrolowano komunikację miejską, a systematycznie wszystkie linie tramwajowo-autobusowe, które zapewniały dojazd do cmentarzy. Obserwowano wszystkie miejsca, które w Grudniu '70 stały się sceną tragicznych wydarzeń (m.in. Dworzec Główny w Gdańsku, przystanki SKM Gdynia Stocznia i Gdynia Wzgórze Nowotki). Niedaleko przystanku Gdynia Stocznia oraz bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej Wydział „B” zorganizował punkty obserwacyjne. Przed pierwszą rocznicą prócz działań już wcześniej podejmowanych partia zapewniła także rozrywkę – między 10 a 17 grudnia 1971 r. zaplanowano emisję w telewizji popularnych seriali, tak by dodatkowo odciągnąć uwagę od grudniowej rocznicy.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza pospołu z SB uznała te i kolejne podejmowane działania (sporą część koordynowaną w ramach esbeckiej sprawy „Jesień 70”) za udane i skuteczne. Kolejne partyjne uroczystości składania kwiatów były ściśle kontrolowane, delegacje dobrane, przemówienia ułożone. Niezależnej pamięci o Grudniu nie było w przestrzeni publicznej. Uparcie pamiętały jedynie rodziny i bliscy zabitych – ale było to politycznie niegroźne. Społeczeństwo – jak się zdawało – było zatomizowane.

Takie czysto polityczne aspekty, na które zwracała uwagę władza, były zrozumiałe. Grudzień stanowił zagrożenie dla pezetpeerowskiej elity z wielu oczywistych względów. W Gdańsku i w Szczecinie spalone zostały partyjne komitety wojewódzkie, a komuniści niemal dosłownie tracili władzę, kiedy to zrewoltowana ulica zawiesiła ich monopol. Dotyczyło to zwłaszcza Szczecina, gdzie wprowadzie na krótko (między 18 a 22 grudnia) – jednak kontrolę nad funkcjonowaniem miasta na dobrą sprawę przejął miejscowy komitet strajkowy. Było to w zasadzie pierwsze po wojnie zorganizowane działanie polityczne bez udziału partii – robotnicy stworzyli niezależne od PZPR struktury: komitety robotnicze.

Ta podmiotowość robotników i społeczeństwa okazała się jednak efemeryczna, bardzo lokalna i krótkotrwała. Kiedy kilka lat po Grudniu zaczęły się pojawiać w Trójmieście załączki opozycji (Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża), sytuacja dalej była pod kontrolą – a przynajmniej tak mogło się zdawać władzy. Niezależna pamięć o ofiarach Grudnia, która stała się jednym z aksjologicznych azymutów WZZ, nie była bowiem spektakularna ani nie gromadziła wrogiego tłumu na ulicach.

NIEOCZEKIWANE SKUTKI GRUDNIA

Gierek rozpoczął swoje panowanie od ruchów, które były pojednawcze wobec społeczeństwa i różnych środowisk. Nowe otwarcie po brutalnym zdławieniu oporu i niezadowolenia społecznego było oczywiście po części spektaklem władzy, obliczonym na proste odruchy sympatii i wdzięczności obywateli PRL. Część była niewątpliwie wentylem bezpieczeństwa, inicjowanym w celu kontrolowanego upuszczenia społecznej złości i frustracji. Niektóre jednak z tych ruchów wywołały trwałe skutki.

Gierek – nazwany przez Antoniego Dudka „iluzjonistą z Sosnowca” – był bodaj pierwszym komunistycznym przywódcą, który rozumiał socjotechnikę władzy wychodzącą poza przymus i propagandę. Po Grudniu '70 szybko odwołał podwyżki, a ceny zamroził. Jako pierwszy komunistyczny polityk pojechał na bezpośrednie spotkania do robotników (w Gdańsku i Szczecinie), wykorzystując swój naturalny talent do kontaktów z ludźmi.

Spółeczeństwo zostało kupione – wdziękiem i bezpośredniością Gierka, obietnicą reform i modernizacji, w końcu różnymi przywilejami, awansami i za pomocą środków finansowych. Lata 70. przyniosły wzrost płac, nie tylko w liczbach bezwzględnych, ale także w przeliczeniu na czarnorynkowy kurs dolara. W 1970 r. przeciętna płaca pozwalała na zakup nieco ponad 18 dolarów od cinkciarza, w 1980 – ponad 48. Ludzie zaczęli wyjeżdżać za granicę – nagle biura paszportowe bardziej sympatycznym okiem



WIZYTA EDWARDA GIERKA W MSW, MAJ 1971 R. FOT. AIPN



patrzyły na wnioski o wydanie paszportu. Jeszcze w 1969 r. na „wyjazdy czasowe prywatne” udało się nieco ponad 411 tys. Polaków. W 1971 r. było to już 743 tys. podróży, a rok później – ponad 10 mln! Rekordowy rok 1977 to łącznie ponad 22 mln wyjazdów Polaków na paszporty. W latach 70. pięciokrotnie zwiększyła się liczba samochodów osobowych. Produkowany na licencji „mały Fiat” zmotoryzował Polskę. Zbudowano pierwszą quasi-autostradę, „gierkówkę” łączącą Warszawę z Katowicami. Postawiono Dworzec Centralny w Warszawie (stoi do dziś).

Po raz pierwszy projekty budownictwa mieszkaniowego nabrały rozmachu, jakiego nie widziano po wojnie. Dekada Gierka to ok. 2,5 mln wybudowanych mieszkań. Osiedla z wielkiej płyty stały się realną i względnie wyobraźną opcją dla wielu rodzin. To zresztą kolejny skutek trwały – do dziś widoczne są w wielu polskich miastach zmiany w przestrzeni architektonicznej. Oprócz osiedli bloków z przyzwoitym planowaniem przestrzennym znajdziemy też charakterystyczne piętrowe pawilony usługowe.

Tej hojności Gierka doświadczyły różne grupy. Z rolników zdjęto obowiązkowe dostawy i objęto ich powszechnym ubezpieczeniem zdrowotnym, co było zupełnym novum. Do socjologii po raz pierwszy popłynęły w latach 70. środki pozwalające na prowadzenie ogólnopolskich badań na dużych próbach respondentów i zatrudnienie ankietatorów w różnych częściach kraju.

Polska rosła w siłę i partia rosła w siłę. Liczebność PZPR osiągnęła na początku lat 80. rekordowe 3,1 mln członków. Niemniej polityka Gierka, której trajektorię w dużej mierze wyznaczała tragedia Grudnia, ostatecznie obróciła się przeciw niemu. Modernizacja gierkowska miała swoje ciemne strony. Kraj zadłużył się do koszmarnego poziomu 24 mld dolarów (ostatnie raty tego długu Polska spłaciła dopiero w 2012 r.). Nie zaspokoiło potrzeb fali powojennego wyżu demograficznego wchodzącego w dorosłość 2,5 mln mieszkań, których część była zresztą słabej jakości; buble produkowane na użytek codziennych zakupów trudno zliczyć.

Polska się rozpiła – o ile na początku lat 70. przeciętne spożycie alkoholu wynosiło 5 litrów, to pod koniec tej dekady na statystycznego Polaka przypadało 8,6 litra czystego spirytusu. Liczbę nadużywających szacowano na 2,8–3,5 mln, a liczbę uzależnionych na ok. 900 tys.

Najważniejsze jednak było co innego. Rozbudzone aspiracje (nie tylko konsumpcyjne), awans społeczny i realna modernizacja wytworzyły ciśnienie, które nie mogło już ująć żadnymi wentylami bezpieczeństwa. Powstała Solidarność, która zmiotła

Gierka ze sceny politycznej. A przywódcami strajku w Stoczni Gdańskiej byli ludzie, których zintegrowała m.in. pamięć o Grudniu '70.

PRO MEMORIA?

Na temat Grudnia '70 powstało wiele prac naukowych i popularnonaukowych; niektóre z nich mają zresztą status klasycznych publikacji. Istnieją upamiętnienia, i te dawniejsze (pomnik Poległych Stoczniovców w Gdańsku, pomnik Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni), i te bardziej współczesne (pomnik Ofiar Grudnia 1970 w Szczecinie). Różne instytucje zrealizowały świetne wystawy, m.in. w 50. rocznicę IPN: „Powstanie Grudniowe 1970 roku”, a Muzeum Miasta Gdyni: „Grudzień '70. Nieobecność”, pokazującą perspektywę rodzin i społeczności lokalnych. Jako badacze, edukatorzy i popularyzatorzy historii Polski chcielibyśmy, aby wiedza o Grudniu '70 była czymś oczywistym i trwałym, opartym także na możliwie różnorodnych formach pamięci.

Sposoby popularyzacji historii, jakie wypracowały sobie przez ostatnie lata różne instytucje (także IPN), nie są już takie efektywne jak dekadę czy dwie dekady wcześniej. Pokazują to dobitnie wielkie badania nad pamięcią i świadomością historyczną przeprowadzone kilka lat temu na zlecenie IPN przez zespół Krzysztofa Malickiego. Oficjalne narracje rozjeżdżają się w mniejszym lub większym stopniu z potrzebami i wrażliwością młodszych pokoleń. Otaczająca nas kultura nie sprzyja żadnej refleksji historycznej, skupiając naszą uwagę na wiecznym „teraz”.

Pamięć o Grudniu jest zagrożona. Dotyczy to zresztą wielu innych wydarzeń z powojennej historii, w tym pamięci o Solidarności. Być może jest to najważniejsze wyzwanie na następne lata dla instytucji takich jak Instytut Pamięci Narodowej. Będzie się ono wiązać przede wszystkim z odpowiedzią na pytania – po co pamiętać? Jakie ważne elementy dla tożsamości dzisiejszych Polaków przynosi historia Polski? Czy mamy być z niej dumni i dlaczego?



Daniel Wicenty (ur. 1977) – socjolog, dr hab. Pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Gdańsku, profesor w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Gdańskiego. Autor książek: (z R. Sojakiem) *Zagubiona rzeczywistość. O społecznym konstruowaniu niewiedzy* (2005); *Załamane na froncie ideologicznym. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich między Sierpniem '80 a stanem wojennym* (2012); *Zgniłe jabłka, zepsute skrzynki i złe powietrze. Dysfunkcje w Służbie Bezpieczeństwa w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku* (2018).

KINGA HAŁACIŃSKA

PRZYSTĄPIĆ DO GRZEBANIA ZMARŁYCH OD DZIŚ

18 grudnia 1970 r. – po 4 dniach protestów – Trójmiasto zostało całkowicie spacyfikowane, ale władza wciąż obawiała się, że robotnicze wystąpienia z Wybrzeża rozleją się po całej Polsce. Robiła wszystko, by to powstrzymać.

O

statniego dnia listopada 1970 r. na posiedzeniu Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej podjęto decyzję o podwyżce cen żywności. Informację podano do publicznej wiadomości 12 grudnia, co wstrząsnęło Polakami – którzy i tak z trudem dopinali domowe budżety. W wielu domach brakowało na chleb, a zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Dlatego władze miały świadomość, że wy-

■ DELEGACJA GDAŃSKICH STOCZNIOWCÓW SKŁADA WIEŃCE NA GROBIE ZABITYCH W GRUDNIU '70
NA CMENTARZU ŚW. FRANCISZKA W GDAŃSKU-EMAUS, 8 MAJA 1971 R. FOT. AIPN



starczy iskra, by wybuchł ogólnopolski protest. Marian Zieliński, pracownik Stoczni Gdańskiej im. Lenina, wspominał, że strajk miał „podłoże czysto ekonomiczne, gospodarcze. W sobotę [12 grudnia] w naszym zakładzie pracy były zwołane zebrania partyjne na godzinę 17.00, na których pracownicy mieli być powiadomieni o podwyżce cen artykułów spożywczych. W poniedziałek ludzie odmówili pracy. Zostali na terenie stoczni”.



■ JÓZEF WIDERLIK. FOT. AIPN

PRZEMARSZ ŚMIERCI

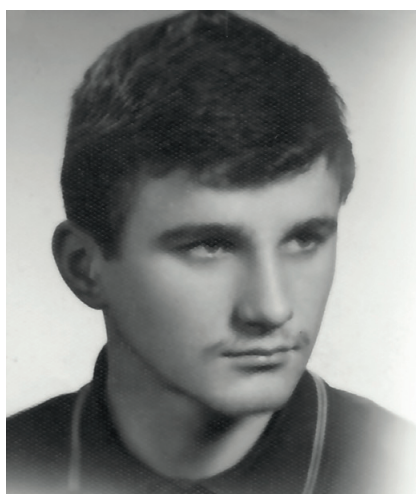
Pierwsza ofiara śmiertelna padła w Gdańsku. Rankiem we wtorek pod Komendą Miejską Milicji Obywatelskiej przy ul. Świerczewskiego (dziś ul. Nowe Ogrody) doszło do walk, w trakcie których 24-letni stoczniowiec Józef Widerlik został zastrzelony z broni krótkiej przez starszego sierżanta Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej Mariana Zamroczyńskiego. Tłum go zlinczował, przyjechała karetka, zmarł 27 grudnia. W kolejnych godzinach władze użyły ostrej amunicji, zabito łącznie 45 osób, 1164 zostały ranne. Do aresztów i na komisariaty trafiło przeszło 3 tys. osób. Zginęło też kilku funkcjonariuszy MO oraz żołnierzy ludowego Wojska Polskiego, a kilkudziesięciu zostało rannych. Najstarsza ofiara miała 59 lat, a dwie najmłodsze – 16.



■ GRÓB JÓZEF WIDERLIKA W KRAŚNIKU.
FOT. AIPN

STRASZNE POCHÓWKI

Dla rządzących strajki, manifestacje, wystąpienia oznaczały jedno – zmiany na najwyższych szczeblach, czyli utratę władzy. Chcieli oni zachować stanowiska, stąd wicemarszałek sejmu Zenon Kliszko, członek Biura Politycznego KC PZPR, postulował, by sięgnięto po stare, sprawdzone sposoby. Na posiedzeniu Egzekutywy KW mówił: „Mamy do czynienia z kontrrewolucją, a z kontrrewolucją trzeba walczyć przy pomocy siły. Jeżeli zginie nawet 300 robotników, to bunt zostanie zdławiony”. Wydał polecenie, by ciała ofiar natychmiast chować skrycie na cmentarzach, pod płotami, wyrównując ziemię. Miano przystąpić do grzebania zmarłych od dziś.



■ STANISŁAW KAMAĆ. FOT. AIPN

18 grudnia rozpoczęły się tajne pochówki. Pogrzebów nie ustalano z zarządem cmentarza, ciała chowali grabarze wyrwani wieczorem z domów przez milicję. W Szczecinie zaczęto chować po zmroku ok. 18.00. Po kolei otwierano przywiezione trumny – niektóre ciała były nagie (miały przyłączone karteczki z cyframi), grabarze ubierali je w pośpiechu. Dwa rzędy wykopanych grobów czekały w gotowości, do świtu 13 ciał trafiło do ziemi. Ostatni pochówek zakończono o 5.00 nad ranem.

Wśród zabitych był 18-letni Stanisław Kamać. Dzień wcześniej uparł się, że mimo zamieszek wyjdzie na trening. Kolega widział, że „Staszek został postrzelony pod komendą milicji”, a sąsiadka była świadkiem, jak rannego chłopaka zabiera wojskowy pojazd. Pobiegła zawiadomić rodziców. Zrozpaczeni, przerażeni, przez całą noc szukali go po wszystkich możliwych szpitalach. Odnalazł się dopiero w Kolejowym, kazano im przywieźć jego ubranie. Nie było mowy o dacie pogrzebu, ale cywile pojawili się u nich w domu już tego samego wieczora. Zabrali ojca i rodzeństwo. Matka pracowała na nocną zmianę i gdy z niej wróciła, było już po pogrzebie syna.

Podobny los spotkał 23-letniego Zbigniewa Semczyszyna, który znalazł się popołudniem w centrum miasta i chciał zobaczyć, jak pali się „dom partii”. Nie wrócił do domu i matka zaczęła go szukać. Bez skutku, w końcu 22 grudnia na III Komisariacie MO zgłosiła zaginięcie syna. Następnego dnia – po awanturze zrozpaczonych ro-

dziców z funkcjonariuszami – przyniesiono im albumy z fotografiami zwłok. Rozpoznali swoje dziecko. Okazało się, że leży już w ziemi. Odnaleziony przez nich pracownik cmentarza powiedział, że zwłoki pochowano nocą z 22 na 23 grudnia. Miesiąc później koledzy Zbigniewa na prośbę rodziców po kryjomu odkopali trumnę. Semczyszynowie mogli przekonać się, że pod wiekiem naprawdę jest ich zmasakrowany syn. Rozkopana mogiła zwróciła uwagę służb. Nad ranem u Semczyszynów pojawili się funkcjonariusze. Mimo wezwań na komendę, nachodzenia przez śledczych, nigdy nie zdradzili, kto im pomagał tamtej nocy.

Na pogrzebie własnego dziecka nie byli też Ski-porowie. Szukali syna we wszystkich szpitalach, przychodniach, na milicji i w prokuraturze. Tam poinformowano ich, że właśnie został pochowany. Po kilku miesiącach udało im się dokonać ekshumacji i przenieść go do rodzinnego grobu.

Również na pogrzebie Waldemara Sumińskiego nie było jego matki i siostry. Nie wiedziały o jego śmierci i pogrzebie – dlatego długo miał na grobie tabliczkę z napisem „N.N.”.

Najmłodszą ze szczecińskich ofiar był 16-letni uczeń Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów, Stefan Stawicki, który wyszedł do szkoły 18 grudnia. Nie dotarł do niej. Dostał kulę pod stocznia, gdy wysiadł z tramwaju, bo chciał zobaczyć czołg



■ ZBIGNIEW SEMCZYSZYN.
FOT. AIPN

■ STEFAN STAWICKI. FOT. AIPN



z bliska. Wkrótce potem zmarł na stole operacyjnym. Dopiero po wielu godzinach pozwolono jego rodzicom zobaczyć zwłoki, nakazano im przynieść ubranie. Mieli czekać w domu na dalsze informacje. O 22.15 przyszli ubecy i powiedzieli, że zaraz będzie pogrzeb. Taksówkami zawieziono bliskich na cmentarz, potem długo czekali, aż zostaną zabrani nad wyznaczony synowi grób. Po silnych naleganiach wymogli otworzenie trumny. Ceremonia trwała niezwykle krótko, po niej kazano im wracać – obok czekały kolejne groby. Gdy następnego dnia matka z koleżankami pojechała na mogiłę syna, krzyknęła: „Mój Boże, zobaczcie że mój syn umrze jutro”. Nie myliła się – na tabliczce widniała data śmierci – 24 grudnia.

Rówieśniczką jej syna Stefana była 16-letnia Jadzia Kowalczyk, która nie brała udziału w robotniczych protestach. Po szkole wróciła do domu, postawiła tornister na podłodze i przez okno w kuchni patrzyła, co się dzieje. Mieszkała z rodzicami i rodzeństwem nieopodal Komitetu Wojewódzkiego. Obecna w mieszkaniu siostra nagle usłyszała huk, a gdy wbiegła do kuchni, zobaczyła leżącą w kałuży krwi Jadzię. Przez okno wpadły 3 kule, z których 2 utknęły w ścianie, a trzecia odbiła się od sufitu i rykoszetem trafiła dziewczynkę w głowę. Nastolatka powiedziała tylko „ma...” i zmarła. Potem przyszli milicjanci i starannie wydłubali kule ze ścian, by pozbyć się dowodów. Tyle że na tapczanie zostały fragmenty czaszki z włosami. Funkcjonariusze chcieli zabrać zwłoki, ale nie pozwoliła na to sąsiadka. Sąsiad lekarz sprowadził karetkę, która zabrała ciało dziewczynki do szpitala dziecięcego w Szczecinie. Stamtąd

■ JADWIGA KOWALCZYK. FOT. AIPN



milicja zabrała je do prosektorium miejskiego szpitala. Matka Jadzi, Hanna, nie mogła pogodzić się z tą nagłą tragedią. Oszalała z bólu krzyczała na pustym placu przed komendą milicji: „Zabiliście mi córkę! Zabijcie i mnie!”. Pogrzeb Jadzi odbył się nocą z 22 na 23 grudnia 1970 r. Rodzina dowiedziała się o nim tuż przed rozpoczęciem. Zabrano ich z domu ok. 21.00. Zażądali jednak otworzenia trumny i wezwania księdza. Na drugi dzień na grób Jadzi przyszły delegacje szkół, pracownicy z zakładów pracy ojca i matki oraz studenci Politechniki, którzy znali zmarłą i jej rodzeństwo. Na grobie złożono wieńce, część z nich miała napis „zamordowanej koleżance”. Dzień później rodzina zastała całkowicie spaloną mogiłę córki. Jadwiga Kowalczyk była jedyną kobietą, która zginęła podczas masakry Grudnia '70.

Matka 28-letniego Janusza Wrzodaka dowiedziała się o śmierci syna w chwili, gdy do jej mieszkania około północy zapukało 2 mężczyzn. Poinformowali ją, że Janusz zginął 4 dni temu, a zaraz odbędzie się jego pogrzeb. Nie pojechała z nimi, następnego dnia odnalazła mogiłę.

W pogrzebie 24-letniego nauczyciela Romana Kużaka też nie uczestniczył nikt z rodziny, zorientowali się, że coś nie tak,



■ GRÓB JANUSZA WRZODAKA W SZCZECINIE.
FOT. IPN

■ ROMAN KUŻAK. FOT. AIPN

gdy nie przyjechał do domu na święta. Na komisariacie MO w Polanicy rodzice zgłosili jego zaginięcie. W styczniu dotarł do nich list od kolegi syna z tragiczną informacją, pojechali więc do Szczecina i odszukali grób. Przez kolejny miesiąc starali się o ekshumację dziecka, by zrobić mu tradycyjny pogrzeb w Polanicy. Ludzie dowiedzieli się o ich tragedii, ich Romka na cmentarzu żegnał milczący tłum.



■ DANIEL KUĆMA. FOT. AIPN

Podobnie było na pogrzebie 24-letniego Daniela Kućmy w miejscowości Cebrze. Jego brat dowiedział się o tragedii z anonimowego telegramu wysłanego z Piotrkowa Trybunalskiego w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Daniel był robotnikiem w Szczecińskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Mieszkaniowego, postrzelono go 17 grudnia, zmarł w szpitalu 4 dni później. Bliscy szukali go po szczecińskich placówkach – mieli szczęście w nieszczęściu, bo jednak uzyskali zgodę na transport zwłok w rodzinne strony.

Wanda Karczewska poszukiwała swoich 2 synów: Jerzego i Wojciecha. Pierwszego, mocno pobitego, odnalazła dopiero po 3 miesiącach w areszcie przy ul. Kaszubskiej. Okazało się, że dokumenty drugiego odnaleziono na placu przed gmachem KW MO. Synowej pokazano fotografie zabitych, jednym z nich był Wojciech. Dopiero w styczniu 1971 r. rodzina zorientowała się, gdzie leży.

O śmierci 42-letniego Edwarda Prysaka rodzina dowiedziała się z gazety – z komunikatu zamieszczonego 18 stycznia 1971 r. w „Kurierze Szczecińskim”.



Edward Prysak

18.06.1928 - 18.12.1970

■ EDWARD PRYSAK. FOT. AIPN

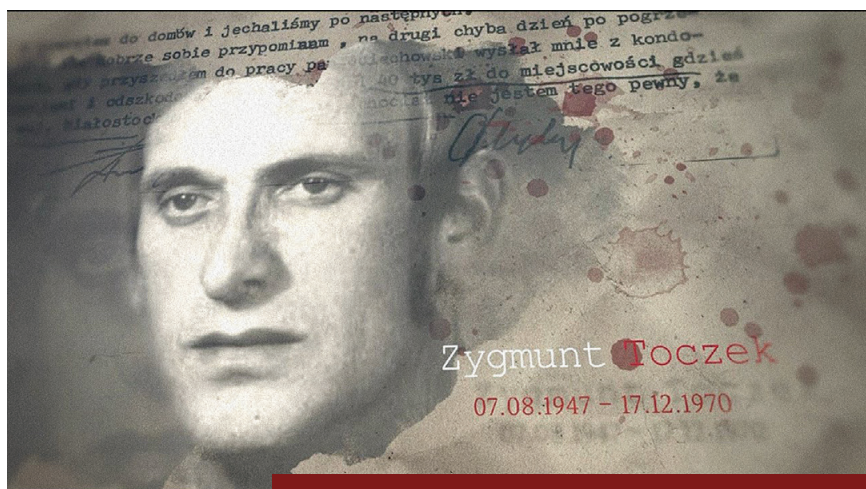
Za to matka 22-letniego Eugeniusza Błażewicza otrzymała wiadomość o śmierci syna zaraz po tym, jak stracił życie. Mimo godziny milicyjnej wyszedł z domu o 5.00 rano, a już o 9.00 jego mama odebrała anonimowy telefon. Serce jej stanęło po tym, co usłyszała. Przez 3 dni wraz z mężem biegali po szpitalach, poszukując dziecka. Potem dano im do rąk zakrwawiony sweter z małą dziurą z przodu i wielką z tyłu. Nie pokazano im zwłok. Poszli do KW MO, by prosić o zgodę na pożegnanie z dzieckiem, ale tam kazano im czekać. Ojciec spędził 48 godzin w oczekiwaniu na decyzję. Nad ranem 23 grudnia o 2.00 w nocy przyszli do ich domu cywile. Kazali im wziąć ubranie syna, twierdzili, że zaraz będzie pogrzeb. Rodzice nie ustępowali, gdy po ok. 2 godzinach zabrano ich nad grób, obok niego stała otwarta trumna z ciałem syna, ksiądz i fotograf. Pochówek Błażewicza odbywał się w świetle reflektorów. Na grobie umieszczono tabliczkę z celowo błędnie wpisaną datą śmierci.

■ EUGENIUSZ BŁAŻEWICZ. FOT. AIPN



Eugeniusz Błażewicz

24.12.1948 - 18.12.1970



■ ZYGMUNT TOCZEK. FOT. AIPN

Kazimierz Toczek znalazł 23-letniego syna Zygmunta w „trupiarni” na Golecinie. Przez szparę w starych drzwiach zobaczył leżące w pomieszczeniu zwłoki, zażądał ich wydania. Kazano mu czekać i jechać po ubranie, ale z powodu godziny milicyjnej już nie mógł potem wyjść z domu. Wieczorem musiał wezwać do żony pogotowie, nie wytrzymała z bólu i cierpienia, dostała zastrzyk uspokajający, a to był dopiero początek. Przed północą przybyli przedstawiciele władzy, by zabrać Toczków na pogrzeb. Rodzice domagali się księdza i tego, by pogrzeb odbywał się w dzień, ale usłyszeli, że „jeśli nie są zainteresowani, to syn zostanie pochowany w prześcieradle i nawet nie będą wiedzieli gdzie”. Dlatego pojechali, a potem długo czekali, zanim w świetle reflektorów otworzono na ich prośbę trumnę. Zapytano ich, czy są katolikami i czy chcą księdza, a cała ceremonia trwała 10 min. Tuż obok stały kolejne trumny. Wtedy siostrze Zygmunta puściły nerwy, zaczęła histerycznie krzyczeć. Jeden z funkcjonariuszy włożył jej w usta rękawiczkę. „Pozwólcie jej się wykrzyczeć!” – zażądał jej męża i ubecy odpuścili.

W dzień, oficjalnie, w obecności księdza, został pochowany jedynie 20-letni Stanisław Nadratowski. Był stoczniovcem, jak ojciec i brat, ale trafił do jednostki, która pacyfikowała robotniczy bunt. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, a jego oficjalny pogrzeb miał być „pokazówką”, dowodem, że ofiary padały po obu stronach.

O ofiarach grudnia w połowie stycznia 1971 r. poinformowała lokalna prasa. Komunikat Prokuratury Wojewódzkiej w Szczecinie ukazał się w „Kurjerze

Szczecińskim” 18 stycznia 1971 r. Wymieniono tam nazwiska 16 osób, których „pogrzeb odbył się na koszt Skarbu Państwa z udziałem rodzin osób zmarłych”. Podobny komunikat ukazał się w „Głosie Wybrzeża”. W notatce kłamano na potęgę, twierdząc, że „rodziny zmarłych otoczone zostały wszechstronną opieką i pomocą materialną władz państwowych”. Pogrzeby były kolejnym dowodem okrucieństwa władzy i znęcania się komunistów nad społeczeństwem.

W Trójmieście postępowano jak w Szczecinie. W ciągu 2 dni na cmentarzach Gdańska, Gdyni i Sopotu pochowano 23 osoby. Po 20 grudnia kolejne 2. Na Centralny Srebrzysko trafiło 8 osób, na Witomiński 3, św. Franciszka na Emaus 6, na Oliwki 5 i katolicki w Sopocie

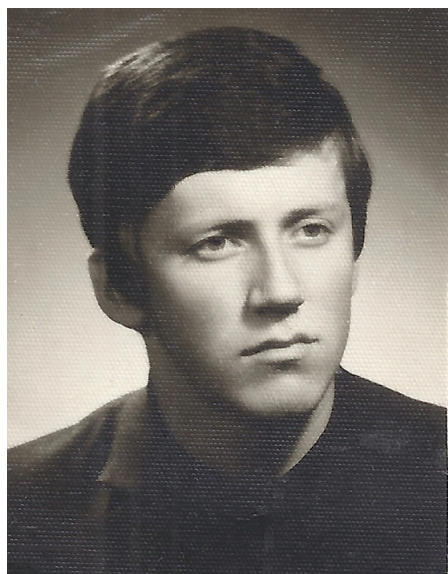


■ Ks. PPŁK JÓZEF SAMSONOWICZ.
Fot. CAW WBH



jedna. W niedzielę 20 grudnia na cmentarzu Agrykola w Elblągu pochowano Mariana Sawicza. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku realizowało pochówki ze wsparciem MO, Urzędu Spraw Wewnętrznych i wojska. Wydział ds. Wyznań Prezydium WRN miał zapewnić udział duchownego (próbowano pozyskać do tego księży diecezjalnych, proboszczów, ale odmawiali jeden po drugim). Ostatecznie sięgnięto po kapelanów wojskowych: ks. ppłk. Józefa Samsonowicza z Gdańska-Wrzeszcza i ks. kmr. Andrzeja Wystrychowskiego z Sopotu. Dwa

tygodnie później przyjęli za to wynagrodzenie w formie bezzwrotnej zapomogi w wysokości 5 tys. zł każdy (była to równowartość ponad 2 średnich krajowych). Podczas pochówków i spotkań z rodzinami ofiar nigdy nie stawali po ich stronie. Milczeli lub odchodzili na bok, a ich udział w ceremonii nad grobami sprowadzał się do odmówienia krótkiej modlitwy i pokropienia trumny. Śpiewanie i Msza św. były zakazane, co tym księżom nie przeszkadzało. W Szczecinie korzystano z usług ks. Juliana Janasa, pozostającego równocześnie w tajnych kontaktach z SB. Niektórzy uczestnicy pochówków nie bardzo wierzyli, że był on prawdziwym kapłanem...



■ WALDEMAR ZAJCZONKO.
FOT. SOPOCIANIE.MUZEUMSOPOTU.PL

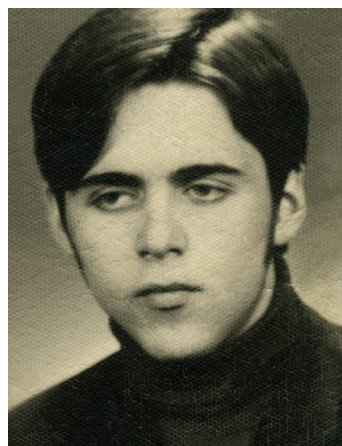
Krystyna Zajczonko wspominała, że 17 grudnia koło 21.00 przyszedł do niej sąsiad, sanitariusz w pogotowiu, który powiedział, że jej 20-letniego brata Waldka zabrano ze Wzgórza Nowotki. Sąsiad w drodze do szpitala sprawdził mu dokumenty. W szpitalu w Redłowie najpierw powiedziano siostrze, że nie ma takiej osoby, potem dostała jednak dokumenty i ubranie, ale ciała nie widziała. W wydany akcie zgonu widniała data 20 grudnia. „Powiedziałam, że ja tego nie wezmę, że brat został zabity 17 grudnia i tak ma być, co to w ogóle znaczy, i przy tej pani podarłam”. Gdy urzędniczka wyszła, Krystyna zobaczyła na oknie leżące akty zgonu, wystawione były na dni, które dopiero nastąpią. Pojechały wraz z matką

załatwiać Waldkowi grób w Sopocie, tymczasem w sobotę koło 23.00 zapukali do nich 3 mężczyźni. Powiadomili je o śmierci Waldemara Zajczonki, dodając, że za chwilę jest jego pogrzeb. „Ja mówię: Żadnego pogrzebu teraz nie będzie, mamy nie ma, zresztą po nocy nie będziemy nikogo chować”. Usłyszała: „W takim razie pochowamy bez was”. Dlatego pojechała. Na cmentarzu Witomińskim było sporo osób, wśród nich kapelan z Sopotu. Dano jej kierowcę, by pojechał z nią po matkę. Mimo obecności tajniaków, milicji i wojska nie ustąpiły, bo chciały pochować Waldka w Sopocie, i tak się stało.

Ojciec 17-letniego Zbigniewa Nastalego znalazł ciało syna w Akademii Medycznej w Gdańsku. „Kula weszła u nasady włosów, wyszła u podstawy czaszki. Na piersi miał karteczkę z literami N.N. Tego samego dnia wieczorem ok. 23.00 przyjechali z Gdańska panowie i oświadczyli, że za chwilę na cmentarzu w Oliwie odbędzie się pogrzeb syna i że najbliższa rodzina, czyli żona, ja i najstarszy syn, możemy pojechać. Ale postawiliśmy sprawę twardo, znalazł się drugi samochód i pojechaliśmy w dziewięć osób. Zabraliśmy ubranie, obudziliśmy ogrodnika i kupiliśmy kwiaty. Pogrzeb trwał krótko. Był ksiądz, odmówił modlitwy. Śpiewać nie było wolno, ale że nas było więcej osób, zdobyliśmy się na odwagę i zaśpiewaliśmy *Witaj, Królowo*”. Nastalowie mieli kłopot z uzyskaniem aktu zgonu, w prokuraturze w Gdyni powiedziano im, że nie wiedzą, czy ktokolwiek został zabity. W lutym 1971 r., gdy syn ich miałby 18. urodziny, poprosili o jego ekshumację, by pochować go w rodzinnym Wejherowie.

Bratowa 34-letniego ślusarza Brunona Drywy przedstawiła te chwile podobnie: „A księdza chcecie? – spytano. A ja na to: A czy to jest prawdziwy ksiądz? W tym czasie przyszedł już do nas ksiądz, młody kapelan z kościoła garnizonowego w Sopocie lub Gdyni. Ten ksiądz, gdy usłyszał moje wątpliwości, mówi: Naprawdę, ja jestem prawdziwym księdzem, a nie przebranym. I zaczął rozpinać guziki sutanny, żebyśmy mogli zobaczyć, że pod spodem nie ma żadnego cywilnego ubrania”.

Leonarda Wycichowska, matka 20-letniego Zbigniewa, widziała, że syn miał 4 rany. Przestrzał serca, płuc i prawej ręki. Leżał w szpitalu i zmarł 11 stycznia 1971 r. „Na drugi dzień przyjechali z Wojewódzkiej Rady



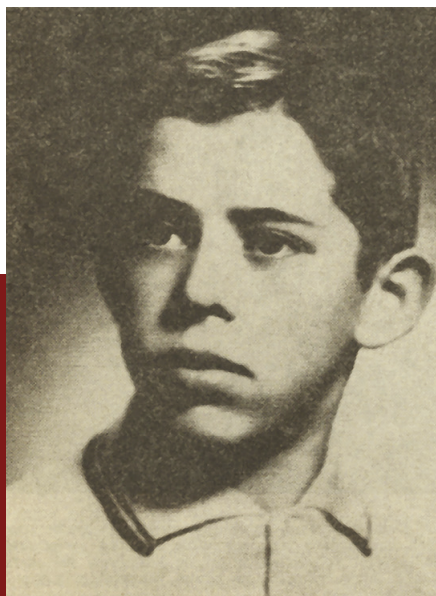
■ ZBIGNIEW NASTALY. FOT. AIPN



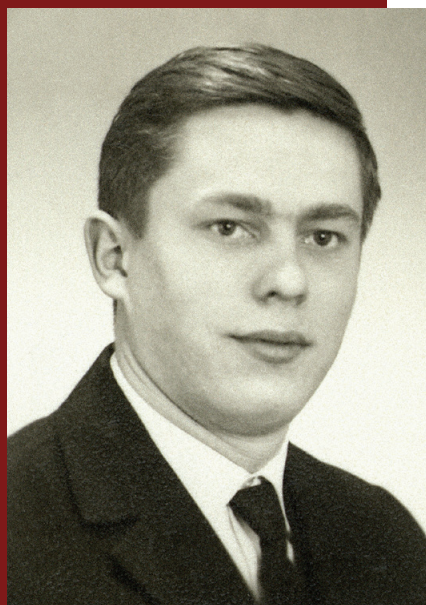
■ BRUNON DRYWA. FOT. AIPN



■ ZBIGNIEW WYCICHOWSKI.
FOT. AIPN



■ APOLINARY FORMELA. FOT. AIPN



■ ZYGMUNT POLITO. FOT. AIPN

Narodowej składać kondolencje. Przywieźli 25 tys. złotych i powiedzieli, że mam podpisać sekcję zwłok: Pani wie, że syn zmarł na wrzód żołądka. – Ja siedziałam i myślałam, byłam bardzo zaskoczona. Na szczęście w mieszkaniu był mąż. Usłyszał i mówi: Co?! Wrzód żołądka?! Strasznie krzyczał. Gdzie masz ubranie? – znalazłam je. Mąż rozkłada, pokazuje dziury po kulach i krzyczy: A to co jest? To jest wrzód żołądka?”

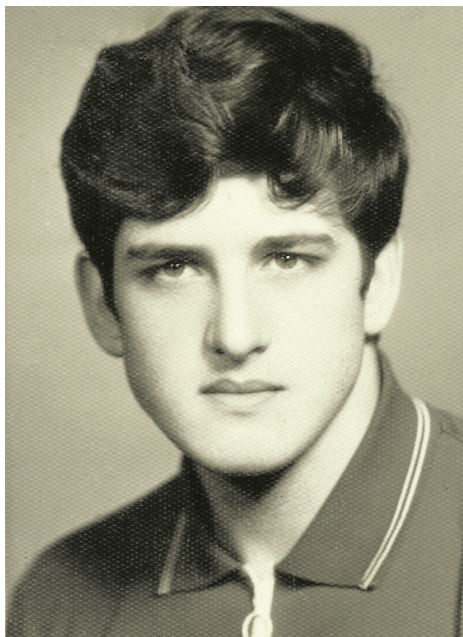
Matka 20-letniego Apolinarego Formeli, marynarza, o śmierci syna dowiedziała się w pierwszych dniach stycznia. O tym, że zginął w Gdyni 17 grudnia powiedzieli jego 2 ranni koledzy, którzy odwiedzili ją w Rumi. Po postrzale w głowę leżał jeszcze długo w szpitalu w Redłowie, zanim umarł. Na pogrzebie nie była, w prokuraturze wskazano jej tylko numer grobu syna na cmentarzu w Gdańsku przy ul. Kartuskiej.

Rodzice 24-letniego Zygmunta Polity nie mogli odnaleźć w szpitalach syna, odsyłano ich od Annasza do Kajfasza, ale nagle o 23.00 przyszli do nich do domu „goście” i poinformowali, że „za godzinę będzie zakopany”. „Weźcie ubranie, bo jest w piżamie” – mówili. Nie było to prawdą, bo jak wiele innych ciał leżał w trumnie nago. Zastrzelonym zabierano ubrania i dokumenty. Jeden z przyjaciół rodziny zdjął własne buty, aby założyć je zmarłemu. Pozostali uczestnicy pogrzebu zdejmowali skarpetki i pończochy, żeby ofiarodawca nie odmroził sobie stóp. Politowie tak wspominali

pochówek: „Noc, godzina dwunasta. Jak przyjechaliśmy, to zatrzymali nas w samochodzie. Siedzieliśmy, a przed nami szedł pogrzeb. Takie małe dziecko, żona, ze trzy osoby i to wszystko. A teraz wy następni. Latarnia jedna w rękę, zakopali do pół grobu i już odjazd do domu. A tu już drudzy czekali, też byli przywiezieni. Stali i płakali. Widzieliśmy. No i tak się odbyła ta cała ceremonia”.

Ojciec 18-letniego ucznia Technikum Chłodniczego w Gdyni Stanisława Sieradzana opowiadał: „W sobotę wieczorem o 20.00–20.30 przyszło dwóch panów z urzędu miejskiego. Tak normalnie, służbowo. – Czy mieszka tu Stanisław Sieradzan? – Mieszka. I jeden z nich mówi: Mamy przykrą wiadomość. Stanisław nie żyje, proszę się ubierać, będzie pogrzeb, Nysa czeka”. Rodzice pojechali do kostnicy na Witominie, otworzyli najdłuższą trumnę, bo syn miał 185 cm. Zażądali pogrzebu po chrześcijańsku, za dnia i z księdzem. Tyle że na to potrzeba było specjalnej zgody, bo pogrzeby ofiar odbywały się po godzinie milicyjnej, żeby nie było zgromadzenia. Zapamiętali, że syn „kulę dostał w bok, przeszła skosem. Z lekkiej broni ktoś mu strzelił z tyłu w plecy jak uciekał”. Ale ich protest odniósł sukces. Stanisława pochowano w poniedziałek, rodzinie podstawiono autobus i dwie Nysy. Po Mszy św. pochowano go na Witominie. Odprawił ją proboszcz, franciszkanin o. Stanisław Frejlich, z którym utrzymywał kontakty szef gdyńskiej bezpieki – po latach zakończyły się oficjalnym werbunkiem. W czasie pogrzebu panowała ciemność, dwa samochody oświetlały grabarzem miejsce pochówku. Ten sam zakonnik następnego dnia miał pochować jeszcze Jerzego Skonieczkę, ale zastąpił go inny ojciec.

Ojciec 17-letniego Janusza Żebrowskiego szukał syna przez kilka dni. W końcu poprosił znajomego milicjanta. „Pytam, gdzie leży, a oni wysłali mnie do Gdańska do Wydziału Spraw Wewnętrznych i tam mnie poinformowali, powiedzieli, żeby



iść do grabarza na cmentarzu Emaus za Gdańskiem. Grabarz pokazał mi grób. Był bez tabliczki, ale z krzyżem”. Zgodę na ekshumację otrzymał 4 marca. Nie dano mu otworzyć trumny, włożyli ją w drugą, ocynkowaną. Gdy jechali na cmentarz w Gdyni-Leszczynkach, ruszyły za nimi 3 wozy milicji. Ale w Wielkanoc wykopali ze szwagrem trumnę. Janusz był pochowany w swoim ubraniu, tylko bez kurtki. Kula przeszła przez lewe oko i w serce. Na piersi leżała karteczka: „Janusz Żebrowski urodzony 1953”. Chłopak miał przy sobie legitymację szkolną i ubecy wiedzieli,



■ STEFAN MOSIEWICZ. FOT. AIPN

jak się nazywa, gdzie mieszka, ale nie powiadomili rodziców. Gdyby nie wysiłek ojca, zatuszowaliby sprawę. Państwu Żebrowskim urzędnicy 3 razy próbowali wręczyć pieniądze. Nie wzięli. Na grobie syna postawili tabliczkę: „Został zastrzelony przez MO w zająściach grudniowych”. Zamazano ją, ale ojciec zrobił drugą. Poszedł na milicję i powiedział, że jak złapie tego, co to robi, to nie ręczy za siebie.

Rodzice 22-letniego Stefana Mosiewicza, który zginął 16 grudnia 1970 r. pod bramą Stoczni Gdańskiej, dowiedzieli się o jego śmierci już po tym, jak został pogrzebany. Delegacja urzędowa przyjechała do nich dopiero po świętach Bożego Narodzenia.

Izabela i Eugeniusz Godlewscy mieszkali w Elblągu, a ich syn Zbigniew zatrudnił się w gdyńskiej stoczni, gdzie pracował przy przeładunku statków.



16 grudnia pojechał do Gdańska zobaczyć, jak wygląda sytuacja, stamtąd napisał list do rodziców. „Kochani Rodzice, byłem dzisiaj w Gdańsku. Wszystko widziałem. Nie martwcie się... Zbyszek”. Wieczorem wysłuchał przemówienia wicepremiera Stanisława Kociołka, który apelował: „Jeszcze raz ponawiam, stoczniovcy, adresowane do was wezwanie: przystąpcie do normalnej pracy. Są do tego wszystkie warunki”. Tymczasem Kociołek wiedział, że stocznia została zablokowana, a on sam wydał zgodę na strzelanie do robotników. Zbigniew Godlewski chciał stawić się do pracy, ale zamiast tego seria z karabinu maszynowego przeszła jego głowę i klatkę piersiową. Zginął na miejscu 17 grudnia, a jego ciało koledzy położyli na drzwiach i ponieśli ul. Świętojańską do centrum Gdyni, aż pod budynek Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Ciało kilka razy zostawiali na ulicy, bo musieli ratować życie, idąc pod ostrzałem pocisków i gazów. Chowali się wtedy po bramach. Po tym wszystkim Godlewscy dostali telegram: „Zbyszek nie żyje. Kazik”. Prerażeni, natychmiast przyjechali do Trójmiasta. Próbowali odnaleźć i zobaczyć ciało syna, ale ze szpitala w Gdyni-Redłowie odesłano ich do prokuratury. Usłyszeli, że jest sobota i nic się nie da załatwić. Nazajutrz, w niedzielę wieczorem, u Godlewskich zjawili się ludzie z Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku i poinformowali, że tego samego dnia odbędzie się pogrzeb. Pochówek najśłynniejszej ofiary Grudnia 1970 r. (pochód z ciałem Zbyszka idący Świętojańską został uwieczniony piosenką. Nazwano go w niej Jankiem Wiśniewskim) miał miejsce 20 grudnia po godzinie 23.00 na cmentarzu w Gdańsku-Oliwie przy udziale kapelana wojskowego ks. ppłk. Józefa Samsonowicza. Godlewscy właśnie tam dostali list od nieżyjącego syna, przekazał go im jego kolega. Rok później zdołali doprowadzić do ekshumacji i przeniesienia szczątków do Elbląga. Obecnie jedna z ulic w tym mieście nosi imię Zbigniewa Godlewskiego; ma on też swoją ulicę w Zielonej Górze, gdzie się urodził. W Gdyni również ma, został patronem ulicy



■ JERZY MATELSKI. FOT. AIPN



■ KAZIMIERZ STOJECKI. FOT. AIPN

jako Janek Wiśniewski i jako taki jest symbolem wszystkich zamordowanych stoczniowców.

Wielu robotników umarło w styczniu 1971 r. Ich rodzinom władze dawały po 20 tys. zł – tak wyceniały ludzkie życie. Odmawiali ich przyjęcia. Większość ciał pogrzebanych w grudniu 1970 r. już w 1971 r. zostało ekshumowanych przez rodziny. Dziś na gdańskich cmentarzach spoczywają: Jerzy Matelski i Józef Pawłowski (Srebrzysko) oraz Kazimierz Stojek (Emaus).

GRUDZIEŃ WBIŁ SIĘ W PAMIĘĆ

Tragedia Grudnia '70 została zapamiętana przez mieszkańców Wybrzeża. Ludzie nie zapomnieli barbarzyństwa komunistycznej władzy. Dziesięć lat później znów wybuchł bunt i robotnicy upomnieli się o swoje prawa. Gdy tylko nastała Solidarność, starali się wykorzystać okres odwilży na postawienie pomników upamiętniających tragedię. Okres istnienia Solidarności pozwolił też na zgromadzenie znacznej liczby relacji, świadectw, dokumentów, źródeł prasowych i literackich dotyczących masakry robotników w grudniu 1970 r. Opublikowano je poza cenzurą w 1985 r. w kwartalniku „Spotkania”. Wciąż są żywym dowodem na bestialstwo komunistycznej władzy, a ich lektura wywołuje łzy w oczach. Są też świadectwem tego, że robotnicy umieli wyciągać wnioski i starali się skutecznie walczyć z systemem. Anna Walentynowicz w czerwcu 1981 r. tak mówiła o masakrze: „Grudzień nie poszedł na marne [...] nauczyliśmy się, że nie wolno nam było wyjść na ulicę... każdy z nas zdawał sobie z tego sprawę. Jeśli strajk, to tylko okupacyjny”.

BIBLIOGRAFIA

Grudzień 1970, Editions Spotkania, Paryż 1986.

Miedziński P., „Zjedz obiad, najedz się, wieczorem czeka nas robota”. *Nocne pogrzeby szczecińskich ofiar Grudnia '70*, „Biuletyn IPN” 2010, nr 12.

Pacholczyk N., *Pocisk trafił 16-letnią Jadzię. „Mózg zakopaliśmy w ogródku”. Jedyna kobieta, która zginęła w Grudniu '70*, <https://wiadomosci.gazeta.pl>, 2 I 2023 r.

Pierzak J., *Stała w oknie, gdy trafił ją pocisk. Jadzia w Grudniu '70 zginęła jako jedyna kobieta. Miała 16 lat*, <https://kobieta.gazeta.pl>, 1 V 2023 r.



Kinga Hałacińska (ur. 1967) – dziennikarz, redaktor „Biuletynu IPN”; do 1997 r. asystent w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Współpracowała z „Business Weekiem”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Rzeczpospolitą”, „Kombatantem” i „Dobrym Tygodniem”. Członek Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w Warszawie.



■ WIESŁAW SZYŚLAK, BOGDAN PIETRUSZKA
I ROBERT PEPLIŃSKI PRZY MAKIECIE POMNIKA.
KADR Z FILMU DOKUMENTALNEGO *O TYCH,
KTÓRZY ZBUDOWALI POMNIK Z 2020 R.*

ARTUR CIEŚLIK

POMNIK POLEGŁYCH STOCZNIOWCÓW 1970 PAMIĘĆ – PRZESTROGA – NADZIEJA

Trzy strzeliście wznoszące się ku niebu stalowe krzyże, a na nich 3 kotwice. Zbudowany w 100 dni, odsłonięty 16 grudnia 1980 r. o godz. 17.00 w miejscu, gdzie 10 lat wcześniej padli zabici. Pomnik Poległych Stoczniovców 1970 w Gdańsku – znak żałoby i uporu, ale też społecznego zwycięstwa nad bezsilnością, gdy wspólnota potrafiła wymóc na władzy prawo do pamięci.

„Dziś i na zawsze pomnik jest symbolem wolności, a przede wszystkim – przestrogą dla władzy, jakakolwiek by była, jeśli próbowałaby tę wolność ograniczyć”¹ – podkreślał jego autor, architekt Wiesław Szyślak. Kompozycję tworzą 42-metrowe krzyże ustawione na planie pękniętego trójkąta, z mosiężnymi kotwicami w ramionach. W dolnej partii widnieje cykl 10 płaskorzeźb z brązu – sceny z życia stoczni i alegoria wysiłku zbiorowego – oraz daty: 1956, 1970, 1980, 1981. Od strony stoczni dopełnia całość mur pamięci z tablicami. Ta materia porządkuje opowieść: krzyże symbolizują 3 stoczniowców zabitych pod bramą nr 2 (2 zginęło na miejscu, trzeci zmarł w karetce w drodze do szpitala), kotwica jest znakiem nadziei, reliefy schodzą do poziomu człowieka pracy – to jego los ma być pamiętany.

WALKA O PAMIĘĆ

Mimo sprzeciwu ze strony władzy ofiary Grudnia '70 czczono od samego początku. Na grobach poległych znajdujących się na różnych cmentarzach gdańskich składano kwiaty i wieńce ozdobione biało-czerwonymi i czarnymi szarfami z napisami „Ofierze Grudnia 1970” i „Naród pamięta”. Głównym inicjatorem i wytrwałym orędownikiem upamiętnienia zamordowanych był stoczniowiec Henryk Lenarciak, w roku 1970 członek Komitetu Strajkowego.

Przez dekadę pamięć o zabitych pielęgnowano oddolnie: mieszkańcy Trójmiasta przynosili kwiaty pod mury stoczni. „Od połowy lat 70-tych stoczniowcy na coraz większą skalę składają w kolejne rocznice wydarzeń grudniowych, w dzień Wszystkich Świętych oraz w zakazane w socjalistycznej Polsce święta patriotyczne kwiaty i zapalają znicze w miejscu, w którym zginęli ich koledzy – czyli pod bramą numer 2 gdańskiej stoczni. Pod ochroną nocy milicja i SB usuwają znaki pamięci o ofiarach reżimu, który sam siebie nazywał władzą ludową. Pomimo to pojawiają się one nadal, jest ich coraz więcej i stają się coraz bardziej widoczne, przez co coraz bardziej drażnią one władzę. Z roku na rok wzrasta ilość robotników, zbierających się w rocznicę Grudnia pod bramą stoczni i upamiętniających swą obecnością zabitych kolegów.

¹ W. Szyślak, *Zależało mi, by zostawić miastu jakiś ślad mojej działalności*. Z Wiesławem Szyślakiem, inżynierem architektem, autorem architektonicznej koncepcji Pomnika Poległych Stoczniowców 1970 rozmawia Maria Mrozińska, Portal Miasta Gdańska, <https://www.gdansk.pl/historia-gdanska/rozmowy-gdansk/zalezalo-mi-by-zostawic-miastu-jakis-slac-mojej-dzialalnosc,a,174453> [dostęp: 29 IX 2025 r.].



■ WIESŁAW SZYŚLAK, 2020 R.
FOT. SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY
POMNIKA POLEGŁYCH STOCZNIOW-
CÓW 1970 W GDAŃSKU / FACEBOOK



■ HENRYK ŁENARCIAK.
FOT. AIPN

Władza stosuje nawet specjalne areszty prewencyjne przed 1 Maja, a funkcjonariusze SB czuwali, by w oficjalnych paradach nikt nie »zakłócił spokoju«². 16 grudnia 1979 r. pod bramą nr 2 zebrało się 7 tys. ludzi. To wtedy Lech Wałęsa apelował publicznie, by za rok wystawić pomnik, nawet jeśli władze państwowe nadal będą blokowały godne upamiętnienie: »W przyszłym roku będziemy obchodzili dziesiątą rocznicę tej tragedii. Musimy postawić pomnik. Jeśli do tego czasu nie powstanie, proszę wszystkich, by każdy na rocznicę przyniósł ze sobą kamień. Jeśli wszyscy przyniosą po jednym, to na pewno zbudujemy pomnik»³.

Gdy 14 sierpnia 1980 r. w Stoczni Gdańskiej wybuchł strajk, postulat budowy pomnika pojawił się od razu, choć początkowo nie należał do najtwardszych żądań. A jednak protest rozpoczęto od uczczenia pamięci o zamordowanych w grudniu minutą ciszy przed bramą nr 2. Już 17 sierpnia stanął tam drewniany krzyż. Wkrótce delegaci Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego potwierdzili wolę realizacji pomnika poległych w 1970 r. stoczniovców. Wyznaczyli datę odsłonięcia na 16 grudnia 1980 r., tj. w 10. rocznicę strzałów przy bramie nr 2.

1 września 1980 r., tuż po podpisaniu porozumień, powołano SKBP. Był to wynik zgody strony

² M. Soska, *Formy pamięci o ofiarach Grudnia 1970 w Gdańsku. Pomnik „Poległych Stoczniovców 1970” oraz powieść „Turbot” Güntera Grassa*, Gdańsk 2009, s. 44.

³ A.S. Górski, *Grudzień 1979. Pamięć o zastrzelonych robotnikach trwa w nas*, <https://solidarnosc.gda.pl/aktualnosci/grudzien-1970-pamiec-o-rozstrzelanych-robotnikach-trwa-w-nas> [dostęp: 29 IX 2025 r.].

rządowej na budowę pomnika. Przewodniczącym został Henryk Lenarciak. Natychmiast też pojawiły się ze strony władz próby rozmycia inicjatywy. I sekretarz Komitetu Zakładowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w stoczni, Józef Wójcik, proponował „kompromis” w postaci zawieszenia tablicy pamiątkowej w Sali BHP, w tzw. Sali Tradycji, obok innych tablic historycznych – co de facto spychało pamięć o poległych stoczniowcach do wnętrza zakładu. Propozycja ta została odrzucona. 2 września wojewódzki konserwator zabytków Mirosław Zeidler na spotkaniu ze stoczniowcami zaproponował ogłoszenie szerokiego konkursu na projekt i lokalizację pomnika. Spotkanie odbyło się bez wiedzy i udziału SKBP i stanowiło próbę spowolnienia lub wstrzymania prac. Zeidler powołał Radę Artystyczną, jako ciało opiniujące rozwiązania plastyczne i lokalizacyjne poza strukturą SKBP, co w jego zamierzeniu przesunęło punkt ciężkości rozstrzygnięć do administracji. Architekt miejski Marian Wszelaki postulował odłożenie budowy o rok i jednocześnie wskazywał lokalizację w okolicach stacji benzynowej przy ul. Jana z Kolna, a inż. Tomasz Parteka z Gdańskiego Biura Planowania Przestrzennego zgłosił zastrzeżenia wobec planowanej wysokości monumentu.

Działania te stwarzały ryzyko opóźnień i otwierały ścieżki do dalszych administracyjnych rewizji założeń. Nie zatrzymały jednak procesu przygotowań. 16 września doszło w Sali BHP do wspólnego posiedzenia SKBP i Rady Artystycznej. W obecności Lecha Wałęsy i kilkuset stoczniowców wskazano lokalizację przy bramie nr 2. Komitet przedstawił zarys koncepcji pomnika: 4 wysokie krzyże i „wieczny ogień”. Nazajutrz Wszelaki potwierdził zaproponowaną lokalizację. Na wszelki wypadek stoczniowcy zabezpieczyli teren: udaremniili próby przesunięcia ogrodzeń i wchłonięcia miejsca śmierci robotników w obszar zakładu, a także zatrzymali przygotowania do budowy „supersamu” przy bramie nr 2. Jak wspominał Szyślak, „Propozycja przesunięcia pomnika w miejsce skąd nie mógłby być dostrzeżony z okolic dworca tak rozsiedziła Lecha Wałęsę, że natychmiast zaproponował profesorowi [Wiktorowi Zinowi – wiceministrowi kultury, a także generalnemu konserwatorowi zabytków – przyp. aut.] przejście na plac. Tam wbił młotkiem kołek w zaplanowanym przez Komitet Budowy miejscu posadowienia pomnika i stwierdził: »Właśnie tu będzie stał pomnik!«²⁴.

²⁴ W. Szyślak, *Zależało mi, by zostawić miastu jakiś ślad...*



■ DREWNIANY KRZYŻ USTAWIONY PRZEZ STOCZNIOWCÓW, UPAMIĘTNIAJĄCY OFIARY GRUDNIA '70.
FOT. STANISŁAW SKŁADANOWSKI / AIPN

KRZYŻE POD STOCZNIĄ

Z początkowego projektu 4 krzyży zrezygnowano. Ekspertyza inż. Konrada Niklasa wykazała, że układ 4 ustawionych blisko siebie kolumn wytwarza nadmierny opór i uderzenie wiatru może je uszkodzić. Do tego doszła opinia prymasa Stefana Wyszyńskiego, wskazującego na czytelność układu 3 krzyży w odniesieniu do Golgoty – fundamentalnego w chrześcijaństwie obrazu męczeństwa i nawiązanie do ofiary 3 zabitych przy bramie nr 2 stoczniowców.

24 września w Sali BHP przedstawiono projekty 3 zespołów na koncepcję rzeźbiarsko-architektoniczną, zgłoszone w ramach konkursu rozpisanego 6 września. 1 października SKBP w tajnym głosowaniu przyjął jeden z projektów, który 10 października prof. Zin zaakceptował pod względem plastycznym. W dołączonym „Opisie Pomnika” zdefiniowano formę i przesłanie upamiętnienia: „W miejscu, w którym wsiąkły krople krwi poległych stoczniowców, po dziesięciu latach wyrosły trzy krzyże przebijające skorupę fałszu, obłudy i cynicznej obojętności na ludzkie losy.

Od tysiąca lat w polskiej symbolice narodowej krzyż stanowi symbol wiary. Z końcem wieku XVIII kotwica oznacza dla następnych pokoleń Polaków symbol nadziei. Trzy krzyże łączące się ramionami we wspólnym kręgu symbolizują pierwszych poległych stoczniowców w grudniu 1970 roku pod 2-gą bramą Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

■ TABLICA UPAMIĘTNIAJĄCA WIKTORA ZINA, KRAKÓW, UL. SIENNA 7. FOT. WIKIMEDIA COMMONS





Trzy ukrzyżowane kotwice oznaczają kolejne lata 1956, 1970, 1976, lata ukrzyżowanych nadziei.

Płonący u stóp krzyży znicz – symbol życia.

Rok 1980 symbolizuje Krąg Solidarności i nadziei w formie scen z życia stoczniowców wyrosły wraz z tymi krzyżami.

Pomnik ten niech stanowi memento dla wszystkich tych, którzy symbole te chcieliby nam odebrać. Nie chcemy wznosić czwartego krzyża z kolejną datą. Nie



chcemy, aby kiedykolwiek jeszcze wznoszono pomniki o takiej symbolice”⁵.

Jednak władze nie rezygnowały z prób przejęcia narracji. Forsowanie ogólnopolskiego konkursu i wskazywanie alternatywnych lokalizacji korespondowały z dążeniem, by zmienić nawet nazwę: „Ofiarom Grudnia – Społeczeństwo”. Chodziło o złagodzenie wymowy upamiętnienia oraz dopisanie nazwisk zabitych milicjantów, zamieniając pomnik w znak „pojednania”. Ten pomysł zablokowała Anna Walentynowicz, wskazując ryzyko relatywizacji odpowiedzialności za masakerę. Dzięki jej interwencji utrzymano nazwę „Pomnik Poległych Stoczniovców 1970”.

BUDOWA W 100 DNI

Władysław Knap, człowiek od zadań niemożliwych w tym przedsięwzięciu, wspominał: „To było szaleńcze tempo. Nie do powtórzenia. Integrował nas i napędzał niebywałą entuzjazm. Takie na przykład zdarzenie: 700 inżynierów z biura pod-

⁵ M. Soska, *Formy pamięci...*, s. 64.

wija rękawy, bierze kilofy i rozbiera bruk jezdní. Innym razem architekci, sama arystokracja wśród inżynierów, własnoręcznie urabiali glinę rzeźbiarzom”⁶.

Prace miały wymiar powszechny. Włączyli się stoczniowcy, setki fachowców z Trójmiasta i zwykli mieszkańcy, a zbiórka środków objęła kraj i Polonię. Organizację przedsięwzięcia uporządkowano jak w nowoczesnym biurze projektu: SKBP powołał zespoły: rzeźbiarsko-konstrukcyjny, koordynacji wykonawstwa i nadzoru geodezyjnego, instalacji gazowych i elektrycznych, fundamentu i najbliższego otoczenia, zagospodarowania terenu oraz zabezpieczenia dostaw. Narady koordynacyjne odbywały się 2 razy w tygodniu, z protokołami udostępnianymi wykonawcom. Analizy wytrzymałościowe i dobór posadowienia konsultował Niklas, obieg materiałów i logistyka spoczęły na barkach Knapa, dokumentację budowlaną przygotował zespół Szyśłaka: „Niemał nie odstępowałem od deski kreślarskiej. Trzeba było określić gabaryty, proporcje, grubości blach i sposób montażu. Wysokość 42 metrów wyznaczyły możliwości dźwigów, a materiał mógł być tylko jeden: stal nierdzewna”⁷. Inwestorem była Stocznia Gdańska, w której też wykonywano kluczowe elementy. „[...] Jej dyrektor, Klemens Gniech pełnił funkcję inwestora zastępczego. Bez jego wsparcia trudno byłoby zrealizować budowę tak potężnego monumentu. Za swoje zaangażowanie zapłacił stanowiskiem”⁸.

Finansowanie opierało się jedynie na dobrowolnych darowiznach. Jeszcze pod koniec sierpnia stanęła pod bramą nr 2 skarbona na datki (podobno początkowo były to duże słoiki na przetwory). Trzeba też było uzyskać zezwolenie od władz na zbieranie funduszy. Zgodę SKBP otrzymał 18 listopada, niespełna miesiąc przed odsłonięciem pomnika, pod warunkiem złożenia do 30 listopada sprawozdania finansowego. Po otwarciu rachunku w banku ruszyły zbiórki w zakładach pracy i w holu Dworca Głównego. W prasie ukazał się apel. Skala odzewu była tak duża, że w trakcie realizacji nie sposób było sporządzić pełnego rejestru ofiarodawców. Dołączali instytucjonalni darczyńcy i Polonia. Kościół pośpieszył ze wsparciem, księża w całej Polsce mówili o wielkiej sprawie.

⁶ *Ibidem*, s. 65.

⁷ W. Szyślak, *Zależało mi, by zostawić miastu jakiś ślad...*

⁸ *Ibidem*.

BÓJ Z BIUROKRACJĄ I CZASEM

Prace terenowe rozpoczęto już we wrześniu. Wbito 16 betonowych pali i wykonano fundament o wymaganej nośności. Przełożono sieci, przygotowano stanowiska dźwigów i uporządkowano zielen. Geoprojekt prowadził rozpoznanie i nadzór geodezyjny, Energopol-4 realizował palowanie, a Budimor fundamenty z uzbrojeniem. „Pomnik Poległych Stoczniovców opiera się na osiemnastometrowych palach sięgających twardego gruntu, na nich posadowiona jest pozioma przebrojona gruba płyta. Stateczność konstrukcji została wielokrotnie sprawdzona. Specjaliści różnych branż zgłaszali się z ofertą pomocy”⁹.



■ TRANSPORT 3 KOTWIC – ELEMENTÓW POMNIKA, GDAŃSK, PAŹDZIERNIK–GRUDZIEŃ 1980 R. FOT. AIPN

Prefabrykacja przebiegała w halach stoczni. Wydziały K-1, K-2, K-3 i K-5 wykonały 3 krzyże ze stali chromoniklowej o wysokości 42 m i masie 36 t każdy; ramiona mają 7,20 m rozpiętości. Wydział W-3 wytworzył kotwice z płyt mosiężnych, długie na ok. 6,5 m i ważące blisko 2 t. Pas płaskorzeźb według rzeźb Elżbiety Szczodrowskiej-Peplińskiej i Roberta Peplińskiego odlano z brązu na wydziałach S-1 i S-3 pod nad-

⁹ *Ibidem.*

zorem odlewnika Ryszarda Urbana, a następnie scalano i montowano na W-3. Wykonanie samych rzeźb również od artystów wymagało heroicznej organizacji pracy. Jak mówił Robert Pepliński: „Wiedziałem, że muszę wykonać te płaskorzeźby w ciągu siedmiu tygodni. A termin to niewiarygodny, bo przecież taką rzecz robi się co najmniej cztery lata. [...] Daliśmy z żoną z siebie wszystko”¹⁰. Równolegle pod płytą placu toczył się maraton instalacyjny: układano zasilanie oświetlenia, odwodnienie i instalację wiecznego ognia – łącznie ponad 15 km rur i blisko 40 km przewodów.

Montaż ruszył 30 listopada. Przeprowadzono niezwykle skomplikowaną operację przetransportowania krzyży z wydziałów kadłubowych, gdzie powstały, pod bramę nr 2. Odbyło się to najpierw przez kanał stoczniowy specjalnym promem-platformą, w asyście pływającego dźwigu. Potem ogromnym transporterem przez teren stoczni pod bramę nr 2. Jeszcze późnym wieczorem ekipa „Mostostalu-10” przy pomocy 2 dźwigów postawiła pierwszy. 2 grudnia, przy sztormowym wietrze i mimo przenikliwego zimna, stanęły 2 pozostałe krzyże. W ciągu następnych 2 dni zawieszono kotwice. Całą tę operację pracownicy „Mostostalu” wykonali po pracy, bez jakiegokolwiek wynagrodzenia.

7 grudnia rozpoczęto zawieszanie płaskorzeźb. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych oraz Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów z Gdańska uprządkowały teren wokół pomnika. Plac wyłożono zdemontowanymi płytami lotniskowymi z Zaspy; celowo pozostawiono pęknięcia, aby ich spękana faktura przywoływała obraz poranionej ziemi. Wokół wytyczono 4 kręgi, z których najbliższy nazwano Kręgiem Solidarności. „[...] wręcz niewiarygodne było zaangażowanie ludzi. Jak gdyby odblokowały się w nich siły uwiecznione dotąd niemożnością działania. A gdzieś jeszcze pojawiała się i uporczywie wracała myśl: trzeba się spieszyć, trzeba zdążyć, dopóki władza nie otrząsnęła się z posierpniowego szoku”¹¹.

Trzeba przy tym wszystkim pamiętać, że SKBP działał w niesprzyjających warunkach socjalistycznego ustroju i aby nie dać władzy pretekstu do hamowania prac, musiał dbać o dopełnienie wszystkich administracyjnych formalności: „SKBP w trakcie całej dotychczasowej budowy pomnika przestrzegał skrupulatnie

¹⁰ R. Pepliński, *Nosiłem te twarze w sobie. Rozmowa z rzeźbiarzem Robertem Peplińskim twórcą wystroju plastycznego Pomnika Poległych Stoczniovców w 1970 r.*, „Pomerania” 1981, nr 1, s. 39, http://www.bibliotekacyfrowa.eu/dlibra/show-content/publication/1511/edition/2850/?format_id=2 [dostęp: 29 IX 2025 r.]

¹¹ W. Szyślak, *Zależało mi, by zostawić miastu jakiś ślad...*



■ POMNIK POLEGŁYCH STOCZNIOWCÓW 1970 GOTOWY DO ODSŁONIĘCIA; PRZED POMNIKIEM STOI OŁTARZ, 16 GRUDNIA 1980 R. FOT. ZBIGNIEW GĄSIOR / AIPN

wszelkich przepisów prawa budowlanego i każda wykonana czynność na placu budowy była każdorazowo poprzedzana uzyskaniem odpowiedniego uzgodnienia z kompetentnymi instytucjami czy urzędami”¹².

„PAN DA SIŁĘ SWOJEMU LUDOWI”

Komitet zwrócił się do Czesława Miłosza z prośbą o napisanie wiersza, który byłby umieszczony na pomniku. List wysłano do Berkeley 16 października. Po 2 tygodniach nadszedł telegram od poety, który na początku miesiąca został laureatem Nagrody Nobla. Miłosz proponował w nim, żeby zamiast wiersza umieścić

¹² Sprawozdanie z działalności za okres 1.09.80 – 25.02.81, SKBP, Gdańsk, 25.02.1981, s. 11.

na pomniku wers z Psalmu 29 w jego przekładzie: „Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju”.

Na wykorzystanie fragmentu swojego wiersza *Który skrzywdziłeś* wyraził zgodę 6 grudnia, 10 dni przed odsłonięciem, w rozmowie telefonicznej z Krystyną Zachwatowicz-Wajdową.

Który skrzywdziłeś człowieka prostego,
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy¹³.

Obie inskrypcje należą dziś do najbardziej rozpoznawalnych znaków tego miejsca. Pośrodku muru wzniesionego za krzyżami umieszczono napis: „Oddali swe życie, abyś ty mógł żyć godnie”, a ponad nim słowa Jana Pawła II z pierwszej pielgrzymki do kraju: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi – tej ziemi. Amen”.

Kamień węgielny wmurowano 6 grudnia. Uroczystość zgromadziła tysiące ludzi. Po odczytaniu aktu erekcyjnego złożono wraz z kamieniem węgielnym ziemię z katakumb rzymskich, przesłaną przez Jana Pawła II, ziemię z lasów Katynia i ziemię z miejsc, w których w 1970 r. zginęli stoczniovcy. Ofiara poległych stoczniovców, którzy zginęli za wiarę i za patriotyzm, porównana została do martyrologii pierwszych chrześcijan i martyrologii Polaków zamordowanych przez bolszewików:

„Na wieczną rzeczy pamięć.

W tym miejscu 16 grudnia 1970 roku zginęli śmiercią męczeńską Polacy, mieszkańcy Trójmiasta. Dziesięć lat później podczas akcji strajkowej w sierpniu 1980 roku stoczniovcy gdańscy wywalczyli prawo wzniesienia im pomnika.

Pomordowanym – na znak wiecznej pamięci.

Rządzącym – na znak przestrogi, że żaden konflikt społeczny w Ojczyźnie nie może być rozwiązany siłą.

Współobywatelom – na znak nadziei, że zło może zostać przezwyciężone.

Wzniesienie tego pomnika było obowiązkiem tych, którzy pozostali – dla

¹³ C. Miłosz, „Pomerania” 1981, nr 1, s. 35.



■ POMNIK POLEGŁYCH STOCZNIOWCÓW 1970. W DZIEŃ ODŚLONIĘCIA MONUMENTU NA PLAC PRZED BRAMĄ NR 2 STOCZNI IM. LENINA PRZYBYŁY TYSIĄCE LUDZI, GDAŃSK, 16 GRUDNIA 1980 R. FOT. AIPN

tych, którzy przyjdą. Ma on dawać świadectwo przeszłości i być drogowskazem na przyszłość [...]”.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA

Nastrój tych dni dojrzewał już od niedzieli, kiedy w kościołach całej Polski odprawiono Msze św. w intencji ofiar Grudnia. Wieczorem w parafii św. Brygidy w Gdańsku zabrzmiało *Requiem* Mozarta. Świątynia, która od sierpniowego strajku była naturalnym miejscem modlitwy i wsparcia dla środowiska stoczniewego, stała się przestrzenią wspólnego, żałobnego misterium: muzyka połączyła artystów i wiernych w jednym geście pamięci i przygotowała miasto do wtorkowej kulminacji pod bramą nr 2.

16 grudnia od rana pod pomnikiem gęstniał tłum. Nad porządkiem czuwali harcerze, wartę pełniła kompania honorowa garnizonu gdańskiego. Zjechały delegacje zakładów pracy, uczelni i instytucji z całego kraju. Między pocztami sztandarowymi ustawionymi wokół placu panowało skupienie. Do późnego popołudnia delegacje składały wieńce i wiązanek. Wszyscy czekali, by wziąć udział w ceremonii pamięci.

O godz. 17.00 rozległy się kościelne dzwony i zawyły syreny zakładów. Najpierw popłynęła *Rota* zaintonowana przez trójmiejskie chóry i orkiestry, potem zabrzmiała *Lacrimosa* Krzysztofa Pendereckiego, skomponowana specjalnie na ten wieczór. Gdy zgasły światła i tylko punktowy reflektor rozświetlał plac, w tym świetle stanął Daniel Olbrychski i odczytał Psalm 11 Dawidowy w przekładzie Czesława Miłosza. Następnie wezwał z imienia wszystkich 27 znanych poległych w grudniu 1970 r., kończąc: „Wzywam wszystkich poległych, których nazwiska są nieznane, lecz ich ofiara nie pozostała daremna. Wzywam was do apelu”¹⁴. Jak wspominała Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa, tłum odpowiadał na wezwania gromkim: „»Jest wśród nas!«. Wszystko było do płaczu”¹⁵. To był moment, gdy ceremonia upamiętnienia przerodziła się w modlitwę wspólnoty.

Odsłonięcia pomnika dokonały rodziny zamordowanych: Jan Łopata, Ewa Ostrowska, Janina Tarczewska, Lech Widerlik i Tadeusz Nastały, który przeciął białą-czerwoną szarfę. Rodziny ofiar podchodziły pod cokoły, dotykały metalu, składały kwiaty.

¹⁴ *Apel poległych odczytany przez Daniela Olbrychskiego*, „Pomerania” 1981, nr 1, s. 32.

¹⁵ K. Żelazek, *Czterdzieści lat pomnika Poległych Stoczniewców 1970. Co się działo w Gdańsku w grudniu 1980 roku*, www.gdansk.pl, 16.12.2020 [dostęp: 29 IX 2025 r.].

Kulminacyjnym momentem uroczystości było odczytanie listu prymasa Polski, kard. Stefana Wyszyńskiego. „Znakiem potrójnego krzyża chcieliście upamiętnić, Umiłowani Stoczniovcy i Obywatele Trójmiasta, miejsce bolesnej tragedii, która przed dziesięcioma laty skrwawiła bruki Gdańska i Gdyni. Ten znak krzyża Chrystusowego jest zarazem znakiem pojednania, przebaczenia i pokoju, którego tak gorąco pragniemy dla naszej wspólnej Ojczyzny. Drogą do pokoju jest sprawiedliwość [...]”¹⁶.

Po odśpiewaniu Bogurodzicy rozpoczęła się Msza św. celebrowana przez kard. Franciszka Macharskiego. W jej trakcie odczytano telegram od papieża Jana Pawła II, w którym udzielił błogosławieństwa uczestnikom uroczystości i wszystkim rodakom. Poświęcono pomnik oraz sztandary Solidarności, pieczętując więź, która zrodziła się w sierpniowym strajku, a teraz otrzymała materialny znak. Na zakończenie popłynął hymn państwowy.

I wtedy stało się coś, co najlepiej oddaje charakter tamtej chwili: plac załala fala kwiatów. Nie było przejścia, więc ludzie podawali wiązanki nad głowami, z rąk do rąk, aż pod cokół pomnika. Morze barw zasłoniło beton, a 3 krzyże stały nad nim jak maszty pamięci.

To wielkie osiągnięcie, jakim było planowe odsłonięcie pomnika Poległych Stoczniovców, stało się możliwe dzięki ofiarnej pracy stoczniovców i solidarnej pomocy całego narodu. Komitety NSZZ „Solidarność” w zakładach przemysłowych, na uczelniach wyższych i w instytucjach państwowych przyczyniły się – wbrew administracyjnym utrudnieniom – do tego niezwykłego wydarzenia, jakim było wzniesienie w komunistycznym kraju pomnika upamiętniającego ofiary reżimu.

¹⁶ S. Wyszyński, *Telegramy*, „Pomerania” 1981, nr 1, s. 31.



Artur Cieřlik (ur. 1977) – historyk i archiwista, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN we Wrocławiu.

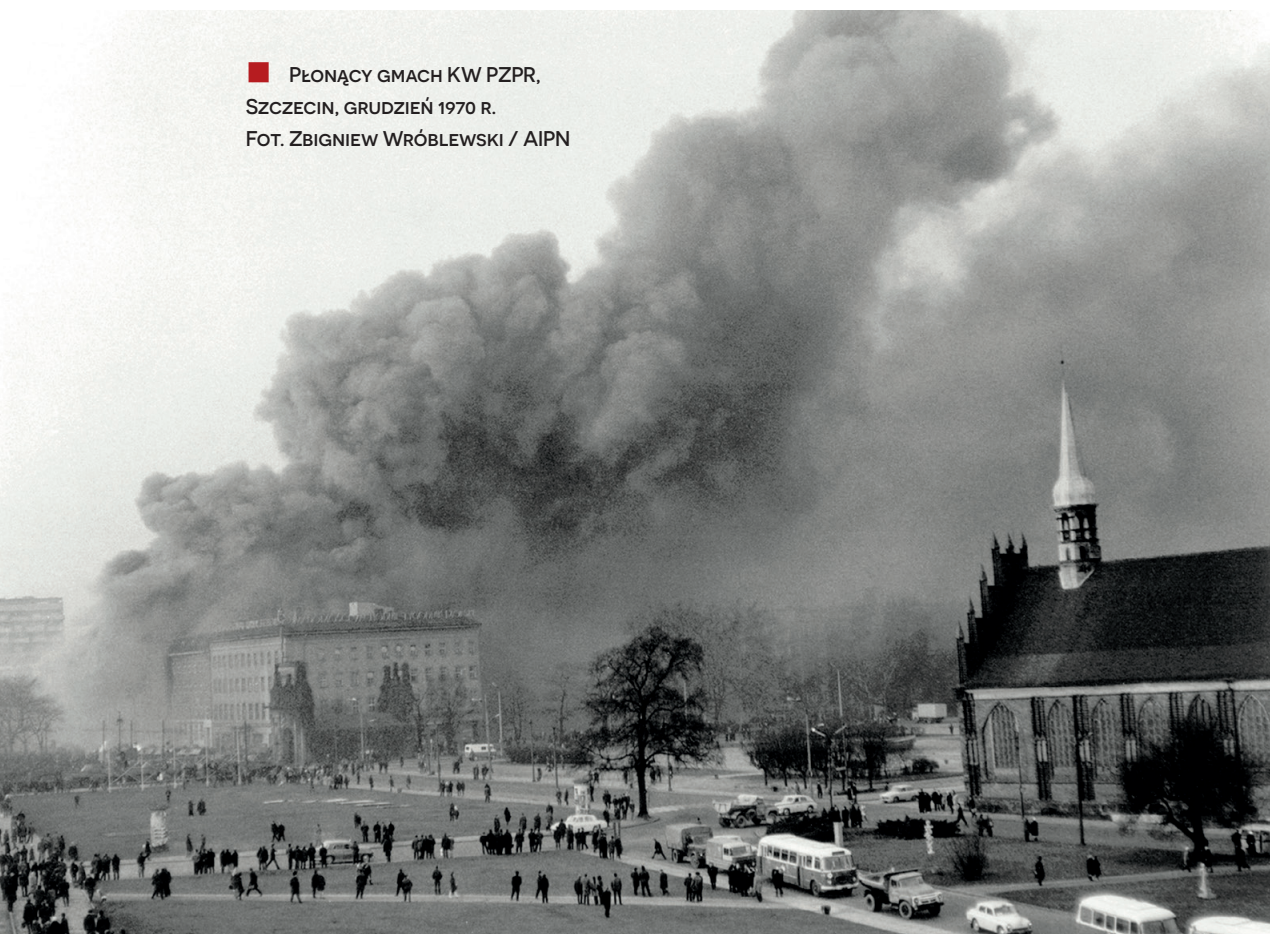
ARTUR KUBAJ

NIEROZLICZONE ZBRODNIĘ RODZĄ ZŁE OWOCE

GRUDZIEŃ '70 W SZCZECINIE

Dramatyczne wydarzenia Grudnia '70 r. odgrywają w najnowszej historii Szczecina rolę szczególną. Na temat robotniczego buntu z przełomu 1970/1971 r. ukazało się kilkadziesiąt różnego rodzaju publikacji, z kluczową pracą Jerzego Eislera, a rok 1970 stał się ważną cezurą w podręcznikach historii.

■ PŁONĄCY GMACH KW PZPR,
SZCZECIN, GRUDZIEŃ 1970 R.
FOT. ZBIGNIEW WRÓBLEWSKI / AIPN





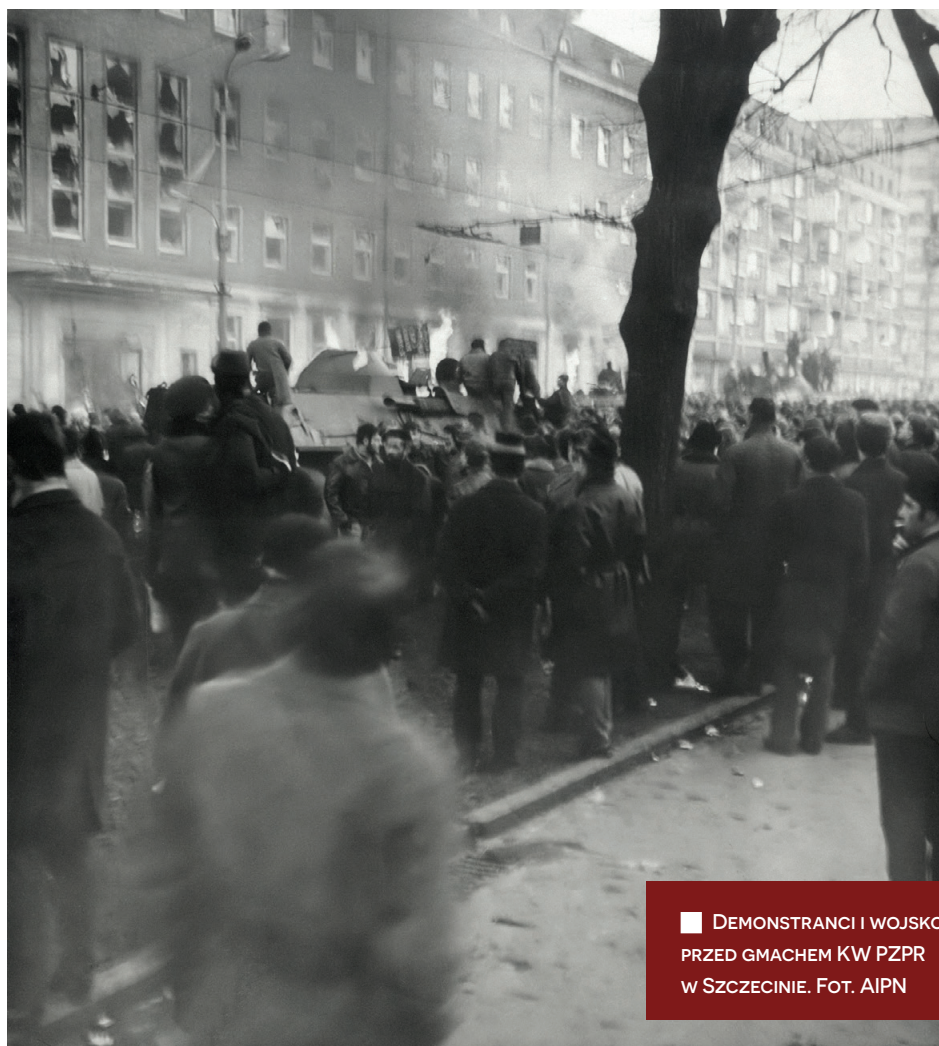
istorycy związani ze szczecińskim oddziałem Instytutu Pamięci Narodowej opublikowali kilka prac odnoszących się zarówno do szczecińskiego Grudnia '70, jak i Stycznia '71, a współpracujący z IPN Michał Paziewski wydał monografię zatytułowaną *Grudzień 1970 w Szczecinie* oraz *Debatę robotników z Gierkiem. Szczecin 1971*.

„SZCZECIŃSKA REPUBLIKA ROBOTNICZA”

Prace Michała Paziewskiego, Eryka Krasuckiego, Pawła Miedzińskiego i innych autorów pomagają odtworzyć tamte szczecińskie grudniowe dni i dokonać próby generalnej oceny Grudnia '70. Trudno nie przyznać racji niektórym historykom, że w Szczecinie doszło do gwałtownych starć ulicznych, a jednocześnie protest robotniczy miał tu bardzo dojrzały charakter. W mieście zawiązał się Ogólnomiejski Komitet Strajkowy, skupiający w okresie apogeum rewolty ponad 120 zakładów pracy całej aglomeracji, który na kilka dni sparaliżował de facto władzę w mieście. Spontaniczny, wręcz żywiołowy, sprawnie i szybko zorganizowany, 5-dniowy strajk generalny, obejmujący miasto i jego okolice, przez czołowego emigracyjnego pisarza politycznego Juliusza Mieroszewskiego na łamach paryskiej „Kultury” nazwany został „Szczecińską Republiką Robotniczą”. Ogólnomiejski Komitet Strajkowy decydował wówczas o funkcjonowaniu w zasadzie wszystkich służb komunalnych, w tym tych dbających o infrastrukturę – niezbędnych dla miasta. Ponadto ten pierwszy w dziejach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Międzyzakładowy Komitet Strajkowy wyartykułował niebywale jak na tamten czas postulaty, domagając się m.in. utworzenia niezależnego od władzy i partii związku zawodowego, oraz zadeklarował solidarność z aresztowanymi i pokrzywdzonymi wskutek ulicznych demonstracji. Z przedstawicielami władz wojewódzkich zawarto wówczas bezprecedensowe porozumienie, stanowiące pierwowzór dla późniejszych Porozumień Sierpniowych 1980 r.

Możemy także pokusić się o stwierdzenie, że sposób prowadzenia protestu wypracowany w grudniu 1970 r., a później w styczniu 1971 r., stał się metodą walki, po którą sięgnęli przede wszystkim robotnicy na polskim Wybrzeżu w sierpniu 1980 r. A już wcześniej posługiwali się nią także m.in. pracownicy Elektrowni „Dolna Odra” czy Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Gryfia” podczas protestów w roku 1976.

Publikacje szczecińskich autorów są niezwykle istotne dla szczecinian, dla ich tożsamości, bowiem w świadomość zbiorową mieszkańców miasta i regionu wpisał się widok pożaru budynku Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Szczecinie z 17 grudnia 1970 r. Okazało się wtedy, że „ludowe” wojsko, tłumiące wystąpienia robotnicze, jest w zasadzie zdyscyplinowanym zbrojnym ramieniem komunistycznej władzy. Doświadczenie „czarnego czwartku” zapadło w pamięć większości szczecinian, niezależnie od tego, czy uczestniczyli oni bezpośrednio w tych wydarzeniach, czy też wiedzę o wydarzeniach czerpali od rodziny, przyjaciół lub sąsiadów.



■ DEMONSTRACJI I WOJSKO
PRZED GMACHEM KW PZPR
W SZCZECINIE. FOT. AIPN

■ PATROL MILICYJNO-WOJSKOWY WPROWADZA ZATRZYMANEGO DO GMACHU KW MO.
FOT. MACIEJ JASIECKI / AIPN



WŁADZE IDĄ NA WOJNĘ

W końcu lat 60. władza Władysława Gomułki będącego symbolem okresu tzw. siermiężnego socjalizmu – załamywała się. Istotą tamtego kryzysu społecznego, politycznego i ekonomicznego były nie tylko „genetyczne” wady systemu, ale także niekompetencja I sekretarza KC PZPR i jego najbliższych towarzyszy. Ekipa Gomułki wyróżniała się m.in. tym, że zapowiadała reformy, jednak żadna z nich, pomimo ciągłego obiecywania, nie doczekała się realizacji. Społeczeństwu bardzo trudno było zrozumieć podwyżkę ogłoszoną 12 grudnia 1970 r., tuż przed świętami Bożego Narodzenia, w czasie szczególnie wzmożonych zakupów, kiedy budżety rodzinne były już mocno nadwyrężone.

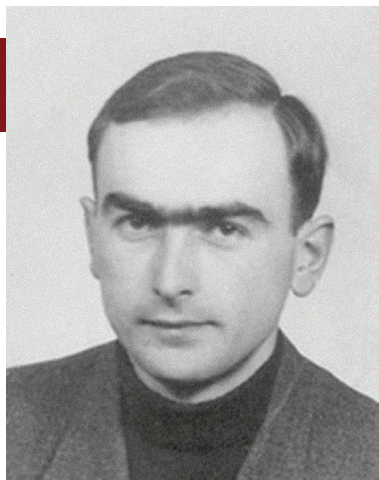
Nie można nie zgodzić się z prof. Eislerem, że władze wprowadzające ową „regulację cen” zachowały się tak, jakby wyruszały na wojnę z własnym społeczeństwem. Przygotowując się do wprowadzenia podwyżki, stan gotowości ogłoszono już 9 grudnia, nadając całej operacji kryptonim „Jesień ’70”. Dzień później człon-

kowie Biura Politycznego otrzymali materiał na temat planowanych podwyżek. Działało już wówczas specjalnie utworzone Centralne Stanowisko Kierowania (Ce-Es-Ka), a w Szczecinie od 11 grudnia Wojewódzkie Stanowisko Kierowania, podlegające komendantowi wojewódzkiemu Milicji Obywatelskiej płk. Julianowi Urantówce. Podobnie jak w Gdańsku, powołano tu nieformalne ciało, które miało zapewnić kontrolę sytuacji w oparciu o bieżące analizy prowadzone przez funkcjonariuszy resortów siłowych. Zespół ten utworzyli sekretarze wojewódzcy PZPR: Antoni Walaszek – I sekretarz, Henryk Huber – sekretarz ds. propagandy, Jerzy Ostrzyżek – sekretarz ds. organizacyjnych, Stanisław Rychlik – sekretarz ds. ekonomicznych, Jerzy Łochowicz – sekretarz ds. rolnych, oraz płk. Julian Urantówka – komendant wojewódzkiej MO, ppłk Romuald Głowacki – zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. Służby Bezpieczeństwa, płk Mieczysław Urbański – szef szczecińskiego garnizonu i jednocześnie dowódca 12 Dywizji Zmechanizowanej, płk Zdzisław Drewniowski – zastępca dowódcy 12 Dywizji Zmechanizowanej ds. politycznych, płk Stanisław Kaczmarek – szef miejscowej Wojskowej Służby Wewnętrznej, i prokurator wojewódzki Zdzisław Rozum. W zespole zauważalny był brak reprezentacji administracji państwowej.

Co ciekawe, jeszcze w środę 16 grudnia we wczesnych godzinach popołudniowych władze wojewódzkie niemal zupełnie nie liczyły się z systematycznie pogarszającymi się nastrojami, a I sekretarz KW PZPR Antoni Walaszek wykluczał jakąkolwiek możliwość, by w mieście mogło dojść do zajść takich jak w Gdańsku. Jednak już kilka godzin później postawiono w stan pogotowia i skoszarowano oddziały MO, SB, ZOMO i ORMO. Dzień wcześniej w garnizonie szczecińskim ogłoszono stan podwyższonej gotowości bojowej, a 14 grudnia – co ważne – taki sam stan ogłoszono w jednostkach sowieckich mieszczących się na terenie województwa.

ROZPACZ I PROTEST

Pomimo prób wpływania przez władze na mających autorytet wśród stoczniowych załóg niektórych zakładowych członków partii, stoczniowcy podjęli strajk. Protest rozpoczął się na największym z wydziałów, na którym warunki pracy należały do najcięższych, na W-4. Zarówno ta, jak i późniejsze robotnicze manifestacje oraz następujące po nich walki uliczne wyrażały rozpacz i protest przeciwko decyzjom władz. Były też niewątpliwie wyrazem solidarności z robotniczym protestem w Gdańsku.



17 grudnia po przerwie śniadaniowej, po godz. 10.00 w stoczni „Warskiego” uformowała się kilkuset-osobowa manifestacja, która wyszła na ulice miasta, a po dołączeniu do niej robotników sąsiadujących ze stoczną zakładów pracy, skierowała się w stronę centrum miasta. Władze nie chciały dopuścić do przedostania się robotników do śródmieścia; Stocznia im. Warskiego, inaczej niż gdańska, usytuowana jest w pewnym oddaleniu od centrum (ok. 2,5 km od budynku KW PZPR). Interweniujące siły porządkowe doprowadziły do eskalacji protestu. Kilka grup demonstrantów, złożonych z robotników i dołączających do nich mieszkańców miasta, szło pod budynek komitetu przy pl. Żołnierza Polskiego. Wkrótce z tłumu manifestantów zgromadzonych pod siedzibą partii poleciały w kierunku budynku kamienie oraz butelki z benzyną. Dom partii stanął w płomieniach, a wozy straży pożarnej stacjonujące niespełna 500 m od budynku nie były w stanie dotrzeć w jego pobliże, by podjąć akcję gaszenia pożaru. Sekretarz Walaszek zarządził ewakuację budynku. Demonstrujący tłum zaatakował także znajdujące się nieopodal Komendę Wojewódzką MO i budynek Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych.

Do pierwszych strzałów z okien komendy doszło wczesnym popołudniem. W starciach z wojskiem i milicją zginęło 12 osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Starcia pod Prokuraturą Wojewódzką, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej oraz Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej miały miejsce tego dnia, a w dniu następnym pod stoczną Warskiego zginęły 2 osoby. W grudniowej rewolcie w Szczecinie straciło życie 16 osób.

NEGOCJACJE

Dramatyczne wydarzenia „czarnego czwartku” (17 grudnia) spowodowały przybycie do miasta delegacji partyjno-rządowej z członkiem Biura Politycznego Janem Szydłakiem na czele. Kontrolę nad MO i SB przejął wtedy gen. Ryszard Matejewski, nad wojskiem zaś gen. Tadeusz Tuczański. Do pacyfikacji robotników przygotowywano milicję i wojsko, a protestujących robotników Szczecina próbowano



■ CZOŁG U PODNÓŻA WAŁÓW CHROBREGO.
FOT. MACIEJ JASIECKI / AIPN

demobilizować za pośrednictwem mediów. Na łamach „Kuriera Szczecińskiego” i „Głosu Szczecińskiego”¹, na eksponowanym miejscu, zamieszczono wypowiedź zasłużonego dla miasta pierwszego powojennego prezydenta, urbanisty z Politechniki Szczecińskiej, przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodowej, prof. Piotra Zarembę, który stwierdził: „Anarchizm ulicy, wprowadzenie naszego miasta na łamy światowych dzienników właśnie obecnie, gdy te nasze tu trwale osiągnięcia zostały w międzynarodowej formie uznane jako fakt nieodwracalny w niedawno podpisanym porozumieniu – należy uznać za akt godny potępienia”. Postawę szczecińskiej inteligencji w tamtych dniach ocenił jeden ze studentów, zapisując w pamiętniku: „Nie dorośli oni ani intelektualnie, ani politycznie do wydarzeń, których stali się świadkami i uczestnikami”.

Warto podkreślić, za Michałem Paziewskim, początkową równowagę protestu w 2 szczecińskich stocznich: Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Gryfia” i w Stoczni Szczecińskiej im. Warskiego. Dla wielu zaskoczeniem był fakt, że do Gryfii przybył dyrektor naczelny stoczni, inż. Wilhelm Pustelnik, który w zasadzie poinstruował protestujących, jak powinno się zorganizować strajk okupacyjny,

¹ Potępienie aktów wandalizmu, bandytyzmu i chuligańskich ekscesów. Wypowiedzi ludzi pracy Szczecina, „Kurier Szczeciński”, 18–19 XII 1970; Wypowiedź prof. Piotra Zarembę, pierwszego prezydenta Szczecina, „Głos Szczeciński”, 19–20 XII 1970.

po czym przekazał władzę Komitetowi Strajkowemu (*sic!*) (Pustelnik miał jeszcze przedwojenne, pepeesowskie doświadczenie w tym zakresie). Stoczniovcy z Gryfii zastosowali się do instrukcji i, po wyłonieniu spośród siebie tzw. trójek wydziałowych, powołali Zakładowy Komitet Strajkowy, na którego czele ostatecznie stanął inż. Tomasz Gadomski. Dzięki jego namowom w kilkunastoosobowym komitecie nie znalazł się ani jeden człowiek z legitymacją PZPR, co odróżniało to gremium od podobnego w Stoczni Warszawskiej. W analogiczny sposób zawiązywano Komitet Strajkowy w Warszawskim, choć, jak wspomniano, w tym wypadku legitymacja partyjna nie eliminowała z przynależności do komitetu czy trójek wydziałowych, o wyborze decydował przede wszystkim autorytet i szacunek, jakim cieszyły się osoby wśród stoczniovców, gdzie wszyscy z założenia mieli być sobie równi. Przewodniczącym Komitetu Strajkowego w Warszawskim został Mieczysław Dopierała, kierownik biura fabrykacji na wydziale W-6, członek partii, który, co ciekawe, w lutym 1971 r. stanął na czele Komitetu Zakładowego PZPR i został członkiem KW.

Determinacja protestujących, którzy sformowali Ogólnomiejski Komitet Strajkowy i przedstawili swoje postulaty, zaowocowała podjęciem przez władze pierwszych pertraktacji. Kluczową rolę w szeregu członków władz odgrywali wówczas

■ TRANSPARENT NA OGRODZENIU STOCZNI SZCZECIŃSKIEJ IM. ADOLFA WARSKIEGO. FOT. MACIEJ JASIECKI / AIPN



będący na miejscu poplecznik Edwarda Gierka, członek BP Szydlak oraz wiceminister spraw wewnętrznych Matejewski. W grupie negocjującej z władzą znaleźli się reprezentanci Warszawskiego Związku Robotników na czele oraz delegacja z Gryfii, której przewodził Gadomski. Samo nawiązanie kontaktów miało olbrzymie znaczenie polityczne. Władze, zgadzając się, by podczas rozmów interesy robotników reprezentowane były przez komitety strajkowe, odgrywające wtedy rolę związków zawodowych, uznały de facto, że zrewoltowani ludzie tworzą siłę, z którą należy się liczyć. „Swoista legitymizacja, zresztą wzajemna, jeszcze bardziej podnosiła autorytet i pełnoprawność partnera społecznego i co więcej całego wystąpienia strajkowego. Czynniki te zwiększały także nadzieję na pokojowy finał tych zdarzeń”².

Negocjacje się przedłużały. Władze grały na zwłokę, ale nie miały też doświadczenia w postępowaniu ze strajkującymi; ani strajkujący w uzyskaniu od władzy konkretnych ustępstw. Gdy wreszcie udało się zawrzeć kompromis, został on zburzony poprzez przedwczesny, zdawkowy komunikat o zakończeniu strajku w Szczecinie. Nadano go przez rozgłoszenie radiową, kiedy jeszcze trwało zebranie w stoczniowej świetlicy głównej, a zdecydowana większość delegatów z innych przedsiębiorstw nie powróciła do swoich zakładów pracy. Wywołał on słuszne oburzenie strajkujących. Za kontynuowaniem strajku opowiedzieli się głównie protestujący z Warszawskiego – ogłoszona tam, że komunikat władz był nieprawdziwy. Wśród osób popierających dalszy strajk czołową rolę odegrał Edmund Bałuka z wydziału K-5, pełniący obowiązki strajkowego komendanta ochrony.

GIERKI WŁADZY Z ROBOTNIKAMI

Na dalszy rozwój sytuacji strajkowej decydujący wpływ miały zmiany na szczytach władzy. Inauguracyjne przemówienie Gierka, nowego I sekretarza KC PZPR, w którym zwracał się on nie tylko do obywateli i towarzyszy, jak to bywało wcześniej, ale także do „rodaków”, „wierzących i niewierzących, partyjnych i bezpartyjnych”, „do każdego obywatela”, przyjęto w Szczecinie bez większego entuzjazmu. Pomimo wzmożonej presji funkcjonariuszy partii oraz dezintegrujących działań SB, zmierzających do zakończenia strajku, stoczniovcy i wspierający ich robotnicy innych zakładów pracy Szczecina kontynuowali swój protest. Dowodziło

² M. Paziewski, *Grudzień 1970 w Szczecinie*, Szczecin 2013, s. 262.

to nie tylko braku poparcia dla Gierka, ale też słabości Walaszka czy też w ogóle wojewódzkiej instancji partyjnej w Szczecinie. W samym Warskim na tle zawartego z władzami porozumienia doszło do rozłamu. Do Komitetu Strajkowego dokooptowano wówczas 5 osób, m.in. Bałukę i Władysława Tokarskiego. Ostatecznie jednak strajk zawieszono 22 grudnia 1970 r., po podpisaniu porozumienia z władzami; członkowie Komitetu Strajkowego, którzy nie podpisali porozumienia, tacy jak Bałuka i jego zwolennicy, zawiesili strajk na okres Bożego Narodzenia.

Strajk generalny w Szczecinie, trwający od 18 do 22 grudnia 1970 r., zaważył na upadku kierownictwa politycznego kraju. Jednak w odczuciu wielu szczecinian zdławione siłą wystąpienia uliczne oraz strajki grudniowe zakończyły się przegraną. Grudzień '70 odebrany został przez robotników jako głęboka zniewaga, choćby dlatego że nie nastąpiły zmiany personalne we władzach województwa czy nawet zakładu pracy. Ostatecznie 11 stycznia 1971 r. doszło do odwołania Walaszka z funkcji I sekretarza KW, ale władze centralne nie znalazły w Szczecinie towarzysza, któremu byłyby w stanie zaufać – miejsce Walaszka zajął „przywieziony w teczce” Eugeniusz Ołubek, zastępca kierownika Wydziału Organizacyjnego KC.

Brak realizacji postulatów strajkowych doprowadził do wznowienia protestu. 22 stycznia 1971 r. stanął Warski; następnego dnia był już strajk generalny. Wsparły go co najmniej 42 szczecińskie zakłady pracy. Decydujące znaczenie dla jego powodzenia miało doświadczenie strajkowe i twarda postawa Bałuki. Kluczową okazała się jego decyzja o pozostaniu robotników w zakładzie pracy. Dzięki sprawnej organizacji protestu, szybkiemu opanowaniu bram zakładowych oraz zdolności do utrzymania porządku na terenie objętym protestem styczniowym, stał się on bardzo dojrzałym ruchem sprzeciwu społecznego wobec dyktatorskich rządów partii.

Do Stoczni im. Warskiego na spotkanie ze strajkującymi robotnikami przybyła, co było wówczas wydarzeniem bez precedensu, delegacja partyjno-rządowa z I sekretarzem KC PZPR Gierkiem na czele. Podczas debaty za stołem prezydialnym zasiedli Bałuka z Franciszkiem Wilanowskim, stronę partyjno-rządową reprezentowali zaś Gierek, Piotr Jaroszewicz, Wojciech Jaruzelski, Ołubek i Franciszek Szlachcic. Bałuka przedstawił 12 postulatów strajkowych. W odpowiedzi Gierek

■ TRANSPARENT NA OGRODZENIU STOCZNI SZCZECIŃSKIEJ IM. ADOLFA WARSKIEGO. FOT. MACIEJ JASIECKI / AIPN

ZOŁNIERZE!
WALCZYMY O WSPÓLNE DOBRO



■ ROZMOWY WŁADZ ZE STRAJKUJĄCYMI ROBOTNIKAMI STOCZNI SZCZECIŃSKIEJ IM. ADOLFA WARSKIEGO. OD LEWEJ EDWARD GIEREK, EDMUND BAŁUKA (PRZEWODNICZĄCY KOMITETU STRAJKOWEGO), FRANCISZEK KAIM (MINISTER PRZEMYSŁU CIĘŻKIEGO), TADEUSZ CENKIER (DYREKTOR STOCZNI), STYCZEŃ 1971 R. FOT. MACIEJ JASIECKI / AIPN

wyłosił półtoragodzinne, improwizowane przemówienie, w którym analizował sytuację kraju, uzasadniając jego zdaniem odmowę realizacji pierwszego żądania, dotyczącego obniżki cen artykułów spożywczych do wysokości z 12 grudnia 1970 r.

Szef PZPR uznał jednak legalność strajku i zapewnił, że jego uczestnicy nie będą represjonowani. Zgodził się także na tymczasowe funkcjonowanie Komisji Robotniczej wyłonionej z Komitetu Strajkowego. Na koniec, w jednej z najbardziej znanych wypowiedzi w całej jego politycznej karierze, I sekretarz KC PZPR prosił o zaufanie, wiarę, pomoc i cierpliwość, deklarując: „Jeśli nam pomożecie, to sądzę, ten cel uda nam się osiągnąć. No więc jak – pomożecie?”. W odpowiedzi rozległy się jedynie oklaski. Chóralnej repliki „pomożemy!” – wbrew propagandowej legendzie – nie było.

PAMIĘĆ – ALE BEZ ŚWIADECTWA PRAWDY I SPRAWIEDLIWOŚCI

Doświadczenie styczniowego protestu będące udziałem młodych robotników Warszawskiego okazało się ważnym elementem najnowszej historii. Ludzie ci stali się podmiotem zmian dokonujących się w mieście na początku kolejnej dekady. Z tego pokolenia wywodziła się cała grupa przywódców strajku sierpniowego 1980 r., m.in. Marian Jurczyk, Stanisław Wądołowski, Eugeniusz Szerkus, Maria Chmielewska z Warszawskiego czy Tomasz Gadomski z Gryfii i Aleksander Krystosiak z Parnicy. To oni dopilnowali dekadę później, by pośród 36 postulatów szczecińskiego MKS

znalazł się i ten: „Ufundować przed bramą stoczni tablicę upamiętniającą ofiary wydarzeń w grudniu 1970 roku”. Po wywalczeniu swoich, niezależnych od partii związków zawodowych, swojej Solidarności, uczestniczyli w grudniu 1980 r. w uroczystościach pod bramą główną Warskiego, gdzie taką tablicę odsłonięto. Niestety, nie doczekali oni jednak, podobnie jak całe społeczeństwo, ukarania winnych masakry na Wybrzeżu. Sądy PRL, co nie dziwi, nie zdołały wyjaśnić okoliczności zbrodni i ukarać winnych. Nie zdołały do tego doprowadzić także sądy III Rzeczypospolitej.

Mecenas Piotr Andrzejewski, pełnomocnik NSZZ „Solidarność” w czasie procesu sprawców masakry grudniowej, mówił: „Nierozliczone zbrodnie rodzą złe owoce... Umęczony Naród, umęczone rodziny ofiar Grudnia '70, bez gniewu i nienawiści oczekiwały wyniku tego procesu, świadectwa prawdy i sprawiedliwości”.

Nie doczekały w się zasadzie do dzisiaj.

W 2013 r., po 17 latach procesu, Sąd Okręgowy w Warszawie, ogłaszając wyrok w sprawie masakry robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., uznał, że strzelanie do protestujących robotników było zbrodnią komunistyczną, decyzja o użyciu broni – bezprawna i przestępcza, a proces potrzebny, by rozliczyć władze, ale ukarał tylko 2 byłych wojskowych. Mirosław W. i Bolesław F. za wydanie rozkazu użycia broni zostali skazani na 2 lata więzienia w zawieszeniu.

BIBLIOGRAFIA

- Historia, miasto, pamięć. Grudzień 70 – Styczeń 71 (perspektywa szczecińska)*, red. P. Miedziński, M. Kowalewski, E. Krasucki, Szczecin 2010.
- Intelektualiści polscy milczą zupełnie. Grudzień 1970 – styczeń 1971 w Szczecinie*, red. S. Ligarski, Szczecin 2010.
- Krasucki E., *Przesilenie. Szczecińskie społeczeństwo i władza w styczniu i lutym 1971 r. Obraz źródłowy*, Szczecin 2010.
- Paziewski M., *Debaty robotników z Gierkiem. Szczecin 1971*, Warszawa 2010.
- Paziewski M., *Grudzień 1970 w Szczecinie*, Szczecin 2013.
- Strokowski A., *Lista ofiar. Grudzień 1970 r. w Szczecinie*, Szczecin 2009.
- Szczeciński Grudzień 1970 w dokumentach Służby Bezpieczeństwa*, red. T. Błaszak, M. Dźwigał, T. Kenar, Szczecin 2010.



Artur Kubaj (ur. 1972) – historyk i politolog, dr, p.o. naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie. Autor książek: *Nie wyrosli z marzeń. Szczecińska podziemna Solidarność* (2011); (z P. Miedzińskim) *Stan wojenny w Szczecinie* (2012); *Solidarny Szczecin* (2024) i in.

TOMASZ CZAPLA

„STRZELAĆ! STRZELAĆ! ROZKAZUJĘ WAM STRZELAĆ!” GRUDZIEŃ '70 W ELBLĄGU

„Patrzę, a tam mężczyźni porozbierani do spodenek, ręce do góry na ścianie i stali twarzą do ściany. Milicjanci okładali ich pałkami, jeden leży zalany krwią i nic się nie rusza, oni leli wodę na głowę z wiadra i bili dalej, aż przyjechał lekarz – rurkę do ust mu włożył, a do szpitala go nie dali [...]. Zostałam straszliwie zbита, zaczęłam krwawić, prosiłam [o] coś do zabezpieczenia się. Niestety funkcjonariusz w wyrafinowany sposób z szyderczym uśmiechem na twarzy powiedział do mnie następujące słowa: »zatknij se, kurwo, dziurę palcem, jak ci leci«¹.”



choć na pierwszy rzut oka ta relacja wygląda jak opis mrocznych lat stalinizmu, w rzeczywistości pochodzi z grudnia 1970 r. Tak elblążanka Jadwiga Sokółska zapamiętała swój pobyt na komendzie Milicji Obywatelskiej w dramatycznych dniach buntu społecznego. W Elblągu przebiegał on nie mniej burzliwie niż w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie, był jedynie mniej krwawy, chociaż do rozlewu krwi i tu brakowało niewiele – dowódcy tłumiący protesty byli gotowi na dokonanie rzezi robotników. Jeden z nich powiedział do podwładnych wprost: „[Na wypadek manifestacji] strzelać! Strzelać! Rozkazuję wam strzelać!”.

¹ J. Eisler, *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 2020, s. 362.



■ CZOŁGI NA PLACU PRZY URZĘDZIE MIASTA W ELBLĄGU,
GRUDZIEŃ 1970 R. FOT. AIPN

ELBLĄSKA BECZKA PROCHU

Przez cały rok 1970 Elbląg przypominał beczkę prochu – eksplodowała ona w grudniu. Mieszkańcy w prywatnych rozmowach powszechnie obwiniali władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o rosnące braki mięsa czy masła (we wrześniu w sklepach dostępnych było dwukrotnie mniej konserw mięsnych niż w sierpniu).

Głosy niezadowolenia społecznego docierały do Służby Bezpieczeństwa, która informowała o tym władze, zarówno państwowe, jak i partyjne. Elbląscy decydenci pozostali jednak głusi na te doniesienia i woleli się zajmować np. „propagandą wizualną PZPR”. Ten temat zdominował jedną z narad Komitetu Miejskiego i Powiatowego we wrześniu 1970 r. – zebrani dyskutowali o kształcie i treściach plakatów promujących sukcesy partii i państwa. Pezetpeerowcy chwalili się zwłaszcza tym, że „załogi co miesiąc zapoznają się z sukcesami ekonomicznymi na specjalnych tablicach i załoga wie, z czego ma być



dumna”². Trudno o bardziej jaskrawy dowód kompletnego rozbratu towarzyszy z rzeczywistością, jako że w tym czasie robotnicy Zakładów Mechanicznych Zamech im. gen. Karola Świerczewskiego, na spotkaniu z sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej, zestawiali suto zaopatrzone sklepy dla milicji, wojska i bufet partyjny z pustkami w „spożywczych na mieście”.

Rosnącą złość zamechowców budziła nie tylko niedostępność produktów pierwszej potrzeby, ale też zła sytuacja, jaka panowała w tym największym elbląskim zakładzie: fikcyjne etaty kierownicze, odejścia inżynierów, mniejsza liczba zamówień. Problemów nie brakowało, a władze tylko dolały oliwy do ognia, wypłacając w październiku 1970 r. tylko 50 proc. premii 400 pracownikom (z po-

² *Historia Elbląga*, t. V: 1945–1975, cz. 1: *Historia polityczna i gospodarka Elbląga*, oprac. M. Gólon, Gdańsk 2006, s. 261.

■ CZOŁGI PRZED URZĘDEM MIASTA W ELBLĄGU, GRUDZIEŃ 1970 R. FOT. AIPN



wodu niewykonania produkcyjnego planu). W odpowiedzi część poszkodowanych robotników, jeszcze w październiku i listopadzie, zorganizowała strajki – argumentowali oni, że być może plan nie został zrealizowany, ale nie można za ten stan rzeczy karać wyłącznie ich. Co na to lokalni rządzący? Usztywnili swoją postawę: egzekutywa Komitetu Miejskiego i Powiatowego ustaliła, że pracownicy będą musieli nadrobić zaległości w ramach nadgodzin. Ponadto odbył sąd partyjny nad Konstantym Przeradzkiem, sekretarzem Oddziałowej Organizacji Partyjnej, który wstawił się za strajkującymi. Wyrok mógł być jeden – Przeradkiemu udzielono nagany i zesłano go do innego miejsca pracy. Dla dopełnienia tego strajkowego krajobrazu dodajmy, że w październiku protestowali też elbląscy robotnicy budowlani.

AKCJA WŁADZY, REAKCJA SPOŁECZEŃSTWA

Problemy z pracą dotyczyły nie tylko zatrudnionych, ale i tych, których oficjalnie w Polsce ludowej nie było – bezrobotnych. W styczniu 1970 r. bez zatrudnienia pozostawały w Elblągu 1673 osoby, w tym 1353 kobiety. Tę statystykę wzmocniło latem co najmniej kilkudziesięciu spośród 600 absolwentów szkół.

Tymczasem nadszedł grudzień i poważny sukces na arenie międzynarodowej, którym polscy komuniści mogli się poszczycić. Premier Józef Cyrankiewicz i kanclerz RFN Willy Brandt podpisali układ o normalizacji wzajemnych stosunków, potwierdzający granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Niewątpliwie to osiągnięcie ułatwiło Władysławowi Gomułce i jego ekipie podjęcie decyzji o drastycznej podwyżce cen wielu artykułów spożywczych: mięso i jego przetwory podrożały średnio o 17,6 proc., smalec o 33,4 proc., ryby i przetwory rybne o 11,7 proc., mąka o 16,6 proc., marmolady i dżemy o 36,2 proc., kasza jęczmienna o 31 proc., a manna o 23 proc. Doszły do tego podwyżki na takie towary, jak m.in. węgiel (10 proc.), cegły (36,6 proc.), dywany i chodniki (25 proc.) czy szklanki (33 proc.).

11 grudnia Biuro Polityczne Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zatwierdziło uchwałę rządu o wzroście cen. Elbląska „ulica” bardzo szybko pokazała, co sądzi o takim kroku władz. Na ścianach kilku budynków pojawiły się napisy uderzające w system komunistyczny, partię i personalnie w Gomułkę. Wywrotowe hasła znalazły się m.in. na ulicach Malborskiej i Czerniakowskiej; z kolei na pawilonie handlowym przy al. Tysiąclecia ktoś czerwoną farbą wymalował zdanie „Precz

z okupacją bolszewicką!”. Wreszcie, nieopodal kina na ul. 21 Października, na szybie sklepu rzeźniczego, ujawniono napis „Gdzie jest smalec, precz z socjalizmem”³.

Miejscowi komuniści usiłowali zapobiec ewentualnym wystąpieniom ludności. Szef Wojewódzkiego Sztabu MO w Gdańsku, płk Roman Korczyński, nakazał we wszystkich jednostkach milicji na terenie województwa (a więc i w Elblągu) „wprowadzić stan wzmożonej czujności, całodobowe dyżury kierownictwa jednostek oraz ochronę zewnętrzną i operacyjną obiektów własnych, a także obiektów komitetów partyjnych oraz prezydiów rad narodowych”⁴. Wydał też 12 grudnia rozkaz skoszarowania od godz. 8.00 elbląskiego oddziału Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. 14 grudnia, po rozpoczęciu strajku przez gdańskich stoczniowców, władze wprowadziły nad Kumielą blokadę telefonicznych połączeń międzymiastowych i zakaz obrotu alkoholem. W miarę zaostrzania się sytuacji do tych ograniczeń dodano limity w sprzedaży benzyny i innych substancji łatwopalnych (np. denaturatu).

ZACZĘŁO SIĘ OD ZAMECHU

14 grudnia, na wieść o strajkującej stolicy województwa, brygadzysta Marian Dąbrowski, pracownik nowej odlewni IM3/R w Zamechu, poprosił telefonicznie kolegów z Gdańska, żeby przekazali swoje żądania zamechowcom. Następnie dołączyło do niego 2 innych brygadzystów, Edward Brzeziński oraz Ryszard Tabaka, i razem utworzyli pierwszy Komitet Strajkowy. Przygotowali także specjalny komunikat, kolportowany w odpisach po kolejnych wydziałach. Atmosfera sprzeciwu w Zamechu stopniowo zataczała coraz szersze kręgi. 15 grudnia na jakiś czas stanęła spółdzielnia Metal, a wieczorem na ulice wyszli demonstranci. Wśród manifestujących przeważała młodzież; jedna z grup próbowała podpalić komitet PZPR.

16 grudnia przyniósł dalszą eskalację konfliktu. Strajk rozszerzał się, gdy z Gdańska nadeszły wieści o pierwszych śmiertelnych strzałach. W geście solidarności z poległymi robotnikami zamechowcy wywiesili na kominach czarne sztandary i flagi z namalowanymi czerwonymi plamami, symbolem przelanej robotniczej krwi. W międzyczasie do Zamechu przybyła delegacja Zakładów

³ J. Eisler, *Grudzień 1970...*, s. 115.

⁴ *Ibidem*, s. 118.



■ PLĄDROWANIE SKLEPU W ELBLĄGU PODCZAS ZAJŚĆ
GRUDNIOWYCH W 1970 R. FOT. AIPN

Drzewnych im. Wielkiego Proletariatu z propozycją wspólnego pochodu pod gmach PZPR. Ustalono, że załogi zbiorą się nazajutrz na ul. Dzierżyńskiego i stamtąd wyruszą pod partyjny komitet.

WIELOGODZINNE ZAMIESZKI

Nim 17 grudnia doszło do marszu robotników w kierunku „Białego Domu”, odbyły się negocjacje Komitetu Strajkowego z dyrekcją Zamechu i wiceministrem przemysłu ciężkiego, Włodzimierzem Lejczakiem. Zakończyły się one fiaskiem i o godz. 14.00 ok. 2 tys. robotników udało się na ul. Dzierżyńskiego. Wkrótce dołączyli do nich pracownicy innych przedsiębiorstw. Przed partyjnym budynkiem stanęło kilka tysięcy osób (szacunki są rozbieżne, od 4–5 tys. do nawet 10 tys. ludzi), których „powitali” stacjonujący wewnątrz uzbrojeni żołnierze oraz samolot zrzucający ulotki informujące o obowiązującej od 18.00 godzinie milicyjnej. Tłum oczekiwał I sekretarza Komitetu

Miejskiego i Powiatowego, Władysława Skowrona, ale okrzyki „Skowron, wyjdź!” nie odnosiły skutku. Wreszcie do zebranych wyszedł żołnierz w stopniu majora, który oznajmił, że w środku są tylko wojskowi, że nie ma tam członków partii.

W tym momencie doszło do groźnego incydentu: napór ludzi sprawił, że osoby stojące najbliżej majora wepchnęły go do gmachu. Na to żołnierze pilnujący schodów przed wejściem zareagowali serią strzałów w powietrze, wskutek czego tłum się cofnął. Wówczas milicjanci rzucili w stronę protestujących petardy i granaty z gazem. Robotnicy odpowiedzieli okrzykiem „Gestapo!” i zrewanżowali się im kamieniami. Były też próby podpalenia „Białego Domu”. Po kilkudziesięciu minutach demonstranci obrali nowy cel – Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Tam tłum otoczył kompanię MO i 40 żołnierzy ochraniających gmach – sytuacja groziła rozlewem krwi.

W tych warunkach dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego zdecydował się wysłać na ulice 57 czołgów. Zamieszki trwały mniej więcej do 23.00. Podpalono Sąd Powiatowy i spalono 3 kioski (ogólny bilans to 11 wywołanych pożarów), zdewastowano fasadę domu towarowego „Feniks” oraz zniszczono 57 sklepów. Rannych zostało 11 cywilów i 6 milicjantów, a do aresztu trafiło 65 osób. Do pacyfikowania manifestacji skierowano 17 grudnia 188 milicjantów z komendy w Elblągu, 69 funkcjonariuszy ZOMO z Olsztyna, 180 członków Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej i 720 żołnierzy.

Jednak liczby te nie oddają w pełni dramatu mieszkańców Elbląga. Wieczorem milicja urządziła coś w rodzaju „miejskiego safari”. „Wystarczy, że kilka osób stoi w bramie, aby obrzucono ich petardami, wystarczy, aby ktoś odłączył się od dużej grupy, aby został skopany, wrzucony do wozu i zawieziony do komendy na dalsze katowanie. Ze szczególną starannością łapano młodych mężczyzn”⁵ – tak poczynania mundurowych opisywała badaczka Grudnia ’70, Wiesława Kwiatkowska. W tym kontekście szczęście mieli robotnicy Zamechu, którzy od godz. 19.00 prowadzili rozmowy z wiceministrem Lejczakiem. Polityk zapewnił strajkujących, że włos im z głowy nie spadnie, jeśli zdecydują się opuścić zakład i wrócić do rodzin. Tak też się stało – choć już dawno zapadła godzina milicyjna, zamechowcy, którzy wybrali powrót, bezpiecznie docierali do domów.

⁵ *Ibidem*, s. 338.



■ TADEUSZ MARIAN SAWICZ, ZAMORDOWANY
Z BRONI PALNEJ 18 GRUDNIA 1970 R. W ELBLĄGU
PRZEZ FUNKCJONARIUSZA MO. FOT. AIPN

ROZKAZUJĘ WAM STRZELAĆ!

To, że część pracowników posłuchała apelu Lejczaka, nie oznaczało wcale, że strajk dobiegł końca. 18 grudnia 2,5 tys. osób w Zamechu wciąż nie zdecydowało się na podjęcie pracy; podobnie zachowali się zatrudnieni w Zakładach Wielkiego Proletariatu, Elbląskich Zakładach Napraw Samochodowych, Spółdzielni Pracy im. Dzierżyńskiego i Zakładach Odzieżowych „Truso”. Protestujący zasadniczo nie opuszczali swoich

fabryk czy magazynów, choć wśród zamechowców pojawiły się pomysły, aby zebrać się i pokazać swoją siłę – zorganizować marsz przez Elbląg. Przeważały jednak opinie, że niesie to ze sobą zbyt duże ryzyko i mogłoby się skończyć masakrą robotników. Na ile ta obawa była realna? Bolesław Smağała, kierownik jednego z wydziałów KW PZPR (a w przeszłości inżynier w Zamechu), wysłany przez władze wojewódzkie do zbadania sytuacji na miejscu, twierdził, że na ulicy strajkującym istotnie groziłaby śmierć. „Niezwłocznie pojechaliśmy podstawionym gazikiem na odprawę do komendy MO. [...] Generał [z Warszawy] mówił krótko o sytuacji w Trójmieście i w kraju. Straszyl. Przeszedł do Elbląga. Wypominał zebrany[m] [funkcjonariuszom] mało zdecydowane działania. W końcu poinformował, że jeśli z »Zamechu« wyjdzie [...] manifestacja, należy się z nią zdecydowanie rozprawić. „Strzelać! Strzelać! Rozkazuję wam strzelać!» – krzyczał”⁶. To fragment wspomnień Smağały.

Czarny scenariusz na szczęście się nie ziścił, niemniej i ten dzień upłynął pod znakiem starć ulicznych. Po raz kolejny podpalono „Biały Dom”, doszło też do co najmniej 2 prób przejścia więzienia – za drugim razem wzburzony tłum podpalił czołg. Z kolei na ul. 1 Maja zgromadziło się ponad 1 tys. osób, z których część zaatakowała kamieniami i butelkami z benzyną milicję i wojsko zabezpieczające

⁶ B. Smağała, *Kiedy prawda milczy*, t. 2: *Byłem w tym piekle – Grudzień 70*, Elbląg 2017, s. 102.



■ POGRZEB ZBIGNIEWA GODLEWSKIEGO, PRACUJĄCEGO W GDYNI I ZASTRZELONEGO 17 GRUDNIA, ELBLĄG, CMENTARZ PRZY UL. AGRYKOLA, GRUDZIEŃ 1970 R. FOT. AIPN

bank, pocztę i centralę telefoniczną. Ostatecznie siły porządkowe – 186 milicjantów, 69 zomowców z Olsztyna, 166 ormowców, 1,2 tys. żołnierzy, 27 czołgów i 16 transporterów opancerzonych – ok. godz. 18.00 opanowały miasto.

Tego dnia śmierć poniósł kierowca Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego Marian Sawicz. Oficjalna wersja władz głosiła, że milicjant oddał do niego strzał, gdy „schylał się po kamienie w celu obrzucenia nimi funkcjonariuszy sił porządkowych”⁷. W rzeczywistości na Sawiczu dokonano egzekucji. Chciał on tego dnia odwiedzić swoją narzeczoną (za tydzień mieli brać ślub), ale nie zastał jej w mieszkaniu. Według relacji świadków zjadł w pobliskim barze mlecznym zupę pomidorową i wyszedł na zewnątrz. „W tym momencie środkiem ulicy jechała samotna nysa. Otworzyły się jej drzwi i padły 3 zaledwie strzały. Jeden

⁷ J. Eisler, *Grudzień 1970...*, s. 361.

pocisk przebił szybę na piętrze budynku i utkwiał w szafie, drugi trafił w mur, trzeci pozbawił Mariana życia”⁸. Morderca w mundurze nie poniósł żadnej kary, represje spotkały za to bliskich Sawicza. Pochowano go w niedzielę 20 grudnia, a w pogrzebie mogło uczestniczyć tylko kilka osób z rodziny. Próby upamiętnienia zabitego pod barem mlecznym kończyły się deptaniem przez milicję przynoszonych kwiatów i świeczek. Jeszcze tego samego dnia aresztowano 2 osoby, które rozpoczęły zbiórkę pieniędzy na poświęconą mu tablicę upamiętniającą.

19 grudnia wojsko nadal chroniło strategiczne obiekty, ale wycofano już czołgi i transportery z elbląskich ulic. W następnych dniach robotnicy pracowali normalnie, a swoje postulaty usiłowali zrealizować poprzez dialog z władzami. 21 grudnia zamechowcy wystosowali petycję do Komitetu Zakładowego, domagając się „uwolnienia aresztowanych i ukarania winnych pastwienia się nad demonstrantami; odsunięcia spod wpływu partii wszystkich działaczy Związków Zawodowych; przedstawienia rzeczywistej sytuacji w kraju; podniesienia płac wszystkim pracownikom, szczególnie nisko zarabiającym”⁹.

Informacje o strajkach w grudniu 1970 r. w Elblągu zostały objęte zapisem cenzury. Pracownicy Zamechu zagrozili, że jeżeli ich postulaty nie zostaną spełnione, 1 lutego 1971 r. zostanie ogłoszony strajk generalny. Pod koniec stycznia do Elbląga przyjechał minister przemysłu ciężkiego Lejczak na rozmowy z załogą.

Bilans Grudnia ’70 w Elblągu to 20 tys. ludzi protestujących na ulicach. Od 14 do 19 grudnia zatrzymano 350 osób – 82 osoby z Zamechu i 177 z innych przedsiębiorstw. Pozostali to uczniowie, studenci i niepracujący. Jedna osoba została zabita, wiele odniosło rany. Taka była cena walki o robotnicze lepsze jutro nad Kumielą.

⁸ *Ibidem*, s. 361.

⁹ *Historia Elbląga...*, s. 272.



Tomasz Czapla (ur. 1991) – absolwent Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Publicysta, specjalizuje się w historii XX wieku, zwłaszcza dwudziestolecia międzywojennym, II wojnie światowej i dziejach obozu piłsudczykowski. Członek Stowarzyszenia Pamięci Generała Kazimierza Sosnkowskiego.



PAWEŁ MIEDZIŃSKI

ANTYPOCHÓD

SZCZECIŃSKA MANIFESTACJA

PIERWSZOMAJOWA '71 W FOTOGRAFIACH

1 maja 1971 r. przez Szczecin przemaszerował antypochód¹. Rytualne hołdy składane komunistycznym władcom przez społeczeństwo według szczegółowo zaplanowanego i latami powielanego scenariusza zostały storpedowane. Spokojnie, ale stanowczo; wyraźnie, lecz bez ostentacji; głośno, choć w milczeniu przeszli ludzie, którzy mieli odwagę upomnieć się o pamięć i sprawiedliwość.

¹ E. Krasucki, *Antypochód – 1 Maja 1971 r. w Szczecinie*, „Biuletyn IPN” 2007, nr 7; B. Kościelna, *Antypochód czy „marsz przeciwko przemocy”? Kilka uwag do artykułu Eryka Krasuckiego „Antypochód. 1 maja 1971 r. w Szczecinie”*, „Biuletyn IPN” 2008, nr 4; K. Rembacka, *Żałobna manifestacja. 1 maja 1971 roku w Szczecinie*, „Biuletyn IPN” 2021, nr 5; *Marsz po prawdę. 1 maja 1971 r. w Szczecinie i Gdańsku*, IPN TV, <https://youtu.be/jXL72qhO82A?si=O6Uw8rqnXjYI-tOe> [dostęp: 17 X 2025 r.].



Gdy doszli do trybuny honorowej, stanęli naprzeciw m.in. I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Eugeniusza Ołubka, komendanta Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Szczecinie, płk. Juliana Urantówki, i sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, Kazimierza Barcikowskiego. Ten ostatni wizytował region z ramienia władz centralnych. Dwaj pierwsi niedługo później przestali pełnić swoje funkcje². Uczestnicy antypoходу nieśli hasła: „Żądamy ukarania winnych masakry bezbronnych ludzi”,

² Eugeniusz Ołubek 1 stycznia 1971 r. został I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie, a przestał pełnić tę funkcję 7 września 1971 r. Juliana Urantówkę przeniesiono na równoległe stanowisko do Opola.



3.



4.

„Czcimy poległych podczas wydarzeń grudniowych”, „Żądamy ukarania winnych zejść grudniowych”, „Żądamy ukarania winnych zbrodni grudniowych”. Milczący marsz był reakcją na milczenie władz, które temat „Grudnia” starały się wymazać z pamięci.

Wmieszanie się manifestantów w oficjalny pochód było doskonałym posunięciem. W okolicy trybuny honorowej znajdowało się pełno przedstawicieli prasy, fotoreporterów i operatorów telewizji. Dotychczas znane były zdjęcia wykonane przede wszystkim właśnie w al. Wyzwolenia, centralnym punkcie miasta. Szczególnie silne w swej wymowie okazały się kolorowe kadry uchwycone przez ówczesnego studenta Jacka Fijałkowskiego. Sprzyjała temu pogoda – bezchmurne, niebieskie niebo, na tle którego w silnym słońcu wyraźniej kontrastowała czerwień transparentów. Zdjęcia wykonali fotoreporterzy lokalnych gazet czy Centralnej Agencji Fotograficznej akredytowani przy uroczystości³.

Nieznane pozostawały te, które wykonali w ramach swych obowiązków służbowych funkcjonariusze Wydziału „B” KW MO w Szczecinie⁴. Z zasady zajmowali się oni dokumentowaniem zdarzeń celem późniejszej identyfikacji uczestników. W zasobie archiwalnym IPN po KG MO, dawnej Bibliotece Specjalnej Biura „B” MSW, odnalazł się album „Zdjęcia wykonane podczas pochodu w dniu 1-go maja 1971 r. w Szczecinie, 14 kart, 54 zdjęcia”⁵. Znajdowały się w nim ułożone chronologicznie wybrane kadry – zapewne spośród znacznie większej liczby ujęć. Na pierwszej stronie umieszczono 4 fotografie. Dwie pierwsze wykonano na ul. Jacka Malczewskiego, zanim ruszył uformowany już pochód. Na jednym ze zdjęć znakami „X” i „Y” zaznaczono 2 mężczyzn i podpisano: „x, y – osoby wyróżniające się wśród stoczniovców w organizowaniu manifestacji żałobnej przed trybuną”. Na kolejnych widać uczestników niosących transparenty. Służba Bezpieczeństwa określiła te osoby w podpisie jako pracowników Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Gryfia”⁶.

Fotografujących funkcjonariuszy musiało być co najmniej kilku. Wynika to z faktu, że te same sceny ujęte zostały z różnych perspektyw. Technika wykonania zdjęć wskazuje z kolei na to, że niektóre zrobiono z ukrycia, inne – zupełnie jawnie. Na kilku

³ Andrzej Wituszyński wykonał podczas pochodu pierwszomajowego 10 negatywów (120 zdjęć). 6 z nich zostało zatrzymanych przez wewnątrzredakcyjną cenzurę i skierowanych do tzw. archiwum II. Archiwum NAC, negatywy nr 2441440-241449.

⁴ Cztery fotografie trafiły do „teczki” Henryka Toczka. AIPN Sz, 0011/208, Kwestionariusz ewidencyjny krypt. „Monter”.

⁵ AIPN, BU 03404/151 t. 1.

⁶ AIPN, BU 03404/151 t. 1, k. 1a.





fotografiach widać też osobników z aparatami, którzy nie kryli się ze swoją aktywnością. Bynajmniej nie byli to fotoreporterzy lokalnej prasy. Uczestnicy manifestacji swoją skargę wyrażali otwarcie. Liczyli się z obecnością przedstawicieli prasy, mediów, telewizji. Można odnieść wrażenie, że wręcz jej oczekiwali. Wielu z nich patrzyło bezpośrednio w stronę obiektywów.

Jedną z nielicznych rozpoznanych i opisanych w albumie postaci był Henryk Toczek. „Pracownik Stoczni im. A. Warskiego ob. Toczek (brat poległego w zajściach) przed trybuną” (fot. 2). Inny został podpisany jako „figurant sprawy KEL”⁷ (fot. 3).

Do chwili obecnej kadry ze szczecińskiej manifestacji były znane z innych źródeł. W albumie pojawia się ciąg dalszy: przemarsz zwartego i licznego antypochodu al. Niepodległości (fot. 1), ul. Bolesława Krzywoustego (fot. 4), pl. Tadeusza Kościuszki. Jeden z fotografujących funkcjonariuszy uwiecznił na kliszy wysokiego mężczyznę. „Osobnik w okularach dba o utrzymanie porządku podczas marszu” (fot. 6). Z podpisów wynika, że na Cmentarzu Centralnym znajdował się „tłum oczekujący przybycia stoczniowców”⁸ (fot. 7).

Dokumentaliści z SB określili flagi z kirem i transparenty ułożone przez stoczniowców wokół krzyża przy jednej z bram cmentarza mianem „rekwizytów”⁹: „Pozostawione na Cmentarzu rekwizyty manifestujących na tle przygodnych osób” (fot. 5).

Album zamyka sekwencja zdjęć przy grobach zabitych (fot. 8–9). Tam już nie było tłumów. Manifestanci uszanowali intymną atmosferę: przy miejscach pochówku znaleźli się wyłącznie najbliżsi. I fotograf z SB.

⁷ Brak bliższych danych.

⁸ AIPN, BU 03404/151 t. 1, k. 9a.

⁹ Żelazny krzyż był znakiem pamięci żołnierzy poległych w wojnie francusko-pruskiej 1870–1871. Powstał w 1873 r. Przez wiele lat był symbolicznym miejscem oddawania czci ofiarom systemu komunistycznego, https://cmentarze.szczecin.pl/chapter_11972.asp?soid=45CCA001411E4F50904D71A-D0ADBC225 [dostęp 17 X 2025]; AIPN, BU 03404/151 t. 1, k. 12a.



Paweł Miedziński (ur. 1979) – dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie. Autor książek: (z M. Machałek) *Zbuntowane miasto. Szczeciński Grudzień '70 i Styczeń '71* (2007); (z M. Kowalewskim i E. Krasuckim) *Historia, miasto, pamięć. Grudzień '70 – Styczeń '71* (2010); (z A. Kubajem) *Stan wojenny w Szczecinie* (2012); (z R. Dąbrowskim i M. Lipko) *Stocznia Szczecińska* (2020); *Szczecińska rewolta i jej obraz utrwalony na kliszach* (2020); *Centralna Agencja Fotograficzna 1951–1991* (2021) i in.



ADAM HLEBOWICZ

WYPADKI CZY MASAKRA GRUDNIOWA?

Określenia ważnych wydarzeń ukute przez propagandę systemu totalitarnego czasem funkcjonują nadal w odmienionej sytuacji politycznej. Jednym z najbardziej zauważalnych, a zarazem bolesnych przykładów jest trwanie przy nazywaniu Grudnia '70 wypadkami, zajściami, wydarzeniami.



owyższe terminy zaczerpnięte zostały wprost z przemówienia ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza wygłoszonego 17 grudnia 1970 r. bądź z mediów komunistycznych. Właściwymi nazwami tej zbrodni są używane w prasie drugiego obiegu i w niepodległej Polsce 2 określenia: masakra grudniowa (wskazująca na skutki przemocy władzy komunistycznej wobec bezbronnych ludzi) i rewolta grudniowa (opisująca bunt robotników i wszystkich ludzi ich wspierających).

DEMONSTRANCI NIOSĄ NA DRZWIACH CIAŁO
ZBIGNIEWA GODLEWSKIEGO, GDYNIA, 17 GRUDNIA 1970 R. FOT. AIPN

Przypomnijmy: w grudniu 1970 r. co najmniej 45 osób zostało zabitych, a 1165 rannych, często z trwałymi urazami na całe życie. Termin „wypadki” był pierwotnie używany przez komunistyczne władze, aby umniejszyć skalę przemocy i zafałszować prawdę o zbrodni, czyli po to, by manipulować faktami. Stefan Kisielewski, wnikliwy obserwator życia politycznego PRL, w swoich *Dziennikach* w dniu 4 stycznia 1971 r. napisał: „Jaki jednakże był naprawdę przebieg wydarzeń na Wybrzeżu, tego nie wiemy – prasa nadal milczy, tylko bezczelni »publicyści« [...] leją jakieś obłudne, krokodyle łzy – tyle, że nie mówią, nad czym właściwie je leją, wspominając zaledwie półgębkiem o »bolesnych wydarzeniach«”.

DEZINFORMACJA

Władzy komunistycznej od samego początku siłowego zainstalowania się w Polsce zależało na kreowaniu nieprawdziwej rzeczywistości, stojącej w jawnym konflikcie z faktami. Fakty nie miały znaczenia, ważne było to, co władza chciała ludziom narzucić, oraz to, co w dalszym ciągu wydarzeń zamierzała osiągnąć. Polityka informacyjna w ramach akcji propagandowych odbywała się w 2 kierunkach – propagandy sukcesu i dezinformacji. Ta druga była szeroko stosowana zwłaszcza w okresie napięć politycznych. Gdy za rządów komunistów dochodziło



■ PIERWSZY KADR FILMU NAKRĘCONEGO PRZEZ FUNKCJONARIUSZY BEZPIEKI, DOKUMENTUJĄCEGO ZAMIESZKI W GDAŃSKU OD 14 DO 15 GRUDNIA 1970 R. FOT. AIPN

do przesilen – Czerwiec '56, Marzec '68, Grudzień '70 – najpierw starano się jak najdłużej zatajać zaistniałe zdarzenia, protesty, strajki, bunty, odwetowe strzelanie do ludzi i szeroko rozumiane represje. Później, gdy dłużej nie dało się ukrywać faktów, tak nimi manipulowano, aby wizerunek władzy wyglądał jak najkorzystniej.

Bezsprzecznie, jeśli chodzi o Grudzień '70, do rozkolportowania wiadomości o tym, co się naprawdę dzieje na Wybrzeżu, przyczyniło się Radio Wolna Europa. Rozgłośnia z Monachium pierwszą wiadomość z Gdańska przekazała 15 grudnia o 23.56. Jak opisał to w swoich wspomnieniach dyrektor RWE Jan Nowak-Jeziorański, dotarcie do wiadomości o rozgrywającej się tragedii było sprawą dość przypadkową.



■ ROBOTNICZY PRZED PŁONĄCYM KOMITETEM WOJEWÓDZKIM PZPR W GDAŃSKU, 15 GRUDNIA 1970 R.
FOT. AIPN

Ponieważ tego dnia słyszalność rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu była nikła, pracownik nasłuchu RWE odnalazł częstotliwość Polskiego Radia w Gdańsku, skąd ku swemu osłupieniu dowiedział się o wprowadzonej w mieście godzinie milicyjnej. Nadana przez RWE informacja 15 grudnia przed północą dotarła do ludzi w całej Polsce i do opinii publicznej na świecie. Odtąd nie można już było milczeć.

MINISTERSTWO PRAWDY

Cenzurę na ziemiach polskich zinstytucjonalizowano w sierpniu 1944 r. Przy Resorcie Bezpieczeństwa Publicznego PKWN powstała wtedy specjalna komórka – Centralne Biuro Kontroli Prasy. Na mocy dekretu z 5 lipca 1946 r. CBKP przekształcono w Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. To orwellowskie „ministerstwo prawdy” przetrwało do końca PRL w 1990 r. Równolegle w latach 1944–1945 istniał Resort Informacji i Propagandy, przemianowany w 1945 r. na Ministerstwo Informacji i Propagandy. Wraz z przejściem pełnej kontroli nad państwem przez partię komunistyczną w grudniu 1948 r. nastąpiło przesunięcie części struktur państwowych do struktury partyjnej. Kształtowanie polityki informacyjnej przejął pion ideologiczno-propagandowy Komitetu Centralnego PZPR.

Stałą praktyką komunistów było informowanie o buntach, protestach, strajkach tylko w miejscu ich rozgrywania się. W Trójmieście, Szczecinie lub Elblągu kłamstwa, że nic się nie dzieje, nie można było po prostu utrzymywać, jednak to, co przekazywano opinii publicznej, było ściśle reglamentowane i kontrolowane przez Biuro Propagandy i Agitacji oraz Biuro Prasy Komitetu Centralnego PZPR, a także przez zaufanego współpracownika I sekretarza partii Władysława Gomułki, Zenona Kliszkę, członka Biura Politycznego KC.

JAK MANIPULOWANO

Kiedy prześledzimy prasę reżimową z grudnia 1970 r.: „Trybunę Ludu”, „Głos Wybrzeża”, „Dziennik Bałtycki”, „Głos Szczeciński”, dostrzeżemy charakterystyczne cechy manipulacji. W artykułach prasowych obniżano liczbę manifestantów, podkreślano ilość zniszczeń materialnych czy też wydarzeń chuligańskich – podpałów, kradzieży, dewastacji. Co ciekawe, prasa, która na co dzień nie informowała o funkcjonowaniu świata przestępczego w najlepszym z ustrojów politycznych, za jaki uważano komunizm, teraz nagle odkrywała jego ogromne pokłady. Pisano

o bandytach, chuliganach, elementach rozbójniczych, kryminalistach, pijanych szumowinach, rabusiach, rozwydrzonych wyrostkach, złodziejach. Obraz chuliganów budowany był konsekwentnie, w odwołaniu do stereotypów i lęków społecznych.

Oto cytaty z kilku artykułów „Głosu Wybrzeża” z 16 grudnia 1970 r.: „Szumowiny i męty społeczne usiłowały z tragicznej sytuacji w mieście wyłowić własną pieczęć”, „chuligani pili w zdemolowanej księgarni uczując na poszukiwanych pozycjach bibliofilskich”, „przed rozbitym sklepem perfumeryjnym obdzielali dziewczęta kosmetykami, szminkami”. Stanisław Kociołek, wicepremier i członek KC PZPR, w przemówieniu z 16 grudnia mówił wprost o grasujących bandach: „Bandy – bo inne określenie jest tu za słabe – agresywnie przeciwstawiały się działaniom tak ludzkim, jak i powszechnie rozumiałym, jak gaszenie pożarów, ratowanie ludzi, którym groziła śmierć w ogniu, udzielanie pomocy poranionym. Uczynili to osobnicy szczególnego pokroju, przestępczego, zbrodniczego. I tylko tacy są wśród zatrzymanych, tacy odpowiedzą przed prawem”.



■ JEDNA Z OFIAR MASAKRY W GDAŃSKU PODTRZYMYWANA PRZEZ NIEZIDENTYFIKOWANĄ OSOBĘ, 17 GRUDNIA. FOT. AIPN



■ SPALONY BUDYNEK KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO PZPR W GDAŃSKU PRZY UL. WAŁY JAGIELLOŃSKIE;
ZDJĘCIE WYKONANE PO ZAMIESZKACH W DNIU 15 GRUDNIA 1970 R. Z OKNA BUDYNKU KMMO W GDAŃSKU.
FOT. AIPN

ZABICI FUNKCJONARIUSZE?

W „Głosie Wybrzeża” z 16 grudnia 1970 r. w apelu skierowanym do „klasy robotniczej i ludzi pracy w Gdańsku”, sygnowanym przez Komitet Wojewódzki PZPR, Wojewódzką i Miejską Radę Narodową oraz Wojewódzki Komitet Związków Zawodowych, pisano: „Doszło do naruszenia porządku w zakładach pracy oraz nieodpowiedzialnych rozruchów na ulicach Gdańska. Demonstracje i zamieszki zostały wykorzystane przez elementy chuligańskie i wichrzycielskie. [...] Dopuszczono się morderstw na funkcjonariuszach milicji i osobach cywilnych. Ponad 150 milicjantów i żołnierzy odniosło rany, w tym wielu bardzo ciężko [...]. Wobec nieustających agresywnych wystąpień i ataków organy porządku publicznego w obronie własnej użyły broni”.

Charakterystyczny jest zwrot o mordach na osobach mundurowych. Tak naprawdę w zbrodni Grudnia '70 – z tego, co wiemy dzisiaj – zginęło 2 funkcjonariuszy milicji i żołnierz. Okoliczności 2 z tych śmierci do dziś są niewyjaśnione. Plutonowy MO

Jerzy Kozaczuk zmarł w Gdańsku w swoim mieszkaniu, najpewniej zatruty gazami, bez ingerencji osób trzecich. Szeregowiec WP Stanisław Nadratowski zginął w Szczecinie od kuli w głowę, sugerowano przypadkowe postrzelenie się lub samobójstwo. Nadratowski, sam stoczniowiec, mający ojca i wujków stoczniowców, wcześniej głośno deklarował, że nie będzie strzelał do robotników. Kto naprawdę oddał do niego strzały, nie wiadomo. Jedyny milicjant, który zginął z rąk demonstrantów, to st. sierż. Marian Zamroczyński. Najpierw z bliska zastrzelił on pierwszą ofiarę Grudnia '70 – Józefa Winderlika, a następnie sam dotkliwie pobity przez protestujących, zmarł po kilku dniach w szpitalu, nie odzyskując przytomności. Są jeszcze 42 pozostałe ofiary, w ogromnej większości bezbronni ludzie zastrzeleni z broni palnej przez umundurowanych funkcjonariuszy. Odwrócenie proporcji, zaliczanie do ofiar tłumu tych, których być może funkcjonariusze sami zastrzelili, mnożenie rzekomych ofiar po stronie reżimu – to typowe przypadki dezinformacji propagandy tamtego czasu.

REAKCJA STOLICY

Wiadomości o strajkach na Wybrzeżu ogólnopolska „Trybuna Ludu” podała dopiero 17 grudnia 1970 r. w tekście o charakterystycznym tytule *Zajścia w Gdańsku*. Artykuł znalazł się na pierwszej stronie dziennika, nie zajmował jednak wiele miejsca. Czytamy w nim: „Gdańsk stał się terenem tragicznych wydarzeń. [...] Awanturnicy i wichrzyciele wykorzystali fakt, że w godzinach rannych, porzuciwszy pracę, na ulice wyszła część załogi Stoczni Gdańskiej. Dopóki nie doszło do aktów gwałtu, milicjanci, ormowcy i żołnierze konsekwentnie powstrzymywali się od użycia siły. [...] Sprawy te, które wymagają rozważania z załogą i właściwego rozwiązania były ostatnio przedmiotem dyskusji, która nadal jest w Stoczni potrzebna. Niestety zamiast ich spokojnego i rzeczowego rozważania na zebraniach w samym zakładzie, część załogi uległa nieodpowiedzialnym wezwaniom, porzuciła pracę i wyszła na ulice”.

W przemówieniu z 18 grudnia 1970 r. premier PRL Józef Cyrankiewicz mówił o słusznych emocjach robotników, zmanipulowanych przez siły zła: „Wykorzystane zostały one, jak zwykle [...] przez elementy anarchistyczne, chuligańskie i kryminalne, z drugiej strony – przez wrogów socjalizmu, przez wrogów Polski. Dopowiedzcie sobie, czyżby Polska była jedynym krajem na świecie, w którym nie ma wrogich sił działających wewnątrz?”. To, co zaszło, jak mówił Cyrankiewicz, nie tylko przyniosło krajowi straty, ale stało się „żerowiskiem dla wrogów

Polski Ludowej”. Pod artykułem z wypowiedzią premiera PRL znajdowała się uchwała Rady Ministrów zezwalająca na używanie przeciw protestującym broni.

Stefan Kisielewski komentujący na bieżąco toczące się wydarzenia zanotował 17 grudnia w swoich notatkach: „Trudno się zorientować, co tam się dzieje teraz – podobno strajk w stoczni trwa, próbuje się też otwierać porozbijane sklepy. Nasza telewizja i radio odezwały się na ten temat po dwóch dniach, gdy cały świat trąbił już o tym na wszelkie sposoby, prasa zaś nasza podała komunikat dopiero dziś. Nie negują, że był strajk i sprawa socjalna, kładą natomiast nacisk na »męty« i chuligaństwo. Przypominają, że zmiana cen jest podyktowana »koniecznością uzdrowienia gospodarki«, grożą represjami, a w ogóle, jak zwykle, informują minimalnie. Wczoraj w telewizji było trochę zdjęć, głównie popalonych autobusów”.

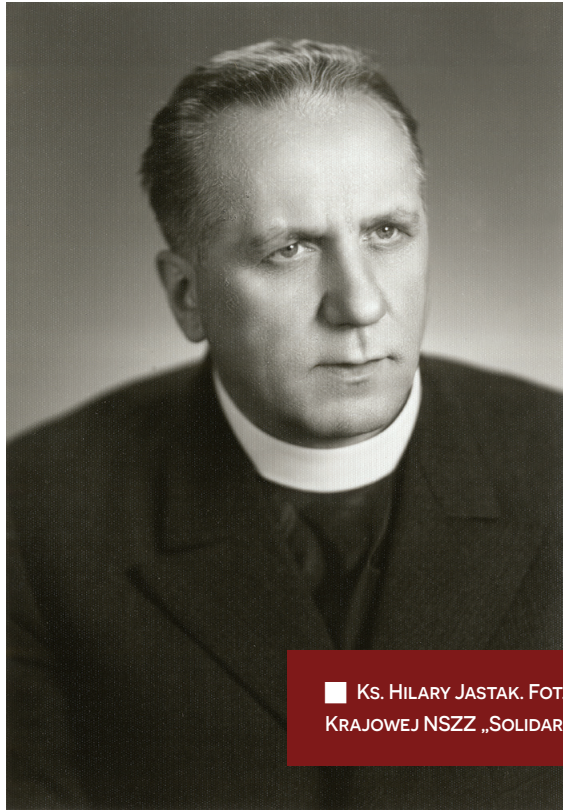
Dbałość o pamięć obowiązuje nas wszystkich. Właściwe nazywanie zdarzeń historycznych (tu można toczyć spory, czy bardziej od strony poniesionej ofiary, czy jako przejaw oporu) powinno być pielęgnowane i przekazywane we właściwej formie następnym pokoleniom. W innym wypadku stajemy się częścią wizji George’a Orwella z powieści *Rok 1984*, gdzie „prawdziwą dziedziną Ministerstwa Pokoju jest wojna, Ministerstwa Prawdy – kłamstwa, Ministerstwa Miłości – tortury, Ministerstwa Obfitości – głód”.

BIBLIOGRAFIA

- Eisler J., „*Polskie miesiące*” – działania propagandowe w okresie przesilenia politycznych w PRL, [w:] *Propaganda PRL*, Gdańsk 2004, s. 33–41.
- Kamiński Ł., *Struktury propagandy w PRL*, [w:] *Propaganda PRL*, Gdańsk 2004, s. 10–13.
- Kisielewski S., *Dzienniki*, Warszawa 1996.
- Nowak J., *Polska z oddali. Wojna w eterze – wspomnienia*, t. 2: 1956–1976, Londyn 1988, s. 269–270.
- Orwell G., *Rok 1984*, Paryż 1953.
- Ruchlewski P., *Kampania propagandowa w grudniu 1970 r. w świetle prasy regionu bydgoskiego* („*Nowości*”, „*Ilustrowany Kurier Polski*”, „*Gazeta Pomorska*”), „*Fides, Ratio et Patria. Studia Toruńskie*” 2015, nr 2, s. 86–120.



Adam Hlebowicz (ur. 1962) – historyk i dziennikarz, pracownik Biura Edukacji Narodowej IPN. Autor książek: *Kościół w niewoli. Kościół rzymskokatolicki na Białorusi i Ukrainie po II wojnie światowej* (1991); *Katolicyzm w państwie sowieckim 1944–1992* (1993); *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice* (2004); *Biłozowta Ukrainy* (2009); *Kaliningrad bez wizy* (2012); *Grażyna Lipińska* (2020); *Podróż na Wschód* (2021) i in.



■ Ks. HILARY JASTAK. FOT. ARCHIWUM KOMISJI
KRAJOWEJ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

KS. JAROSŁAW WĄSOWICZ SDB

STRAŻNIK PAMIĘCI OFIAR GRUDNIA '70

KSIĄDZ HILARY JASTAK (1914–2000)

W najnowszych naszych dziejach grudzień w kalendarzu polskich miesięcy zapisał się tragicznie. W 1970 r. na Wybrzeżu doszło do zbrodni dokonanej przez komunistyczną władzę na stoczniovcach i portowcach. Dekadę później, w 1981 r., ta sama komunistyczna władza dopuściła się zbrodni na całym narodzie, rozbudzonym wolnościowymi aspiracjami przez Jana Pawła II i powstanie Solidarności. Wprowadzony wówczas stan wojenny przyniósł kolejne ofiary męczenników za Polskę.



Oba grudnia – ten z 1970 i ten z 1981 r. – stały się duchowymi fundamentami pod ostateczne pozbawienie władzy tych, którzy konsekwentnie od zakończenia II wojny światowej narzucali nam sowiecki reżim. To zwycięstwo nie byłoby możliwe zwłaszcza bez duchowych przewodników. Należał do nich ks. prałat Hilary Jastak, proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni, jeszcze za życia zwany „Królem Kaszubów”. Kapłan niezłomny, wierny syn Kościoła i Polski.

Biografia ks. Jastaka w zasadzie w całości oddaje jego wyjątkową postawę troski o wspólne dobro, zarówno w wymiarze eklezjalnym, jak i społecznym. Tak został wychowany. Urodził się w 1914 r. w Kościerzynie, w sercu Kaszub, w rodzinie wielodzietnej. Jego ojciec Jakub Jastak był znanym społecznikiem i samorządowcem związanym z Narodową Demokracją. Stał się współzałożycielem miejscowej Polskiej Spółki Ziemskiej i Banku Ludowego, przeciwdziałając wykupywaniu ziemi z rąk polskich. Był też radnym miejskim, członkiem sejmiku powiatowego, należał do rady parafialnej i komitetu budowy kościoła farnego w Kościerzynie. Wydaje się, że to właśnie po nim przyszły niezłomny duszpasterz odziedziczył pęd do społecznej aktywności i wrażliwość na ludzkie potrzeby.

PIERWSZE LATA KAPŁAŃSKIEJ DROGI

Na kapłana został wyświęcony w trudnych czasach niemieckiej okupacji. Wojenne zawirowania i prześladowanie przez okupanta Polaków na Pomorzu sprawiły, że w rodzinnej diecezji chełmińskiej w seminarium w Pelplinie nie mógł kontynuować nauki. Od 1940 r. formację odbywał więc w Metropolitalnym Seminarium Warszawskim. W okupowanej stolicy przyjął święcenia kapłańskie z rąk bp. Stanisława Galla.

Pracował jako wikary w kilku podwarszawskich parafiach, ale także konspirował. Działal w organizacji „Krzyż i Miecz” oraz jako kapelan w Armii Krajowej, brał udział w tajnym nauczaniu. Śpieszył z duchową posługą do stacjonujących w lasach partyzantów, sprawował duszpasterską opiekę nad młodzieżą harcerską z Szarych Szeregów. Ten czas w jego życiu stał się swoistą szkołą patriotycznego i społecznego zaangażowania.

REPRESJE KOMUNISTYCZNYCH WŁADZ

Stał się jednym z najbardziej zaangażowanych społecznie kapłanów w Polsce po II wojnie światowej, kiedy toczyła się permanentna walka komunistów z narodem, ugruntowanym i przesiąkniętym chrześcijańską tradycją i duchowością. Przez cały okres Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ks. Jastak stał w pierwszym szeregu obok tych, którzy upominali się o wolność. Na wszystkich etapach tej walki był przez władze represjonowany.

W 1945 r. powrócił do macierzystej diecezji, która należała do najbardziej doświadczonych męczeństwem swoich kapłanów. Wszędzie brakowało duszpasterzy, a ci, którzy szczęśliwie przeżyli wojnę, musieli pracować ponad siły. Ksiądz Hilary najpierw otrzymał probostwo parafii w Pogódkach, a następnie przeniesiono go do Torunia. 1 stycznia 1946 r. został dyrektorem gdyńskiego oddziału Caritasu. Z tym portowym miastem związał się już na całe życie.

W gdyńskim Caritasie ks. Jastak skoncentrował się zwłaszcza na pracy wśród osieroconych dzieci i najbiedniejszych, których w latach powojennych nie brakowało. Był wówczas także duszpasterzem akademickim i kapłanem „Caritas Academica” przy Wyższej Szkole Handlu Morskiego. Jego działalność obejmowała nie tylko Gdynię, ale również powiaty kościerski, kartuski i morski. Łącznie podlegały mu 63 parafialne oddziały Caritasu. W swojej pracy na rzecz ubogich wychodził wciąż z nowymi inicjatywami. Zorganizował kuchnie ludowe dla najbiedniejszych, dożywianie dzieci w przedszkolach, sprawne rozdzielanie darów i leków z UNRRA (od Polonii amerykańskiej i Czerwonego Krzyża), letnie kolonie dla dzieci i młodzieży. W Białej Górze utworzył sierociniec, który nazwał Domem Chłopców, wspierał także Salezjański Dom Dziecka w Rumi, gdzie opiekowano się sierotami i dziećmi z bardzo ubogich rodzin z całej północnej Polski. Założył też Dom Starców w Gdyni.

Wielopłaszczyznowa działalność księdza zwróciła uwagę kościelnych hierarchów. Zarządzany przez niego gdyński ośrodek Caritasu w 1946 r. był wizytowany przez kard. Adama Sapiechę, przewodniczącego Komisji Episkopatu dla Spraw „Caritasu”. W następnym roku odwiedzili go kard. Bernard William Griffin – prymas Anglii w towarzystwie kard. Augusta Hlonda, prymasa Polski.

Na ks. Jastaka zwróciły także uwagę władze komunistyczne, które zaczęły podejmować próby wykluczenia go z przestrzeni zaangażowania charytatywnego, dzięki

■ KS. HILARY JASTAK ODPRAWIA MSZĘ ŚW. NA TERENIE
STOCZNI IM. KOMUNY PARYSKIEJ W GDYNI W PIERWSZĄ ROCZNICĘ
PODPISANIA POROZUMIEŃ SIERPNIOWYCH 1980 R. FOT. AIPN



któremu zyskiwał coraz większy podziw i powszechny szacunek wśród wiernych. Wydaje się, że naciski wywierane przez władze na biskupa chełmińskiego Kazimierza Kowalskiego spowodowały odwołanie ks. Hilarego z funkcji dyrektora Caritasu z dniem 1 stycznia 1949 r. Jednocześnie ordynariusz mianował go proboszczem nowo powstającej parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Kapłan nie uniknął jednak w związku z tym represji. Został aresztowany 15 marca 1950 r. i 2 miesiące był przetrzymywany w więzieniu. Przez kolejne lata roztaczano nad nim dozór milicyjny, inwigilowano jego działalność. Łącznie otrzymał ponad 500 wezwań zarówno do zapłaty nałożonych kar pieniężnych, jak i na przesłuchania. Służba Bezpieczeństwa tak go charakteryzowała: „Ks. Jastak należy do grupy księży najbardziej wojowniczo ustosunkowanych do władz państwowych na terenie Gdyni. [...] jest jednostką upartą i negatywnie ustosunkowaną do wszelkiej władzy państwowej, cechuje go służalczy stosunek do Kurii i Episkopatu. Jest oddany bez reszty swojej hierarchii”.

Pomimo wspomnianych szykan prowadził działalność duszpasterską, odpowiadając zwłaszcza na naglące potrzeby społeczne, nacechowaną również pa-

■ Ks. HILARY JASTAK (TRZECI OD PRAWY) PO ZAKOŃCZENIU MSZY ŚW.
NA TERENIE STOCZNI IM. KOMUNY PARYSKIEJ W GDYNI, ODPRAWIONEJ W PIERWSZĄ
ROCZNICĘ PODPISANIA POROZUMIEN ŚIERPNIOWYCH 1980 R. FOT. AIPN



triotyzmem. W 1953 r. uzyskał tytuł doktora teologii moralnej na Uniwersytecie Warszawskim, w 1961 r. otrzymał godność szambelana papieskiego, w 1965 r. prałata domowego Jego Świątobliwości.

Słynął z płomiennych kazań. Przykładowo po homilii wygłoszonej w Pucku z okazji 50. rocznicy zaślubin Polski z morzem został przez Służbę Bezpieczeństwa określony mianem „najbardziej wojowniczo nastawionego księdza do władzy państwowej”. Parafia za sprawą swojego proboszcza urosła do centrum niezależnego życia w Gdyni, zarówno kulturalnego, kaszubskiego, jak i politycznego. Do osiągnięć ks. Hilarego Jastaka należy zaliczyć budowę okazałego kościoła, nawiązującego do przedwojennej idei wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego budowy Bazyliki Morskiej. W budowie kościoła w tych trudnych czasach czynnie uczestniczyła społeczność parafii, wspomagając ten wysiłek nie tylko materialnie i duchowo, ale również poprzez masowy udział w pracach. Konsekracja kościoła odbyła się w 1966 r. w ramach uroczystości Sacrum Poloniae Millennium. Wkrótce świątynia wpisała się w historię Gdyni i całego Wybrzeża. Za sprawą odważnego proboszcza stała się bardzo ważnym miejscem związanym zarówno



z Grudniem '70, jak i z protestami społecznymi z lata 1980 r.

MASAKRA ROBOTNIKÓW W GDYNI

Dekadę lat 70. XX w. na Wybrzeżu rozpoczęła masakra stoczniowców w grudniu 1970 r. dokonana przez milicję i wojsko. Bezpośrednią przyczyną wybuchu robotniczego buntu stały się ogłoszone przez rząd 12 grudnia podwyżki cen artykułów spożywczych i przemysłowych codziennego użytku, nazwane przewrotnie „regulacją”. Frustracja

milionów Polaków spowodowana pogłębiającym się kryzysem gospodarczym i pogarszającymi się warunkami życia, spotęgowana dodatkowo czasem przeprowadzenia podwyżki (okres przedświąteczny) wywołała ostre protesty robotników. Do największych wystąpień doszło w dniach od 14 do 18 grudnia w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Elblągu. W Gdyni tragicznym dniem okazał się 17 grudnia, do dzisiaj nazywany w historiografii „czarnym czwartkiem”.

Dzień wcześniej wicepremier Stanisław Kociołek apelował w mediach do protestujących na Wybrzeżu robotników o spokój i powrót do normalnej pracy 17 grudnia. I znaczna część pracowników dała się tym nawoływaniom zwieść. Wczesnym rankiem podążyli na pierwszą zmianę m.in. pracownicy Stoczni Gdynińskiej im. Komuny Paryskiej. Około godz. 6.00 w okolicach przystanku kolejowego Gdynia Stocznia wojsko i milicja otworzyły ogień do zdążających do zakładu stoczniowców. Zastrzelono wówczas 16 bezbronnych osób. Wieści o tragedii szybko zaczęły rozprzestrzeniać się po mieście. Pochody i demonstracje robotnicze objęły całą Gdynię. Przez następne dni trwały strajki w największych zakładach

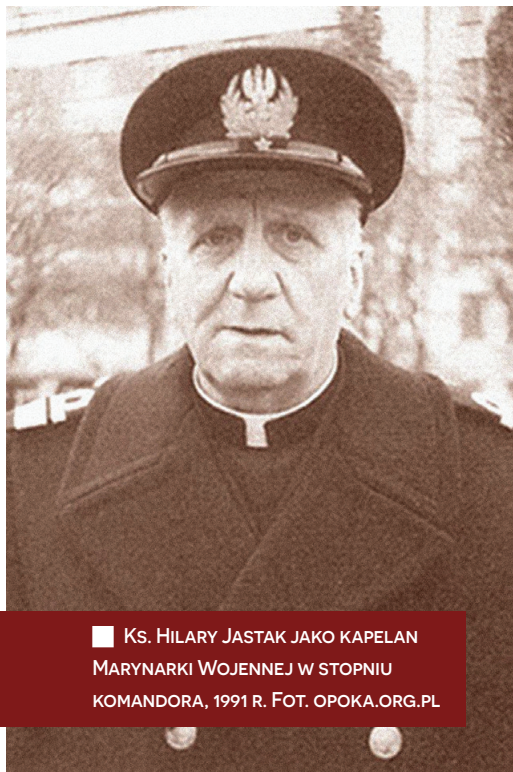
Trójmiasta. Władza stopniowo opanowywała sytuację dopiero po trzech dniach. Niedziela 20 grudnia była pierwszym dniem bez żadnych incydentów.

Bilans wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu był tragiczny. Strajki i demonstracje objęły dziesiątki tysięcy osób. Przeciw robotnikom wystąpiła zbrojnie „robotnicza” władza. Z czasem wydarzenia Grudnia '70 urosły do rangi symbolu. Przez niektórych były uważane nawet za jedno z narodowych powstań. W wyniku działań milicji i wojska 17 grudnia 1970 r. w Gdyni oficjalnie śmierć poniosło 18 osób. Liczbę rannych podaje się od 75 do 233. Według oficjalnych danych milicji zatrzymano 327 osób.

W obliczu tej tragedii ks. Hilary Jastak stał się jednym z bohaterskich duchownych, którzy ruszyli na pomoc pokrzywdzonym robotnikom i ich rodzinom. Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni, którego był proboszczem, stał się centrum wsparcia dla poszkodowanych. Tutaj docierały pierwsze informacje o zabitych i spontanicznie zaczęto gromadzić różne potrzebne rzeczy, aby wesprzeć ich rodziny. Kościół parafialny, który znajdował się w centrum Gdyni nieopodal dworca PKP, był wówczas otwarty całą dobę. Ksiądz Jastak już 17 grudnia za poległych stoczniovców odprawił Mszę św. Później Eucharystię w tej intencji sprawowano także w innych kościołach Trójmiasta, z czasem też w świątyniach w wielu miejscach Polski. Gdyński proboszcz na tej pierwszej Mszy św. nazwał zamordowanych robotników wprost męczennikami, „którzy zginęli z miłości do rodziny i Ojczyzny”.



■ DRZWI, NA KTÓRYCH STOCZNIOWCY NIEŚLI ZBYSZKA GODLEWSKIEGO, ZASTRZELONEGO 17 GRUDNIA 1970 R. PRZEZ ŻOŁNIERZY LWP; KAPLICA PORTOWCÓW, STOCZNIOWCÓW I LUDZI MORZA KOŚCIOŁA NAJŚWIĘTSZEGO SERCA PANA JEZUSA W GDYNI. FOT. JAN RUMAN



■ Ks. HILARY JASTAK JAKO KAPELAN
MARYNARKI WOJENNEJ W STOPNIU
KOMANDORA, 1991 R. FOT. OPOKA.ORG.PL

STRAŻNIK PAMIĘCI O GRUDNIU '70

W kolejnych dniach ks. Jastak zorganizował wszechstronną pomoc poszkodowanym i potrzebującym, a zwłaszcza rodzinom ofiar. Była ona prowadzona przez kolejne tygodnie, w niektórych przypadkach przez kilka lat. Obejmowała nie tylko wsparcie materialne, ale także opiekę lekarską, psychologiczną i duchową. Po grudniowej tragedii gdyński proboszcz rozpoczął jeszcze jedną, niezwykle żmudną, ale potrzebną inicjatywę, mianowicie gromadził informacje o zabitych i represjonowanych, chcąc stworzyć prawdziwy obraz wydarzeń, wobec totalnego zakła-

mania przez sprawujących władzę tego, co wydarzyło się na Wybrzeżu. Informacje zbierali m.in. wikarzy podczas odwiedzin chorych z sakramentami, głównie zaś podczas tradycyjnej kolędy po domach. Z zebranych danych ks. Hilary Jastak przygotowywał memoriały wysyłane następnie do Episkopatu, poszczególnych biskupów, a przede wszystkim do księdza prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego.

Już 27 stycznia 1971 r. przekazał prymasowi raport z wydarzeń grudniowych, w którym opisał bestialstwo milicji, kilka sylwetek pomordowanych w grudniu uczestników zająć w Gdyni. Poinformował kard. Wyszyńskiego o „niezasłużonym męczeństwie” mieszkańców Gdyni. To był chyba najważniejszy dokument opracowany przez bohaterskiego kapłana w pierwszych tygodniach po tragedii. W odpowiedzi na sprawozdanie ks. Jastaka prymas przesłał mu podziękowania za rzetelnie zebrane informacje oraz wyrazy największego uznania dla prowadzonej pracy i błogosławieństwo.

Słowa ks. Jastaka, którymi zwracał się wówczas do wiernych i które kierował do prymasa, wyznaczyły kierunek widzenia grudniowej tragedii w nauczaniu Kościoła. Po latach ks. Jastak wspominał: „Pocieszałem, tłumacząc, że zginęli w czasie wypełniania swoich obowiązków wynikających z czwartego przykazania, z miłości

do rodziny i Ojczyzny. Zginęli jako męczennicy”. Dwa miesiące po tragedii z polecenia Episkopatu Polski zorganizowano w całym kraju nabożeństwa w intencji Ojczyzny. Zbierane wówczas ofiary zostały przeznaczone na pomoc osieroconym rodzinom.

Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa stał się w kolejnych latach miejscem przechowywania grudniowych relikwii, które znajdują się w nim po dziś dzień. W kaplicy Ludzi Morza przechowywane są drzwi, na których niesiono ulicami Gdyni zabitego chłopca: Zbigniewa Godlewskiego, oraz sztandar umoczony w jego krwi. Msze św. upamiętniające ofiary Grudnia '70 były odprawiane przez ks. Jastak w każdą rocznicę tragicznych wydarzeń w Gdyni. Proboszcz

był też wielkim orędownikiem budowy w mieście pomnika Ofiar Grudnia '70. Pod koniec lat 70. ks. Hilary Jastak czynnie wspierał Wolne Związki Zawodowe. W 1978 r. zatrudnił w parafii pozostającego bez pracy Arkadiusza Rybickiego, działacza Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Ruchu Młodej Polski. W tym okresie proboszcz gdyńskiej parafii był często wzywany do Urzędu ds. Wyznań, gdzie prowadzono przeciwko niemu postępowania administracyjne.

W późniejszych latach obchody kolejnych rocznic stawały się okazją do integracji działań niezależnych środowisk. Można by rzec, że na przelanej wtedy krwi zrodził się w 1980 r. pamiętny sierpień i NSZZ „Solidarność”. Kolejną z odsłon zaangażowania ks. Jastaka na rzecz wolnej Ojczyzny i chrześcijańskiej wizji godności



człowieka była jego posługa stoczniovcóm i portowców w Gdyni podczas strajków w sierpniu 1980 r. Miała ona niebagatelny wpływ na strajkujących robotników i na utrwalenie w świadomości międzynarodowych obserwatorów roli Kościoła w zniewolonym przez komunizm społeczeństwie polskim. Dzięki kapłanom z Pomorza Gdańskiego, którzy w tym czasie posługiwali protestującym w ich zakładach pracy, cały świat ujrzał Polaków modlących się po obu stronach bram na Mszy św. Po tych wydarzeniach „międzynarodowa opinia publiczna oswojona już była z faktem, że to nie władza toleruje wierzących, lecz chrześcijanie tolerują władzę”.

POGRZEB KAPŁANA NIEZŁOMNEGO

„Król Kaszubów” odszedł na kapłańską emeryturę w 1984 r., ale do końca mieszkał na plebanii parafii NSPJ, którą tworzył od podstaw. Zakończył swoje pracowite życie 17 stycznia 2000 r. Mszę św. żałobną odprawiało 5 biskupów pod przewodnictwem metropolity gdańskiego abp. Tadeusza Gocłowskiego. Obecnych było także kilkudziesięciu duchownych wraz z bratem zmarłego ks. kan. Edmundem Jastakiem oraz 2 tys. wiernych.

W homilii metropolita warmiński abp Edmund Piszcz, wspominając życie zmarłego, nazwał Go nieustraszonym bojownikiem o wolność i suwerenność Polski. Podkreślił też jego głęboki patriotyzm oraz że sam ks. Jastak i dzięki niemu kościół NSPJ, jego plebania stały się ważnym punktem odniesienia dla wszystkich gdynian. Natomiast na koniec uroczystości abp Gocłowski nazwał zmarłego kapłana człowiekiem trudnego czasu – dwóch wojen, kryminogennych ideologii (faszystowskiej i bolszewickiej) – ale zarazem też geniuszem w znajdowaniu właściwej postawy wobec tragicznych wydarzeń wspomnianego okresu.

Zmarły kapłan zgodnie ze swoim życzeniem został pochowany w krypcie przy kościele NSPJ w Gdyni.



Ks. Jarosław Wąsowicz (ur. 1973) – salezjanin, dr hab. historii, publicysta, kapelan prezydenta RP Karola Nawrockiego. Autor książek: *Niezależny ruch młodzieżowy w Gdańsku w latach 1981–1989* (2012); *Ksiądz Ignacy Błazewski SDB (1906–1939). Twórca oratorium w Rumi i męczennik za wiarę* (2017); *Sektor Polska. Kibice, historia, patriotyzm* (2018); *Defensor Ecclesiae. Arcybiskup Antoni Baraniak (1904–1977). Salezjańskie koleje życia i posługi metropolity poznańskiego* (2022) i in.



■ Ks. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

ŁUCJA MAREK

DZIEDZICTWO KS. TADEUSZA ISAKOWICZA-ZALESKIEGO

„Ze wszystkich książek, które w życiu przeczytałem, największe wrażenie zrobili na mnie *Ludzie bezdomni* Żeromskiego. Podobały mi się zwłaszcza te fragmenty, które mówiły o tym, że Judym jest takim Don Kichotem walczącym z wiatrakami, że jest nierozumiany, że musiał porzucić narzeczoną, żeby móc całkowicie poświęcić się służbie innym itd. Mnie ten ideał bardzo odpowiadał: życia, w którym idzie się pod prąd i w którym własne sprawy poświęca się sprawie wspólnej. Później, kiedy zainteresowałem się bliżej bratem Albertem, obie te postacie – Judym i brat Albert – zlały mi się w jedno” (ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski).

9 stycznia 2024 r. zmarł ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, duchowny katolicki obrządków ormiańskiego i łacińskiego, współzałożyciel i wieloletni prezes Fundacji im. Brata Alberta, działacz opozycji antykomunistycznej, poeta, publicysta. Kapłan ten pozostawił trwały ślad w życiu Kościoła i narodu.

Ksiądz Tadeusz nazwał swoje życie „nielegalnym”. Wojciech Bonowicz, publicysta, członek Rady Fundacji im. Brata Alberta, przyjaciel kapłana, tak to wyjaśnił: „bo stale coś w nim [życiu] robił »nie tak«, wykraczając poza ramy wyznaczone mu przez innych”. Chodził własnymi ścieżkami – już jako kleryk angażował się w różne działania bez formalnej zgody przełożonych. Powszechnie był kojarzony z tematem lustracji w Kościele, choć w centrum jego aktywności duszpasterskiej i społecznej stały osoby niepełnosprawne, pośród nich żył i pracował. Doświadczył niezrozumienia i osamotnienia, kiedy uporczywie wzywał do rozliczeń z przeszłością, gdy domagał się prawdy – zamiast dyplomacji – w narracji o rzezi wołyńskiej.

W homilii pogrzebowej bp Damian Muskus powiedział: „Ks. Tadeusz wybrał trudną drogę życia. Była to droga dotykania ran. Może czasem robił to nieostrożnie i nie zawsze potrafił je uleczyć, ale pokazywał je światu, nie godząc się na prowizoryczne opatrunki, na plasterki, które coś maskują. Wielu wolałoby omijać szerokim łukiem nierozwiązane problemy z przeszłości Kościoła i Polski, ale on nie potrafił milczeć, nie umiał zejść z tej drogi. Płacił za to ogromną cenę samotności i niezrozumienia. Pod wieloma względami był jak patron założonej przez siebie fundacji. Jak św. Brat Albert był radykałem, który szedł całe życie pod prąd, jak on był wrażliwy na ludzkie biedy i jak on pośród tych bied zamieszkał. Jak on przechodził swoje noce ciemne. Jak on musiał mierzyć się z wszechobecną krytyką”.

DZIEDZICTWO

Urodził się 7 września 1956 r. w Krakowie, jako najstarsze z trojga dzieci Jana Zaleskiego i Teresy z Isakowiczów (miał siostry bliźniaczki Danutę i Joannę, młodsze o 2 lata). Na chrzcie świętym otrzymał imiona Tadeusz Bohdan. Pierwsze po pradziadku ze strony mamy, Tadeuszu Sławińskim – rzeźbiarzu i ceramiku (właściciel fabryki majoliki w Kołomyi, następnie w Peczu na Węgrzech, potem dyrektor fabryki kafli pod Krakowem). Drugie zawdzięczał sympatii ojca do Józefa Bohdana Zaleskiego – poety okresu romantyzmu, powstańca listopadowego.

Jego rodzicami chrzestnymi zostali: Wanda, siostra taty, oraz Jerzy Wacyk, kuzyn mamy. Po latach ks. Tadeusz półżartem wspominał: „Mama do dziś żałuje, że wybrała właśnie jego; twierdzi, że cała moja antykomunistyczna działalność to »spadek« po chrzestnym”. Wacyk – żołnierz Armii Krajowej, po wojnie należał do podziemnej organizacji Liga Walki z Bolszewizmem. Za tę działalność został skazany na karę śmierci zamienioną później na dożywocie. Przesiedział 9 lat w więzieniach we Wronkach i w Rawiczu.

Rodziny ojca i matki ks. Tadeusza pochodziły z Kresów Wschodnich. W ich historii spletały się 3 narodowości i 3 obrządki: ormiański, greckokatolicki i rzymskokatolicki. Prababka ze strony matki była córką greckokatolickiego księdza, a w żyłach matki, która urodziła się już w Krakowie, płynęła po ojcu krew ormiańska. W rodzinie matki było wielu duchownych, m.in. zasłużony arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego Izaak Mikołaj Isakowicz (1824–1901). Ojciec ks. Tadeusza i jego rodzina przeżyli rzeź, której dokonali banderowcy w lutym 1944 r. we wsi Korościatyn. Ocalały z rzezi



■ TERESA I JAN ZALESCY, RODZICE KS. TADEUSZA, 18 CZERWCA 1955 R.
FOT. Z KSIĄŻKI JAN ZALESKI, *KRONIKA ŻYCIA*. KRAKÓW 2010.

dziadek w lipcu tr. został siłą wcielony do Armii Czerwonej, zginął wiosną 1945 r. pod Wiedniem. Po wojnie rodzina ojca doświadczyła przesiedlenia z Kresów Wschodnich na tzw. Ziemię Zachodnie. Krewni dotarli na Dolny Śląsk, a ojciec ks. Tadeusza, ze względu na zły stan zdrowia, w drodze trafił do szpitala w Krzeszowicach, potem zamieszkał w tamtejszym zakładzie wychowawczym. Zaopiekowała się nim ciotka Aniela Muraszka, karmelitanka z pobliskich Paczółtowic. Ksiądz Tadeusz odniósł się do swojego pochodzenia i rodzinnej historii w wierszu *Dziedzictwo*:

otrzymałem w spadku ormiańską duszę
lwowski akcent kresowy patriotyzm
ukraińską tęsknotę za Bogiem

białoruski dworek protoplasty Marcina
i jego przyjaźń z żydowskim rabinem

trwogę przed tatarskim zagonem
ślady po rosyjskiej nahajce

obóz przejściowy na wołoskiej ziemi
wspomnienie węgierskich honwedów

to całe dziedzictwo bogate i trudne
pomoże mi być Polakiem

co żyjąc w łacińskiej kulturze
zachowa obywatelstwo Wschodniej Europy

JUDYM

W młodości Tadeusz był związany z rodzimą parafią św. Mikołaja w Krakowie jako ministrant, lektor i członek ruchu oazowego. Ruch Światło-Życie ukształtował go, nauczył świadomie przeżywać wiarę, miał wpływ na kapłaństwo. Po latach ksiądz wspominał: „Uważałem to [kapłaństwo] za naturalną kontynuację swojego zaangażowania w życie Kościoła. Nie chodziło o żadne sprawy polityczne czy historyczne,

czułem się po prostu odpowiedzialny za Kościół. [...] Miałem szczęście spotykać zawsze dobrych, oddanych księży i animatorów. Widziałem ich gorliwość, pobożność i to działało”. Początkowo jego wybór drogi życiowej nie spotkał się z akceptacją najbliższych. Jedyną osobą z rodziny, która mocno go poparła, była ciocia Krystyna – s. Miriam Isakowicz, rodzona siostra matki, która po studiach matematycznych wybrała życie zakonne i posługę ociemniałym (wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża w Laskach założonego przez bł. Różę Czacką).

W krakowskim seminarium duchownym Tadeusz stawiał się w połowie września 1975 r., a już w końcu października, jako kleryk-poborowy, musiał zameldować się w jednostce wojskowej w Brzegu (pobór kleryków był represją wobec Kościoła i niepokornych hierarchów). Koszary opuścił z końcem listopada 1977 r. Po tym trudnym okresie szykan doświadczył zarówno euforii związanej z wyborem kard. Karola Wojtyły na papieża i jego pierwszą



■ KRYSZYNA ISAKOWICZ (DZIŚ S. MIRIAM) – CIOCIA KS. TADEUSZA,
I JEGO MAMA TERESA ISAKOWICZ. FOT. ISAKOWICZ.PL

pielgrzymką do Polski, jak i zmagać z wątpliwościami co do wybranej drogi życia. W podjęciu właściwej decyzji pomogła mu literatura, a dokładnie literacki bohater Judym, z którym się utożsamiał. Tak o tym mówił: „Jak wielu kleryków ja też miałem wątpliwości, czy iść dalej, to znaczy, czy żyć samotnie czy raczej zrezygnować i założyć rodzinę. W pewnym momencie, na czwartym roku studiów, byłem już nawet zdecydowany odejść i powiedziałem o tym ojcu duchownemu. Poznałem dziewczynę, z którą gotów byłem się związać. [...] W czasie wakacji dużo nad tym myślałem – co wybrać? I w końcu zdecydowałem, że jednak zostanę. Że będzie na pewno trudno, bo człowiek będzie sam, ale że to jest właściwa droga. Przekonały mnie nie argumenty ojca duchownego, ale... kolejna lektura *Ludzi bezdomnych*. Czułem, że mimo licznych wad mam jednak powołanie. Tak więc mogę powiedzieć, że w seminarium zatrzymał mnie Żeromski. [...] Judym symbolizuje pewną posta-

■ PRYMICJE KS. TADEUSZA ISAKOWICZA-ZALESKIEGO, 1983 R. FOT. FACEBOOK



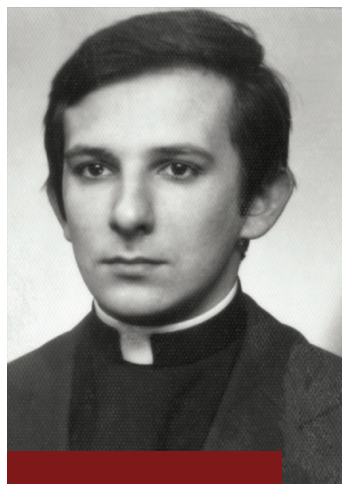
wę: działacza społecznego, konspiratora, człowieka, który chce zmienić świat i żyje ideałami. To może być lekarz, to może być nauczyciel – i może być też duchowny. Ja to tak odczytywałem”.

KAPŁAN

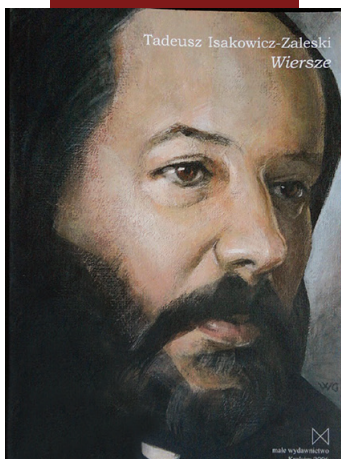
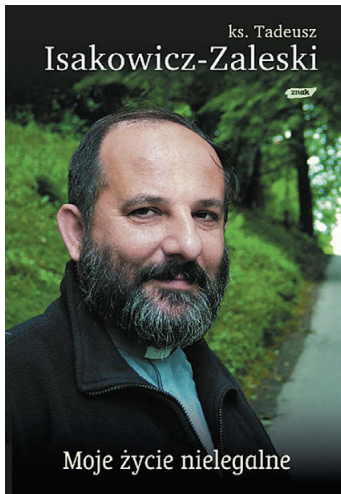
„Byłem klerykiem w sumie osiem lat, z czego tylko trzy i pół roku spędziłem w seminarium” – wspominał ks. Tadeusz. Wydłużony okres przygotowania do kapłaństwa spowodowany był częściowo służbą woj-skową, częściowo działalnością opozycyjną, o czym dalej, a częściowo niezależną postawą Tadeusza (na piątym roku, jako wicedziekan samorządu kleryckiego, przedstawił postulaty dotyczące egzaminów, co zostało odebrane jako krytyka przełożonych, w efekcie za radą rektora poprosił o roczną praktykę).

Święcenia diakonatu przyjął 8 maja 1981 r. Niespełna miesiąc później stracił ojca, który przegrał walkę z nowotworem. Jego koledzy rocznikowi otrzymali święcenia kapłańskie w lutym i maju 1982 r. On, po rocznej praktyce w Chrzanowie i Rajczy, szósty rok formacji seminaryjnej odbywał w systemie niejako hybrydowym, tj. mieszkał i posługiwał na Woli Justowskiej w Krakowie i stamtąd dojeżdżał na zajęcia w seminarium. Święcenia kapłańskie przyjął rok później, 22 maja 1983 r. na Wawelu z rąk kard. Franciszka Macharskiego, który z jednej strony ganił go za „politykę”, z drugiej wspierał, bo czuł się za niego odpowiedzialny. W chwili święceń używał już dwóch nazwisk: Isakowicz-Zaleski. Mszę prymicyjną odprawił przy ołtarzu polowym obok kościoła św. Mikołaja. Towarzyszyły jej akcenty ormiańskie.

„Otrzymałem w spadku ormiańską duszę” – napisał ks. Tadeusz we wspomnianym wyżej wierszu *Dziedzictwo*. Z uwagi na ormiańskie pochodzenie kuria miała wobec niego plan, aby powierzyć mu duszpasterstwo Ormian. Po święceniach chciano skierować go na studia w Papieskim Kolegium Ormiańskim w Rzymie, by przygotował się do tej roli, a także by oderwać go od działalności opozycyjnej i usunąć „z pola widzenia esbecji”. Nie otrzymał jednak zgody władz na wyjazd za granicę. Sprawa po-



■ Ks. TADEUSZ
ISAKOWICZ-ZALESKI,
LATA 80. FOT. AIPN



sługi Ormianom powróciła dopiero u schyłku wieku XX, z inspiracji i potrzeby tego środowiska. Liturgii ormiańskiej uczył się w Rzymie w 2001 r., rok później został mianowany przez ówczesnego zwierzchnika Kościoła ormiańskokatolickiego w Polsce, prymasa kard. Józefa Glempa, duszpasterzem Ormian, najpierw ogólnopolskim, później dla Polski południowej; był też proboszczem ormiańskokatolickiej parafii w Gliwicach w latach 2009–2017.

OPOZYCJONISTA

„Antykomunizm zaszczeplił mi ojciec” – podkreślał ks. Tadeusz. Jako uczeń szkoły średniej zrywał plakaty potępiające protest studentów w okresie Marca ’68. Pobyt w wojsku umocnił w nim antykomunizm. Należał do grupy najbardziej zbuntowanych kleryków-poborowych. Łącznie w wojskowym areszcie przesiedział blisko 2 miesiące. Po powrocie do seminarium nawiązał kontakt ze środowiskami opozycyjnymi: Studenckim Komitetem Solidarności (utworzonym w 1977 r. po śmierci Stanisława Pyjasa), lubelskim środowiskiem pisma „Spotkania”, następnie z Chrześcijańską Wspólnotą Ludzi Pracy i ich pismem o nazwie „Krzyż Nowohucki”. Uczestniczył w spotkaniach, kolportował „bibułę” (drugoobiegowe wydawnictwa), publikował artykuły historyczne i wiersze na łamach niezależnych czasopism.

W okresie stanu wojennego – jako diakon w parafii św. Mikołaja w Chrzanowie – zaangażował się w dystrybucję pomocy finansowej rodzinom internowanych, a także w kolportaż ulotek. Ponadto współprowadził grupę pieszej pielgrzymki na Jasną Górę, w której uczestniczyli zwolnieni z internowania. Na skutek tej działalności został dwukrotnie zatrzymany przez SB, w marcu i w sierpniu 1982 r., a rok później odmówiono mu wydania paszportu na wyjazd

do Rzymu. Z kolei na pierwszej placówce duszpasterskiej w Zabierzowie Bocheńskim utrzymywał kontakt z ks. Kazimierzem Jancarzem z Mistrzejowic (poznali się w 1973 r. na oazie w Olszówce). Gdy po roku otrzymał urlop zdrowotny i zamieszkał na powrót w Krakowie, na stałe związał się z Mistrzejowicami, wówczas „centrum Solidarności”. Regularnie uczestniczył w czwartkowych Mszach św. za Ojczyznę, wygłaszał kazania, spowiadał, głosił rekolekcje dla środowisk opozycyjnych.

W 1985 r. dwukrotnie podjęto zamach na jego życie, najpierw w rodzinnej kamienicy w centrum Krakowa, następnie na terenie Woli Justowskiej, dokąd został przeniesiony po pierwszym nieudanym ataku „nieznanych sprawców”. Te zamachy były reakcją SB na jego zaangażowanie w Mistrzejowicach, a także na posługę w Bieżanowie. Wspierał on bowiem też ks. Adolfa Chojnackiego – drugiego z kapłanów ważnych dla środowisk opozycyjnych i dla niego samego, proboszcza parafii Stary Bieżanów w Krakowie. W 1985 r. ks. Adolf udostępnił pomieszczenia parafialne i zezwolił na zorganizowanie protestu głodowego w akcie sprzeciwu wobec represjonowania działaczy Solidarności. W wolnej Polsce ks. Tadeusz

■ Po Mszy św. w kościele Narodzenia NMP w Starym Bieżanowie, odprawionej przez ks. Isakowicza-Zaleskiego (po lewej) i ks. Adolfa Chojnackiego, 1985 r. Fot. Zbigniew Galicki / IPN



właśnie tym 2 odważnym i niezłomnym kapłanom dedykował książkę *Księża wobec bezpieki na przykładzie archidiecezji krakowskiej* (Kraków 2007), która była efektem jego prac badawczych oraz apelem o lustrację w Kościele katolickim.

SPOŁECZNIK – OPIEKUN NIEPEŁNOSPRAWNYCH INTELEKTUALNIE

Zaangażowanie w działalność opozycyjną doprowadziło Tadeusza do środowiska osób niepełnosprawnych. W trakcie jednej z wypraw po „bibułę” do Warszawy otrzymał od koleżanki opozycjonistki namiar na nocleg. Pod wskazanym adresem wieczorem sprawowana była Msza św. dla osób niepełnosprawnych intelektualnie z Ruchu Wiara i Światło (powstałego w 1971 r. we Francji), w Polsce zwanych popularnie „muminkami”. Po latach ks. Tadeusz tak wspominał ten moment: „Wtedy, w lutym 1979 roku, trafiłem właśnie do wspólnoty stworzonej w Warszawie przez Marcina Przeciszewskiego i Joasię Puzyńę, która była narzeczoną Janusza Krupskiego ze »Spotkań«. W tej grupie było sporo osób w ten czy inny sposób związanych z opozycją. Śmieję się czasem, że nie na darmo tę bibułę woziłem... W każdym razie ta wspólnota istniała już od kilku miesięcy i nosiła nazwę Muminki, od bohaterów książki Tove Jansson, do której podobna była jedna z dziewczynek. [...] Nie mogę powiedzieć, że bym od razu to zrozumiał. To się powoli we mnie przegryzało”.

Latem 1979 r. odwiedził tę wspólnotę na obozie w Białce Tatrzańskiej, rok później w Małym Cichem. Na pierwszym obozie zaczął przełamywać się w kontaktach z „muminkami”, dostrzegać ich otwartość, ufność, autentyczną religijność. A jak przyznał: „na tym drugim obozie zacząłem myśleć o tym, żeby taką wspólnotę założyć w Krakowie”. Pierwsza wspólnota Wiara i Światło powstała w Krakowie wiosną 1981 r. On był współzałożycielem tej i kolejnej – w Chrzanowie. Natomiast: „Kiedy okazało się, że ostatecznie i nieodwracalnie nie dostanę paszportu – wspominał ks. Tadeusz – zaangażowałem się w ruch na całego”. Zwieńczeniem tego zaangażowania i zarazem dziełem jego życia stała się Fundacja im. Brata Alberta, opiekująca się osobami upośledzonymi umysłowo, prowadząca schronisko w Radwanowicach pod Krakowem. Był jej współzałożycielem w 1987 r. i wieloletnim prezesem (1989–2024). Stworzył dom dla podopiecznych i zamieszkał pośród nich.

Geneza zaangażowania ks. Tadeusza w pracę na rzecz „muminków” wiąże się ze wspomnianym wyżej spotkaniem w Warszawie oraz jego przeżyciami

z pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny. On sam tak o tym mówił: „Bardzo duży wpływ na moje przyszłe losy miało spotkanie Papieża z chorymi w kościele Franciszkanów. To było jedyne spotkanie, w którym my, klerycy spod kurii, mogliśmy uczestniczyć. Stałem na chórze i tym, co mnie niezwykle ujęło, był fakt, że było tam pełno ludzi starszych, niepełnosprawnych – co było wówczas nowością, bo takich ludzi rzadko kiedy gromadziło się razem w publicznych miejscach – i Papież, idąc przez środek, przy każdym się zatrzymywał. Szedł do ołtarza prawie dwadzieścia minut, nie zwracając uwagi na porządkowych, którzy próbowali go popędzać. Podobnie było w czasie drogi powrotnej. [...]”

Dla mnie to, co zobaczyłem, było bardzo głębokim religijnym przeżyciem. Do dziś jestem wdzięczny Opatrzności Bożej za to, że mogłem brać w tym udział. Doznałem wtedy silnego osobistego wzruszenia. O ile nie robiło na mnie wrażenia, że na spotkania z Papieżem przychodzą miliony, o tyle ten bezpośredni, osobisty kontakt z chorymi zrobił wrażenie ogromne. [...] Po tym co zobaczyłem u franciszkanów zacząłem inaczej tych ludzi traktować. Zrozumiałem, że to jest bardzo ważne – w jaki sposób odnosisz się do ludzi chorych, starych, wypchniętych na margines. Że oni sami są ważni. Najważniejsi”.

PRZED NAPADEM UPA – WESELE W KOROŚCIATYNIE, WOJ. TARNOPOLSKIE, 1942 R. FOT. ISAKOWICZ.PL



OBROŃCA PRAWDY

Ksiądz Tadeusz od zawsze interesował się historią. Gdyby nie wybrał kapłaństwa, pewnie ukończyłby Wydział Historyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zrozumienie tożsamości i własnych korzeni rozbudził w nim ojciec. W wakacje 1975 r. odbyli wspólnie podróż o charakterze duchowej pielgrzymki na Kresy Wschodnie. Wyjazd wpłynął na jego świadomość historyczną i zaangażowanie na rzecz prawdy o zbrodniach zarówno nacjonalistów ukraińskich, jak i sowieckich. Ukształtował też świadomość strat kulturowych narodu polskiego. Ksiądz stał się rzecznikiem upamiętnienia ofiar i potępienia sprawców ludobójstwa. Poszukiwał prawdy i dopominał się o nią także w kwestii rozliczenia spraw z nieodległej przeszłości, mającej wpływ na dzisiejsze życie społeczeństwa i Kościoła. Należał do zwolenników lustracji duchownych. Zabierał też głos w sprawie nadużyć seksualnych w Kościele.

Cierpiał na głód prawdy i sprawiedliwości. Był w tym dążeniu radykalny, co przysparzało mu wiele krytyki, też niezrozumienia. W homilii pogrzebowej bp Muskus powiedział: „Nie brakowało takich, którzy twierdzili, że szukał pokłasku, ale ja wierzę mocno, że on szukał prawdy; że chciał być ludzką twarzą dla tych, którzy próżno jej szukali w bezdusznych strukturach urzędów i hierarchii. Łaknął sprawiedliwości, ale tego pragnienia nie mogły w nim nasycić połowiczne rozwiązania czy dyplomatyczne wybiegi. Ten głód sprawiedliwości u Księdza Tadeusza mogły zaspokoić tylko uczciwe i przejrzyste zasady postępowania ludzi będących u władzy – czy to kościelnej czy świeckiej. Nie zawsze zgadzałem się z jego metodami, nie podzielałem jego skrajnych poglądów ani skłonności do stawiania spraw na ostrzu noża. Nieraz mu o tym mówiłem, lecz on miał zawsze swoje »ale«. Bo był po prostu człowiekiem. Wyrazistym i upartym. Ale na szczęście to nie osobowość decyduje o naszym zbawieniu, lecz codzienna wierność Ewangelii”.

Ksiądz Tadeusz nie szukał pokłasku, miał na względzie dobro Kościoła. W rozmowie (wywiadzie rzece) z Wojciechem Bonowiczem, odnosząc się do zaawizowań związanych z nierozliczoną kwestią współpracy księży z aparatem bezpieczeństwa, powiedział: „kiedy dowiedziałem się, że esbecja nadała sprawie prowadzonej przeciwko mnie kryptonim »Jonasz«, bardzo dokładnie przeczytałem jego księgę. I na swój los patrzę trochę przez pryzmat tej postaci”. Dalej dodał: „chciałbym, żeby mój Kościół wyszedł z tej historii mądrzejszy. Żeby nie powtórzył podobnych błędów w przyszłości”.

Jeśli błdził czy też dobierał niewłaściwe metody w dążeniu do prawdy, to robił to w przekonaniu o słuszności działania. W tych trudnych momentach na nowo odczytywał historię literackiego Judyma, w niej szukał umocnienia i je znajdował. W rozmowie z Bonowiczem przyznał: „Nie ukrywam, że ostatnio, kiedy wyszły sprawy lustracyjne, znów czytałem »Ludzi bezdomnych«, już chyba po raz pięćdziesiąty. I jak czytałem, to się tylko umacniałem w swoich przekonaniach. To dziwne, bo w sumie przeczytałem ogromną ilość książek, byłem dosłownie pożeraczem literatury i nadal czytam bardzo dużo – ale żadna książka nie miała na mnie takiego wpływu jak ta książka Żeromskiego”.

„PO RAZ PIERWSZY W JEDNYM MIEJSCU”

Po latach, wspominając prymicie, ks. Tadeusz nadmienił, że wtedy: „Po raz pierwszy w jednym miejscu spotkały się wszystkie środowiska, z którymi byłem związany: osoby niepełnosprawne, Ormianie i opozycja”. Ponownie wszystkie środowiska, z którymi ks. Tadeusz był związany i na które był otwarty mimo różnic w poglądach, spotkały się w jednym miejscu 18 stycznia 2024 r., aby wspólnie pożegnać zmarłego i odprowadzić jego doczesne szczątki na miejsce spoczynku. Obecność przedstawicieli bardzo różnych środowisk była świadectwem owoców jego posługi i oddziaływania, umiejętności przyciągania, wzbudzania zaufania oraz otwartości na dialog. Został pochowany w kaplicy na cmentarzu parafii w Rudawie obejmującej Radwanowice.

Żegnając zmarłego, bp Muskus powiedział: „Bóg widział w ks. Tadeuszu człowieka, który szczerze pragnął żyć Kazaniem na górze, nawet jeśli go to wiele kosztowało. Nawet jeśli ormiański temperament wygrywał z chrześcijańską łagodnością, a tęsknota do prawdy i sprawiedliwości wyostrzała słowa i prowadziła go na barykady”.



Łucja Marek (ur. 1976) – historyk, dr hab., pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie. Autorka książek: *„Kler to nasz wróg”. Polityka władz państwowych wobec Kościoła katolickiego na terenie województwa katowickiego w latach 1956–1970* (2009); (z ks. M. Trąbą) *Przypadek ks. Brunona Magotta. Studium źródłoznawcze dokumentacji kościelnej i akt aparatu bezpieczeństwa* (2010); (z M. Bortlik-Dźwierzynską) *Za Marksem bez Boga. Laicyzacja życia społecznego w Polsce w latach 1945–1989* (2014); (z R. Ciupą) *Górnośląski azyl. Pielgrzymki stanowe do Piekar Śląskich w materiałach Służby Bezpieczeństwa. Katalog wystawy* (2018) i in.



■ Ks. WOJCIECH DANIELSKI I JAN PAWEŁ II, RZYM 1984 R.
FOT. ZBIORY BARBARY DANIEL-DANIELSKIEJ

KATARZYNA JÓŻWIK

WSPÓŁTWÓRCA RUCHU OAZOWEGO

KSIĄDZ WOJCIECH DANIELSKI (1935–1985)

W Wigilię 1985 r. w Klinice Onkologii w Warszawie, po wielu miesiącach zmagania z chorobą nowotworową, zmarł ks. Wojciech Danielski. Dzisiaj wydaje się on mało rozpoznawalny, ale 40 lat temu jego działalność wpisywała się w dramatyczne doświadczenia Kościoła lat 70. i 80. Rola ks. Danielskiego była znacząca w stanie wojennym, gdy zastąpił on pozostającego na emigracji ks. Franciszka Blachnickiego jako moderator krajowy Ruchu Światło-Życie.

Wojciech Danielski urodził się 10 kwietnia 1935 r. w Milanówku pod Warszawą, w głęboko religijnej rodzinie o tradycjach inteligencko-urzędniczych. Był drugim dzieckiem Władysława i Ireny z domu Wolnickiej. Dorastał w gronie 4 rodzeństwa – starszej siostry Maryli oraz młodszych Andrzeja, Barbary i Haliny. Ojciec,

wywodzący się z rodziny szlacheckiej z Galicji posługującej się herbem Daniel, w okresie międzywojennym pełnił funkcję dyrektora oddziału Banku Gospodarstwa Krajowego, a po wojnie pracował jako wyższy urzędnik bankowy. Matka związana była zawodowo z warszawską Szkołą Handlową dla dziewcząt, gdzie pracowała jako wychowawczyni.

DOM PEŁEN WIARY

Okres okupacji Danielscy spędzili w domu rodzinnym w Zalesiu Górnym; a w miejscowej kaplicy mały Wojciech, w wieku zaledwie 5 lat, rozpoczął służbę przy ołtarzu jako ministrant. Po wojnie przenieśli się do Warszawy – zamieszkali w sąsiedztwie pl. Trzech Krzyży.

Dom rodzinny cechowała głęboka pobożność. Barbara Daniel-Danielska wspominała po latach matkę jako osobę o niemal mistycznej religijności: „Mamusia to była święta kobieta. Ilekroć wchodziłam do pokoju, widziałam ją klęczącą na modlitwie”. Także ojciec dawał przykład wiary – dzień rozpoczynał śpiewem *Kiedy ranne wstają zorze*, a kończył modlitwą pieśni *Wszystkie nasze codzienne sprawy*. Religijny rytm dnia, wspólna modlitwa i świadectwo rodziców ukształtowały duchową atmosferę domu, w którym dorastał przyszły kapłan. Rodzinę dotknęła jednak przedwczesna strata ojca. Władysław Danielski zmarł z powodu choroby serca w 1947 r., w wieku 57 lat. Na matkę spadł ciężar samotnego wychowania 5 dzieci i zapewnienia im bytu.

Na początku lat 50. Wojciech zaczął prowadzić zapiski w formie dziennika. Przez lata, do końca życia, notował swoje przemyślenia i refleksje. A było tego sporo – przeszło 4,5 tys. stron. Spisał także wspomnienia z dzieciństwa. Z wdzięcznością podejmował temat swojej młodości, wychowania religijnego, kochających rodziców i rodzeństwa, wartości, w których wzrastał. Wspominał



OSTATNIE ZDJĘCIE KS. WOJCIECHA
DANIELSKIEGO, JESIEŃ 1985 R.
FOT. ZBIORY BARBARY DANIEL-DANIELSKIEJ

też trudne chwile, których doświadczył w dzieciństwie: „10-letni chłopiec w zburzonej Warszawie przy chorym Ojcu, biega za lekarką, po gruzach zbiera drewno do palenia, nosi wodę z hydrantu w butelce”¹.

WYKŁADOWCA I BADACZ RĘKOPISÓW

W 1951 r. Wojciech Danielski zdał maturę w Gimnazjum im. Wojciecha Górskiego i mimo młodego wieku został przyjęty do Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie, które ukończył w 1956 r. Przez prawie 2 lata nie mógł jednak przyjąć święceń kapłańskich, ponieważ prawo kanoniczne dopuszczało je dopiero po ukończeniu 23. roku życia. Z tego powodu skierowano go na studia z historii Kościoła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Gdy osiągnął wymagany wiek, 29 czerwca 1958 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk bp. Zygmunta Choromańskiego. Następnie skierowano go na 3-letnią posługę duszpasterską: najpierw w parafii pw. Najczystszego Serca Maryi na warszawskiej Pradze, a następnie – na krótko – jako kapelana siostr niepokalanek na Mokotowie.

Chciał pracować naukowo i po otrzymaniu zgody przełożonych powrócił na KUL, gdzie od 1964 r. pełnił funkcję asystenta w Instytucie Historii Kościoła. W 1967 r. obronił pracę doktorską z teologii poświęconą kultowi św. Wojciecha na ziemiach polskich w przedtrydenckich księgach liturgicznych. Od lat 60. przeszło dwie dekady wykładał liturgikę na KUL.

Prowadził także wnikliwe badania historii życia liturgicznego na ziemiach polskich, studiując dziesiątki źródeł, w tym manuskryptów rozproszonych w klasztorach i bibliotekach na terenie kraju. Dzięki perfekcyjnej znajomości łaciny ks. Danielski poddawał analizie często nieczytelne już rękopisy; odnalezione teksty dotyczące liturgii przepisywał ręcznie. Badania te wymagały determinacji i pracowitości, co podkreślają naukowcy zapoznający się z jego pracami. Podejmował również wiele innych aktywności naukowych (opracował m.in. ponad 100 haseł do „Encyklopedii katolickiej” powstającej na KUL), a jego kalendarz był zawsze zapełniony.

¹ Z. Wit, *Pamiętnik księdza Wojciecha Danielskiego jako źródło duchowości kapłańskiej*, [w:] *Przyjaciel Boga i ludzi. Ksiądz Wojciech Danielski*, red. Z. Wit, P. Kulbacki, Kraków–Lublin 2012.

WSPÓŁTWÓRCA OAZY

Na początku lat 60. ks. Danielski poznał studiującego na KUL ks. Franciszka Blachnickiego, który następnie został zatrudniony na uczelni i zajmował się tworzeniem sekcji katechetycznej. Zasięgał wówczas porad ks. Danielskiego, specjalisty od liturgiki. Dzięki tej współpracy ks. Blachnicki dołączył do zespołu liturgistów wspierających wprowadzanie w życie reform Soboru Watykańskiego II. Natomiast ks. Danielski włączył się w organizowane przez ks. Blachnickiego rekolekcje i spotkania liturgiczne dla kapłanów (tzw. oaza kapłańska) odbywające się latem w Krościenku nad Dunajcem. W ośrodku tym powstał też program formacji duchowej dla młodzieży, dorosłych i rodzin. Po 15-dniowych rekolekcjach w czasie tzw. oazy program kontynuowano później w małych grupach parafialnych. Tak narodził się Ruch Światło-Życie, który mimo trudności piętrzonych przez komunistyczne władze rozwijał się w całej Polsce.

Ksiądz Danielski opracował zeszyty formacyjne ruchu oazowego. Angażował się w tworzenie śpiewników i modlitewników, jest autorem wielu modlitw,

■ PIERWSZE WAKACJE W SEMINARIUM, 1952 R. FOT. ZBIORY BARBARY DANIEL-DANIELSKIEJ



przetłumaczył z francuskiego, niemieckiego i angielskiego niemało tekstów psalmów i hymnów. Do najbardziej znanych należą pieśni: *Głoś imię Pana Króla wszechmocy i chwały i Chrystus Pan karmi nas*.

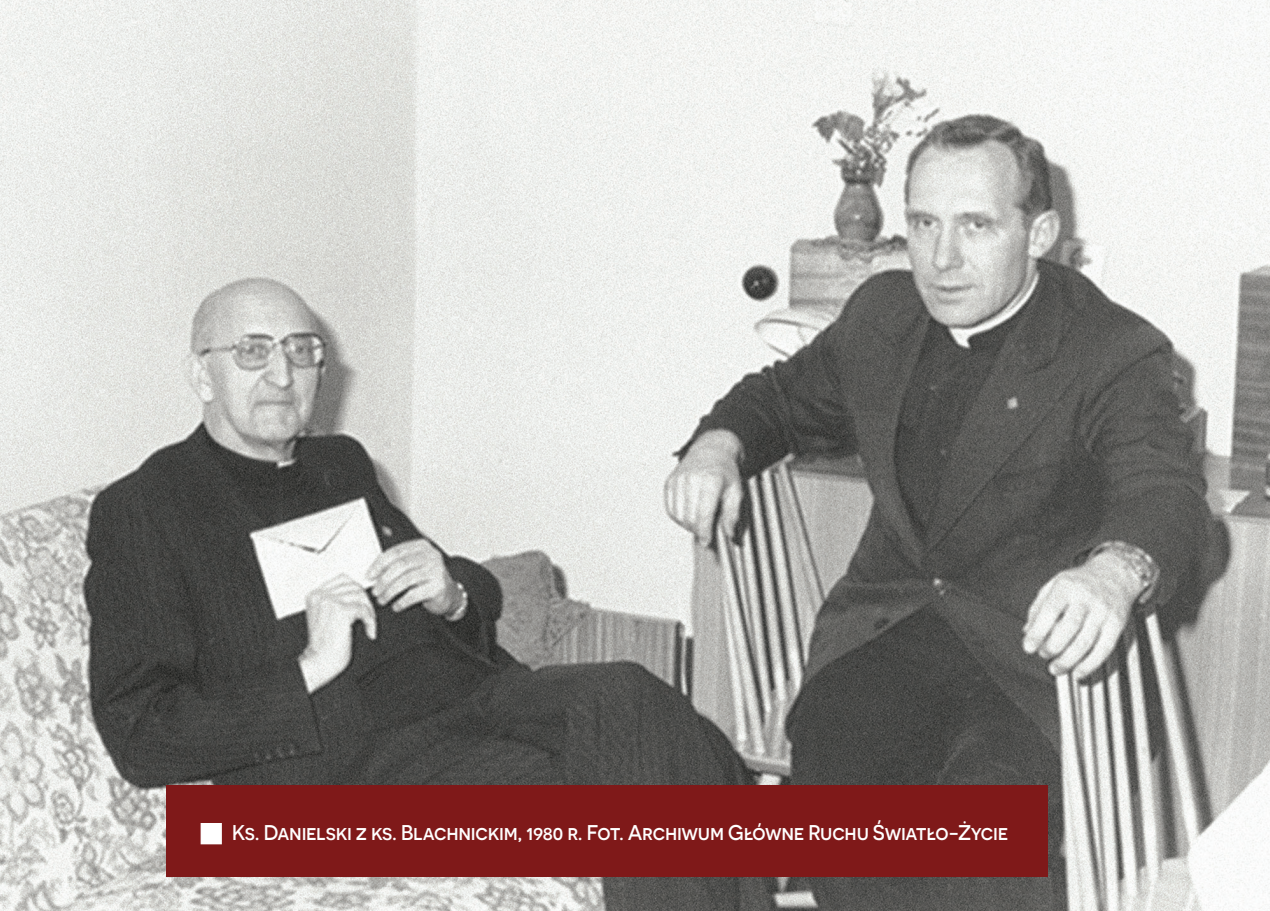
Co roku ks. Danielski podejmował posługę w oazach wakacyjnych, dzieląc się swoją wiedzą ze studentami i księżmi moderatorami kształcącymi się w zakresie liturgiki na KUL. Pod koniec lat 70. na prośbę ks. Blachnickiego kierował budową domu dla księży w Lublinie, który przekazał do dyspozycji Duszpasterstwa Służby Liturgicznej i Ruchu Światło-Życie. Chciał stworzyć w tym miejscu wspólnotę księży na wzór wspólnoty zakonnej. Sam marzył o wstąpieniu do benedyktynów tynieckich. Czuł się jednak zobowiązany wobec uczelni i władz kościelnych, które umożliwiły mu pracę naukową, i nie zdecydował się na ten radykalny krok. W swoich zapiskach w 1958 r. zanotował, że chciałby „żyć jak mnich na emigracji – żyć według ducha św. Benedykta”. „Moje kapłaństwo ma być takie pół-mnisze”² – pisał.

Tym duchem zakonnym faktycznie żył. Jego siostra Barbara wspominała skromność i prostotę brata: „Miał swój mały pokoik z biurczkiem, regałem, pojedynczą szafą i rozkładaną wersalką. Często przyjeżdżał do domu pociągiem czy PKS-em. Wojtuś miał dwie sutanny. Żył i ubierał się skromnie”. Podkreślała jego szacunek i ogromną życzliwość dla ludzi: „W swoim życiu szanował ludzi, szczególnie starszych, bez względu na pochodzenie czy stanowisko. Kochał ludzi. Często widzieliśmy go uśmiechniętego do każdego napotkanego człowieka. Był prawym człowiekiem, delikatnym w kontaktach, nie chciał zwracać uwagi, aby nikogo nie urazić”³.

Wprowadzenie stanu wojennego zastało ks. Blachnickiego za granicą. Zagrożony aresztowaniem postanowił nie wracać do Polski. Wówczas moderatorem krajowym Ruchu Światło-Życie został jeden z jego najbliższych współpracowników, czyli ks. Wojciech Danielski. Praca formacyjna Ruchu odbywała się wtedy pod hasłami: Matka Kościół (1982 r.), Nowy Człowiek (1983 r.), Nowa Wspólnota (1984 r.), Nowa Kultura (1985 r.). Ksiądz Danielski, odwołując się do koncepcji ks. Blachnickiego, wskazywał, jak w codzienności stawać się nowym człowiekiem tworzącym nową wspólnotę promieniującą nową kulturą, opartą na Słowie Bożym i głębokim przeżywaniu liturgii eucharystycznej. Zawsze pogodny, uśmiechnięty i życzliwy, stał się dla wielu wzorem do naśladowania.

² *Ibidem*.

³ Rozmowa autorki z Barbarą Daniel-Danielską, Warszawa, sierpień 2025 r.



■ Ks. DANIELSKI Z KS. BLACHNICKIM, 1980 R. FOT. ARCHIWUM GŁÓWNE RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE

Jeden z członków ruchu oazowego, Marek Pękała, wspominał spotkania prowadzone przez ks. Danielskiego: „Na wyjazdach wstawał o 5 rano by odmówić brewiarz i przygotować homilię. Starał się mówić spokojnie i prosto, unikał patosu, dramatycznych gestów i nadużywania wielkich słów. W homiliach pojawiały się liczne dygresje, ale potrafił trzymać się tematu wyznaczonego przez czytania. Z drugiej strony homilie były mocno zakorzenione w naszych doświadczeniach, w realiach i trudnościach codziennego życia”⁴.

PRZEŚLADOWANY PRZEZ SŁUŻBĘ BEZPIECZEŃSTWA

Dla władzy była to działalność niebezpieczna. Oazowicze, wychowywani w duchu odpowiedzialności, trzeźwości i samodzielnego myślenia, wymykali się państwowej indoktrynacji. Sam ks. Danielski, choć skupiał się na liturgii i katechezie,

⁴ A. Dziągglewska, *Światło przemieniał w życie*, „Oaza. Pismo Ruchu Światło-Życie”, czerwiec-sierpień 2011, s. 43.

był przez komunistyczny aparat represji postrzegany jako człowiek opozycyjny, a Ruch Światło-Życie – jako środowisko potencjalnie niebezpieczne politycznie.

Bezpieka zaczęła się nim interesować na początku 1964 r., gdy w ramach standardowej procedury inwigilacji kleru założono mu Teczke Ewidencji Operacyjnej na Księdza. Z powodu współpracy z ks. Blachnickim i działalności w ruchu oazowym od 1968 r. przez lata odmawiano mu wydania paszportu i zgody na wyjazdy zagraniczne, bez względu na ich cel. Dopiero w 1979 r. mógł pojechać do rodziny w Kanadzie. W latach 80. był także dwukrotnie w Rzymie i spotkał się z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. W aktach Wydziału ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie z lutego 1974 r. pisano o ks. Danielskim: „Jest poważnie zaangażowany w działalność w tak zwanym Duszpasterstwie Służby Liturgicznej oraz ruchu Żywego Kościoła. Często osobiście wygłasza prelekcje – ewentualnie opracowuje je. Jest jednocześnie zwolennikiem stosowanej polityki przez kardynała Wyszyńskiego. Jest przeciwnikiem dialogu z władzami państwowymi”⁵. Jego postawę polityczną i działania SB opisywała następująco: „Reprezentuje on poglądy prozachodnie, przeciwnik ustroju socjalistycznego, robi wszystko dla umocnienia kościoła katolickiego w Polsce. Wrogo ustosunkowany do Służby Bezpieczeństwa”⁶. W zachowanej charakterystyce zapisano również, że ks. Danielski kontaktował się z klerykami, których powołano do odbycia służby wojskowej.

Na początku lutego 1985 r. funkcjonariusze SB dokonali przeszukania w mieszkaniu ks. Danielskiego. Poszukiwali informacji o ks. Blachnickim oraz nielegalnych druków. Znalaziono tylko 1 egzemplarz broszury *Ks. Jerzy Popiełuszko – Homilie*, wydanej przez podziemną oficynę „CDN”. Mimo to wezwano na przesłuchanie w Lublinie nie tylko ks. Danielskiego, ale też jego matkę i siostry zamieszkałe w Warszawie.

MODLITWA CAŁKOWITA

Ksiądz Danielski wielką wagę przykładał do formacji liturgicznej. Ksiądz Blachnicki napisał o nim: „Ks. Wojciech żył dla Pana. Dlatego jego życie było nacechowane wiernością, szczególnie w posłudze liturgicznej. Całą swoją istotą starał się jakby

⁵ Pismo Wydziału do Spraw Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie z 2.02.1974, IPN BU 1004/17935.

⁶ Pismo Naczelnika Wydziału II Komendy Wojewódzkiej MO w Lublinie z 20.08.1970, IPN BU 0204/193.



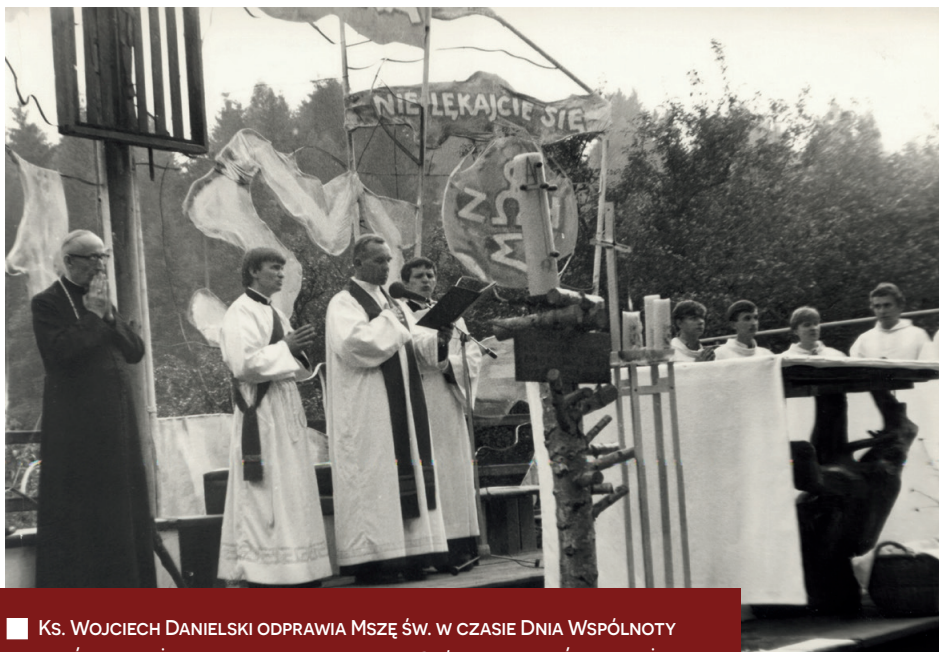
■ WAKACYJNE SPOTKANIE Z MŁODZIEŻĄ W LATACH 70., KS. DANIELSKI STOI W ŚRODKU, UŚMIECHNIĘTY. FOT. ARCHIWUM GŁÓWNE RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE

wydobywać na zewnątrz treści ukryte w znakach, w słowach świętej liturgii. On żył naprawdę liturgią, to znaczy żył Chrystusem”⁷.

Msze św. odprawiał z ogromną dbałością o każdy szczegół, każdy gest i słowo. Uczył, że modlitwa to nie tylko słowa, ale postawa życiowa, w której człowiek ofiaruje całego siebie Bogu Stwórcy. Ułożoną przez siebie modlitwę, w której powierzał się Bogu, kończył słowami: „Weź przeto całe moje siły ciała i ducha, moje zdrowie, mój wygląd, mój głos i moje ruchy, nawet nieświadome – weź wszystkie pomysły, plany i zamiary i całą moją fantazję i wyobraźnię, wszystkie zdolności i możliwości”⁸.

⁷ Ks. Wojciech Danielski – II moderator krajowy Duszpasterstwa Służby Liturgicznej i Ruchu Światło-Życie, <http://tmoch.net/jupgrade/index.php/ciekawe-artykuly/pomoc-duchowa/oazowa-czytelnia/1504-ks-wojciech-danielski-moderator-krajowy-duszpasterstwa-sluzby-liturgicznej-i-ruchu-swiatlo-zycie.html>

⁸ Ks. W. Danielski, *Duchem całym...*, Lublin 1995, s. 103–105.



■ Ks. WOJCIECH DANIELSKI ODPRAWIA MSZĘ ŚW. W CZASIE DNIA WSPÓLNOTY RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE, 1985 R. FOT. ARCHIWUM GŁÓWNE RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE



■ VI KRAJOWA KONGREGACJA ODPOWIEDZIALNYCH RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE; DRUGI OD LEWEJ Ks. FRANCISZEK BŁACHNICKI, CZWARTY Ks. WOJCIECH DANIELSKI, JASNA GÓRA, LUTY 1981 R. ARCHIWUM GŁÓWNE RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE

Modlitwa ta, nazwana przez niego „całkowitą” wskazywała na jego głębokie rozumienie chrześcijańskiej duchowości, zakorzenionej w jedności duszy i ciała: każdy gest, każde słowo i każde działanie może stać się wyrazem miłości do Boga i ludzi.

Nie były to tylko słowa. Ksiądz Danielski starał się żyć na co dzień tą modlitwą. Współpracujący z nim ludzie widzieli w nim oznaki świętości. On sam tej świętości pragnął. W dzienniku swoim zanotował jeszcze przed święceniami: „Seminarium to sanktuarium! Jaki tu jesteś takim będziesz kapłanem! Musisz być świętym! Do słownie. Świętych kapłanów potrzeba, jeśli mają uczyć innych świętości”. Do swojej siostry, która zapytała, czego może mu życzyć na imieniny, powiedział: „Życz mi, abym był świętym kapłanem”. Wydaje się, że to pragnienie udało mu się spełnić. We wspomnieniach osób, które go znały, pojawiają się takie określenia: Boży kapłan, mistyk, ofiarny przyjaciel, kochany ksiądz profesor, święty...

CHOROBA I PRZEDWCZESNA ŚMIERĆ

Ksiądz Danielski bardzo dużo pracował, nie szczędząc sił i zdrowia. Bagatelizował pierwsze objawy choroby nowotworowej. Wiosną 1984 r., gdy coraz gorsze samopoczucie zaczęło znacząco utrudniać mu funkcjonowanie, poddał się leczeniu. Trafił do Instytutu Onkologii w Lublinie. Stwierdzono czerniaka. Z powodu coraz bardziej pogarszającego się stanu zdrowia postanowił wrócić do domu rodzinnego pod opiekę matki i siostr. Pod koniec 1985 r. trafił do warszawskiej Kliniki Onkologii w bardzo złym stanie. Nie przestał jednak służyć ludziom jako kapłan. W kaplicy szpitalnej modlił się za chorych, spowiadał i odprawiał Msze św., wiele osób pojednał z Bogiem.

Nie zapisał się w historii spektakularnymi wydarzeniami, a codzienną wiernością – Bogu, liturgii i ludziom. We wspomnieniach jego uczniów, współpracowników i przyjaciół pozostał skromnym kapłanem, niezwykle wymagającego wobec siebie. Obecnie gromadzone są dokumenty do wszczęcia jego procesu beatyfikacyjnego.



Katarzyna Jóźwik (ur. 1995) – historyk, dr, pracownik Instytutu Pileckiego w Warszawie. Współpracuje z Muzeum ks. Jerzego Popiełuszki w Warszawie. Autorka książki: *„Po prostu jestem z tymi ludźmi”. Działalność ks. Jerzego Popiełuszki w latach 1980–1984* (2024).



WŁODZIMIERZ SULEJA

KOMENDANT I SZEFE

Towarzysz Wiktor i towarzysz Józef. Komendant i „Szeffe”. Marszałek i generał. Historia wzajemnych relacji pomiędzy Józefem Piłsudskim a Kazimierzem Sosnkowskim jest i długa, i niekiedy niełatwa, a nawet bardzo trudna. Historie rozdźwięków między nimi opisał wnikliwie Tadeusz Katelbach w roku 1975 w paryskich „Zeszytach Historycznych”, ale przecież nawet dysonanse nie zdołały zerwać ani nawet nadwzględnić niezwykle silnych więzi, które złączyły ich życiowe ścieżki we wspólnie przebywaną drogę.



zieliła ich spora różnica wieku – Sosnkowski był młodszy od Piłsudskiego o lat 18. W chwili zetknięcia się obu Piłsudski – dziecko wschodnich Kresów, Wilniuk – miał już za sobą syberyjskie zesłanie, intensywną działalność w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej jako redaktor podziemnego „Robotnika”, ale także faktyczne przywództwo tej partii, ponowne uwięzienie, pobyt w warszawskiej Cytadeli i brawurową ucieczkę z petersburskiego szpitala psychiatrycznego, wreszcie przewodzenie Organizacji Bojowej PPS. Sosnkowski z kolei był rodowitym warszawiakiem, studentem architektury tutejszej Politechniki; człowiekiem wprawdzie młodym, ale odważnym i rzutkim, dlatego też Piłsudski, który doskonale znał się na ludziach, mianował go komendantem warszawskiego okręgu partyjnej bojówki. Było to w roku 1906 – właśnie 15 sierpnia w okręgu, którym dowodził, największe rozmiary przybrało zbrojne wystąpienie bojowców, które do historii przeszło jako „krwawa środa”.

SOSNKOWSKI PODĄŻA ZA PIŁSUDSKIM

Rok 1906 to także okres rozłamu w PPS. Ci, którzy poszli wówczas za Piłsudskim, tworząc PPS-Frakcję Rewolucyjną, jako jedyni w całej podzielonej pomiędzy trzy zaborcze potęgi Polsce pozostali przy niepodległościowym sztandarze. Za Piłsudskim podążyła również przytłaczająca większość członków Organizacji Bojowej PPS, a pośród nich Sosnkowski. Był to również czas, gdy próba przekształcenia rosyjskiej rewolucji w kolejne narodowowyzwoleńcze powstanie dobiegała kresu, a ci, których carski żandarm i policjant tropił najzacieklej, bojowcy, o ile nie zawiśli na szubienicy bądź nie powędrowali zesłańczym szlakiem, z konieczności przenosili się do Galicji. Wśród nich był i Sosnkowski, który – po krótkim pobycie w Szwajcarii i we Włoszech – postanowił kontynuować studia politechniczne we Lwowie, a jednocześnie konspiracyjnie koordynował tu poczynania Organizacji Bojowej. To właśnie w stołecznym mieście polskiej prowincji Habsburgów ostatecznie się połączyły drogi Sosnkowskiego i Piłsudskiego.

Stało się to sprawą nowej, irredentystycznej organizacji – Związku Walki Czynnej. Formalnie ZWC zawiązał się w czerwcu 1908 r. we Lwowie właśnie w mieszkaniu Sosnkowskiego, ale jego rzeczywistym pomysłodawcą był Piłsudski. On sam w zebraniu założycielskim uczestniczyć nie mógł, gdyż



■ „SPEŁNIENIE WYROKU ŚMIERCI PRZES PPS” – „NOWOŚCI ILLUSTROWANE”, 26 MAJA 1906 R.
FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA, JBC.BJ.UJ.EDU.PL

finalizował przygotowania do akcji bezdańskiej (przeprowadzonej 26 września 1908 r. – po opanowaniu wagonu pocztowego zdobyto wówczas ponad 200 tys. rubli). Powierzenie tego zadania Sosnkowskiemu świadczyło i o wielkim zaufaniu do młodego współpracownika, i o potrzebie sięgania po nowych ludzi. Sam Sosnkowski wspominał, że przed pierwszymi krokami w sprawie ZWC odbył z Piłsudskim długą rozmowę, dlatego też powołana wówczas konspiracyjna struktura przybrała formułę bezpartyjnej organizacji wojskowej. Powody były dwa: zastąpienie zużytej już, przydatnej w rewolucyjnych zaburzeniach, bojówki i niezbędne w nowych warunkach wyjście poza socjalistyczny obóz.

NAJWAŻNIEJSZY PARTNER W SFERZE PARAMILITARNEJ

W paramilitarnych poczynaniach Sosnkowski stał się głównym pomocnikiem Piłsudskiego, takim jak na gruncie politycznym Walery Sławek. Jego rola wzrosła w momencie pojawienia się jawnego już ruchu strzeleckiego: Związku Strzeleckiego we Lwowie i Towarzystwa „Strzelec” w Krakowie. Piłsudski kierował tymi

działaniami jako (od połowy 1912 r.) Komendant Główny. Szefem sztabu został właśnie Sosnkowski. Od tego czasu utrwalała się formalna, ale i nieformalna zależność – Komendanta i jego „Szefa”.

Komendantem w odczuciu całego swego otoczenia Piłsudski zaczął się stawać od momentu zaangażowania się w poczynania związków strzeleckich. Najcelniejsze świadectwo tej wyraźnej zmiany opisał po latach Michał Sokolnicki, wedle którego opinii dopiero „formy wojskowe dały Piłsudskiemu pożądaną sposobność do rozwinięcia cech rygoru i posłuchu w tym sensie i zakresie, w jakim je uważał dla Polski i dla swej pracy niezbędne. Stopniowo jakby się odosobniał, jakby się cofnął, nawet od najbliższych przyjaciół. Nastąpiła rezerwa w stosunku do jego ludzi, stworzył pewien szerszy dystans, oddzielający go od innych, stopniowo rozmowy przybrały charakter raportów i wydawania rozkazów, a stosunek do niego poszczególnych, nawet bliskich ludzi zaczął przybierać cechy stosunku podkomendnych do komendanta. Wszyscyśmy – podkreślił ten bystry obserwator – świadomie lub instynktownie współdziałali z tym nowym zjawiskiem”.

Piłsudski, na co zgodnie zwracają uwagę znawcy epoki, zaczynał stanowić centralny punkt nowego układu, w którym jego najbliżsi współpracownicy zaczęli odgrywać rolę sztabu. W sztabie tym największy wpływ na przygotowania o czysto wojskowym charakterze zaczynał mieć właśnie Sosnkowski, wspomagany wprawdzie przez Mariana Kukiela, Władysława Sikorskiego czy Stanisława Krynickiego, ale to właśnie on na militarnym obszarze stawał się bez wątpienia numerem dwa. I jeszcze jedna, istotna uwaga. W gronie zwolenników polskiego ruchu militarnego Sosnkowski najlepiej bodaj reprezentował to pokolenie, które stanowiło w przyszłości – legionową oficerską kadrę. A przecież nie była to grupa traktująca opinie Piłsudskiego niczym niepodważalną wyrocznię – decydowały tu czynniki inne: polityczne wyrobienie Komendanta, umiejętność wyjątkowo skutecznego trafiania z argumentacją do odbiory, wreszcie, osobista charyzma. Piłsudski, również dla Sosnkowskiego, choć w większym stopniu dla jeszcze młodszych wiekiem strzelców, roczników z ostatniej dekady XIX stulecia, ucieleśniał ów pokoleniowy „sen o szpadzie”, był dla nich kimś, dzięki komu marzenie o walce orężnej o niepodległą Polskę stawało się realnością.



■ KOMENDANT I SZEFE PRZED FRONTEM ODDZIAŁU ZWIĄZKU STRZELECKIEGO,
ZAKOPANE, 19 SIERNIA 1913 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

LEGIONY

Moment ten nadszedł 6 sierpnia 1914 r., z dniem wymarszu kadrówki. Przez cały okres legionowych zmagañ Sosnkowski pełnił przy boku Piłsudskiego funkcję jego szefa sztabu, w pierw w 1 pułku, a niebawem I Brygadzie Legionów. Wcześniej zaczął też samodzielnie dowodzić. Debiutował już we wrześniu, kiedy Piłsudski, zmuszony do opuszczenia Kielc, rozdzielił swe siły, część dowodzoną właśnie przez Sosnkowskiego posyłając razem z oddziałami pruskimi. Prawdziwy sprawdzian, i to zdany przez Sosnkowskiego celująco, nastąpił jednak w ostatniej dekadzie grudnia. Wówczas to brygada, pod nieobecność chorego Piłsudskiego prowadzona przez „Szefa”, stoczyła najkrwawszy i najdłuższy zarazem bój pod leżącym nieopodal Tarnowa Łowczówkiem.

Na Sosnkowskim Piłsudski mógł po prostu polegać. W legionowych szeregach powierzał mu nie tylko najtrudniejsze wojskowe zadania, ale jednocześnie w prowadzonej przez siebie grze politycznej zlecał niezwykle delikatne misje, które zwykło określać się mianem „licytacji wzwyż” w sprawie polskiej. W grze tej legionowy żołnierz był ważnym atutem, stąd Sosnkowski odgrywał rolę „głosu” Piłsudskiego czy to podczas obrad Rady Pułkowników, czy w trakcie poufnych spotkań z krakowskimi politykami reprezentującymi austro-polską opcję. Przykładowo w styczniu 1916 r., kiedy na tym właśnie forum Sosnkowski przedstawił plan rozbudowy Legionów do rozmiarów silnej, liczącej 150 tys. żołnierzy, armii. Warunek był jeden – na jej czele musiałby stanąć z legionowych szeregów wywodzący się dowódca...

MAGDEBURG

Sosnkowski pożegnał się z Legionami, w ślad za Piłsudskim, we wrześniu 1916 r. Podobnie jak Piłsudski przeniósł się do Królestwa, by wspomagać Brygadiera w pracach komisji wojskowej Tymczasowej Rady Stanu. Również wspólnie z Piłsudskim podczas „kryzysu przysięgowego” został aresztowany przez Niemców. Razem przebyli także więzienny szlak, prowadzący przez Gdańsk, Szpandawę, twierdzę Wesel nad Renem i Magdeburg. Z tym że w cytadeli w Magdeburgu Sosnkowski pojawił się dopiero w sierpniu 1918, w rok po Piłsudskim. Dodajmy, że znacznie szybsze przeniesienie Piłsudskiego zostało na władzach niemieckich po części wymuszone. Do Magdeburga przewieziono go tuż po demonstracji w jego obronie, zorganizowanej przez polskich robotników, wspartych przez niemieckich *Kameraden*...

Przebywając wspólnie, magdeburscy więźniowie studiowali odtąd komunikaty z frontów, dyskutowali, zwłaszcza podczas wspólnych spacerów, wybierając raczej przyszłość, aniżeli rozpamiętując wydarzenia z przeszłości, wreszcie grali w szachy. Obydwaj byli zapalonymi miłośnikami tej królewskiej gry. Początkowo przewagę miał Piłsudski, ale po pewnym czasie liczba kresek na ścianie po stronie Sosnkowskiego – bo tak oznaczali swe zwycięstwa – okazała się większa niż jego szachowego partnera. Jak wspominał Sosnkowski, Brygadier mocno się wówczas zirytował. Niestety, nie prowadzili szachowej notacji, a szkoda. Byłby to dzisiaj niewątpliwy rarytas!



■ STANISŁAW KACZOR-BATOWSKI, *WEJŚCIE I KOMPANII STRZELCÓW DO KIELC 12 SIERPNIA 1914 ROKU*, W ŚRODKU JÓZEF PIŁSUDSKI, PO LEWEJ KAZIMIERZ SOSNKOWSKI. FRAGMENT OBRAZU Z 1935 R. MUZEUM NARODOWE W KIELCACH

Bramy magdeburskiej twierdzy otwarła im niemiecka rewolucja, ta sama, która obaliła tam monarchię. Wieczorem 9 listopada, już z Berlina, specjalny pociąg wraz z byłymi więźniami wyruszył do Warszawy. Do stolicy przybyli wczesnym rankiem 10 listopada. Piłsudski przystąpił niezwłocznie do budowy

państwowego gmachu. Sosnkowski wspierał go w tych poczynaniach w jakże ważnym, ba, kluczowym segmencie – tworzeniu wojska.

GENERAL

Sosnkowski wracał z niemieckiej niewoli w stopniu pułkownika. W połowie listopada, już jako generał podporucznik, stanął na czele najważniejszego okręgu wojskowego, warszawskiego. W czasie, gdy niemal wszystkie granice były płynne, a sąsiedzi wrodoży, Polska musiała mieć armię. Taką, jak ujął to Piłsudski, „by Ojczyzna, zasłonięta piersiami żołnierza, mogła się czuć bezpieczną i przeświadczoną, że honoru jej i praw broni silna i dobrze wyposażona armia”. Sosnkowski myślał w identyczny sposób. A przecież na przełomie grudnia 1918 i stycznia 1919 r. jego życie wisiało na włosku. Świeżo upieczony generał zapadł na hiszpankę, grypę, która w tym czasie zebrała miliony ofiar. Przeszedł ją ciężko, ale już na wiosnę, po rekonwalescencji, mógł przystąpić do pracy.

KIEDY POLSKA WRACA NA MAPĘ

Piłsudski – Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz – był bez wątpienia najważniejszą postacią w czasie, gdy Polska po latach niewoli wracała na mapę Europy. Warto jednak zdawać sobie sprawę, że pomocnicy w tym dziele, tacy jak Sosnkowski, byli bezcenni. Piłsudski umieścił go w Ministerstwie Spraw Wojskowych jako wiceszefa resortu, by w gruncie rzeczy kierował jego pracami. Sosnkowski w praktyce odpowiadał za całą logistykę, bez której frontowy wysiłek mógłby zostać zwyczajnie zaprzepaszczony. Sam określał się mianem „kuratora tyłów”, a przecież wyrывał się również na pierwszą linię. Doczekał tego w połowie maja 1920 r., podczas pierwszej ofensywny bolszewickiej próby, podjętej przez Michaiła Tuchaczewskiego. Wówczas to dwie jego armie – XV znad Dźwiny i XVI operująca w rejonie Borysowa – ruszyły do ataku. Strona Polska, m.in. dzięki wywiadowi radiotelegraficznemu, zaskoczona nie została, ale ofensywne ukraińskie plany musiały zostać skorygowane. Piłsudski wycofał z frontu aż cztery dywizje, wszelako główna rola przypadła Sosnkowskiemu jako dowódcy tzw. Armii Rezerwowej. „Szef”, jak w korespondencji nieodmiennie tytułował go Piłsudski, „uderzył szybko i decydująco”, choć przeciwnik zdołał się jednak z zastawionego nań saku wymknąć. W każdym razie Sosnkowski jako dowódca wielkiej jednostki zadaniu swemu doskonale sprostał.

KORESPONDENCJA DWÓCH

Zachowana (i opublikowana) korespondencja z czasu wyprawy kijowskiej pomiędzy Piłsudskim a Sosnkowskim bardzo plastycznie ukazuje łączące obydwu bohaterów relacje. Wystarczy spojrzeć na nagłówki listów: Piłsudski to „Kochany Komendant”, Sosnkowski zaś „Kochany Szeff”. Ważniejsza jest wszakże inna obserwacja. Z listów wynika niezbiecie, że Sosnkowski był zaufanym „okiem i uchem” swego Komendanta. Każdorazowo wymiana myśli i spostrzeżeń musiała być wcześniej uzgodniona. Piłsudski informował o rozwoju sytuacji na froncie, prosząc zarazem o wieści z kraju. Ze swej strony Sosnkowski rysował plastyczny obraz zmagających się na sejmowym forum, charakteryzował poczynania polityków i ich partii, komunistów nie wyłączając, wreszcie opisywał swe poufne spotkania z dyplomatami czy wysłannikami mniej oficjalnymi, jak np. w kontaktach z Węgrami co do ewentualnej wspólnej akcji w odniesieniu do Słowacji. Był, podkreślmy to raz jeszcze, po prostu niezastąpiony.

MOMENTY NAJTRUDNIEJSZE

W roku 1920 Sosnkowski wspierał Piłsudskiego w momentach najtrudniejszych. Wszedł, razem ze swym Komendantem, do Rady Obrony Państwa. W końcu pierwszej dekady sierpnia stanął na czele Ministerstwa Spraw Wojskowych. Co więcej, podczas przygotowywania kontruderzenia znad Wieprza odgrywał rolę swoistego „odgromnika”, separując Piłsudskiego od zażartych sztabowych sporów, toczonych głównie przez generałów Rozwadowskiego i Weyganda. W zwycięskiej sierpniowo-wrześniowej batalii, gdy Piłsudski osobiście dowodził, Sosnkowski bezpośrednio nie uczestniczył. Jak zwykle pilnował zaplecza.

Ministrem spraw wojskowych (z wielką przerwą od końca maja do połowy grudnia 1923 r.) w kilku kolejnych gabinetach pozostawał Sosnkowski aż do lutego 1924 r. Z tego właśnie czasu pochodzi opinia o „Szefie”, napisana przez Piłsudskiego najprawdopodobniej w grudniu 1922 r., kiedy sporządzał on w ten sposób swoisty publiczny testament, wywołany perspektywą



■ ANDRZEJ PITYŃSKI, JEŻDŹCY – SZKIC DO PROJEKTU POMNIKA KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO.
Z ARCH. ADAMA CEBULI

gwałtownego, niespodziewanego odejścia – głównym impulsem była w tym wypadku śmierć z ręki zamachowca prezydenta Narutowicza. Sosnkowski, obok Edwarda Śmigłego-Rydza, był kandydatem na stanowisko naczelnego wodza, choć Naczelnik przestrzegał, że „łatwo mu stracić wiarę w siebie przy niepowodzeniach i nieszczęściach”. Piłsudski wskazywał też na olbrzymią „umiejętność obcowania z ludźmi – przy czym, konstatował – nawet ulegając wpływom, nie zatracą siebie”. Poza tym jako „człowiek o niezmiernych zdolnościach do pracy bez zmęczenia fizycznego” był jedynym kandydatem Marszałka „na stanowisko szefa sztabu Naczelnego Wodza”, będącym wobec przełożonego „lojalnym i w czasie wojny przejętym wielką cnotą żołnierską – dyscypliną”.

PRZEWROĆCONE RELACJE

W końcu ministerialnej posługi Sosnkowskiego doszło do pierwszego poważniejszego rozdźwięku pomiędzy nim a Marszałkiem. Było to w styczniu 1924 r., kiedy Piłsudski zażądał, by ze swego stanowiska niezwłocznie ustąpił. Marszałek sprzeciwiał się temu, by „Szef” firmował swoim nazwiskiem projekty dotyczące organizacji władz wojskowych sprzeczne z jego oczekiwaniami. „Szef” odmówił. Tłumaaczył, że nie chciał, by jego odejście wywołało kryzys



■ UROCZYSTE WRĘCZENIE BULAWY MARSZAŁKOWSKIEJ ZWYCIĘSIEMU NACZELNEMU WODZOWI JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU. WARSZAWA, PL. ZAMKOWY, 14 LISTOPADA 1920 R. FOT. INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W LONDYNIE

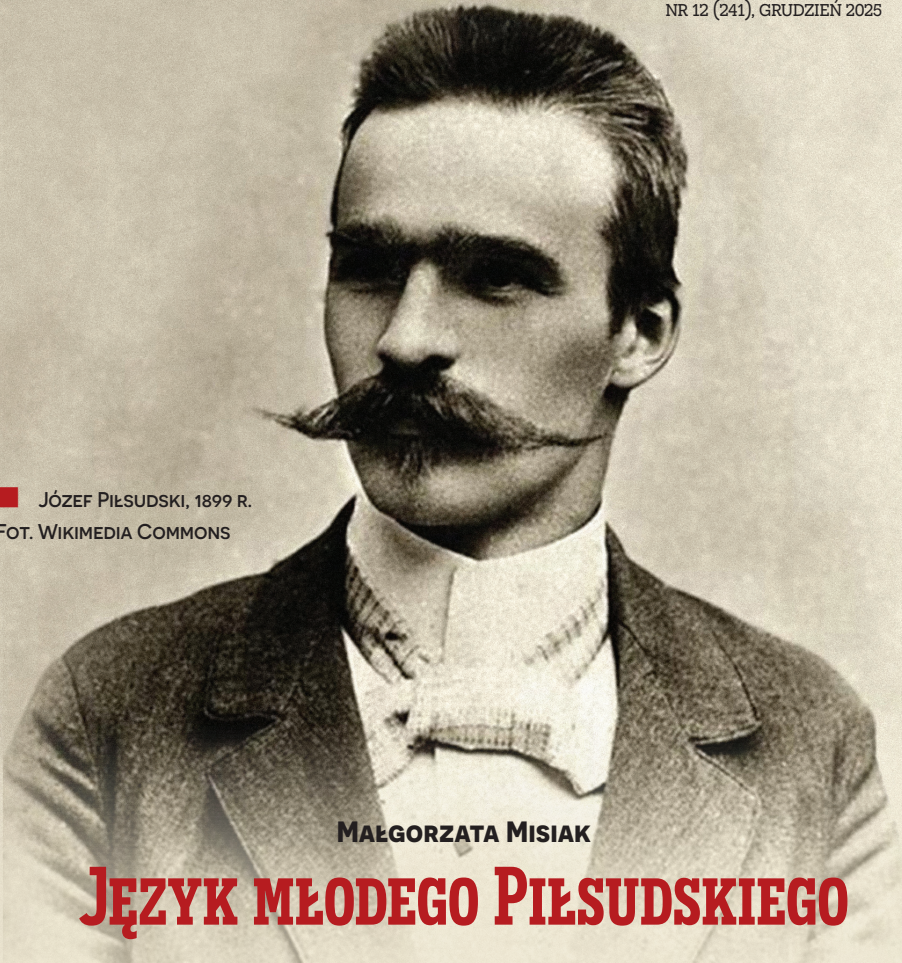
gabinetowy w newralgicznym momencie prac nad reformą walutową. Co więcej, właśnie w tym czasie w parlamencie toczyła się debata nad budżetem wojska, stąd krok taki Sosnkowski traktował jako dezercję. Piłsudski argumentację tę uznał, ale chłód pozostał. Pogłębił się, gdy Sosnkowski usiłował zracjonalizować argumenty prawicy w sporze dotyczącym organizacji najwyższych władz wojskowych w taki sposób, by mogły one być przez Marszałka przyjęte. Tu najprawdopodobniej Sosnkowski po raz pierwszy nie pojął intencji Piłsudskiego, który w odniesieniu do kwestii bezpieczeństwa Polski nie godził się na jakikolwiek kompromis. Sosnkowski natomiast wychodził z założenia, że rozwiązania muszą być zgodne z literą obowiązującej konstytucji.

W kwietniu 1925 r. Sosnkowski został dowódcą Okręgu Korpusu w Poznaniu, a Piłsudski przebywał wciąż na dobrowolnym „wyznaniu” w Sulejówku. Ich wzajemne relacje rozluźniły się jeszcze bardziej, zapewne nie bez wpływu najbliższego otoczenia. Ten daleko już idący brak wzajemnej komunikacji doprowadził do dramatu w maju 1926 r. Dokładnie 12 maja Sosnkowski pojawił się w Warszawie, by następnego dnia wyjechać do Genewy jako reprezentant Rzeczypospolitej na konferencję Ligi Narodów. W Warszawie z otoczenia Piłsudskiego otrzymał instrukcje, by wracać do Poznania. Tam dopadł go niespodziewany rozkaz ministra spraw wojskowych, gen. Juliusza Małczewskiego, by wyekspediować podległe mu poznańskie pułki do Warszawy – przeciwko Piłsudskiemu. Rozkazu tego nie wykonał, gdyż w tej sytuacji bez wyjścia wybrał dramatyczny, lecz honorowy krok. Strzał, prosto w serce, trafił w płuco i spowodował na szczęście tylko ciężką ranę. Sosnkowski przeżył.

Po przewrocie majowym relacje z Piłsudskim nigdy już nie wróciły do wcześniejszej zażyłości. Sosnkowski pozostał w wojsku, gdzie sprawował bardzo ważne funkcje, ale schedę po Piłsudskim przejął Śmigły-Rydz. Dla legionistów, nawet po odejściu Komendanta, wciąż jednak pozostawał „Szefem”.



Włodzimierz Suleja (ur. 1948) – historyk, prof. dr hab., pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 2018–2020 dyrektor Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Józef Piłsudski* (wyd. II 2004); *Dolnośląski Marzec '68. Anatomia protestu* (2006); *„Solidarność” na Dolnym Śląsku 1980–2010* (2010); *Mundur na nim szary... Rzecz o Józefie Piłsudskim (1867–1935)* (2018); *Dawniej to było. Przewodnik po historii Polski* (2019) i in.



■ JÓZEF PIŁSUDSKI, 1899 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

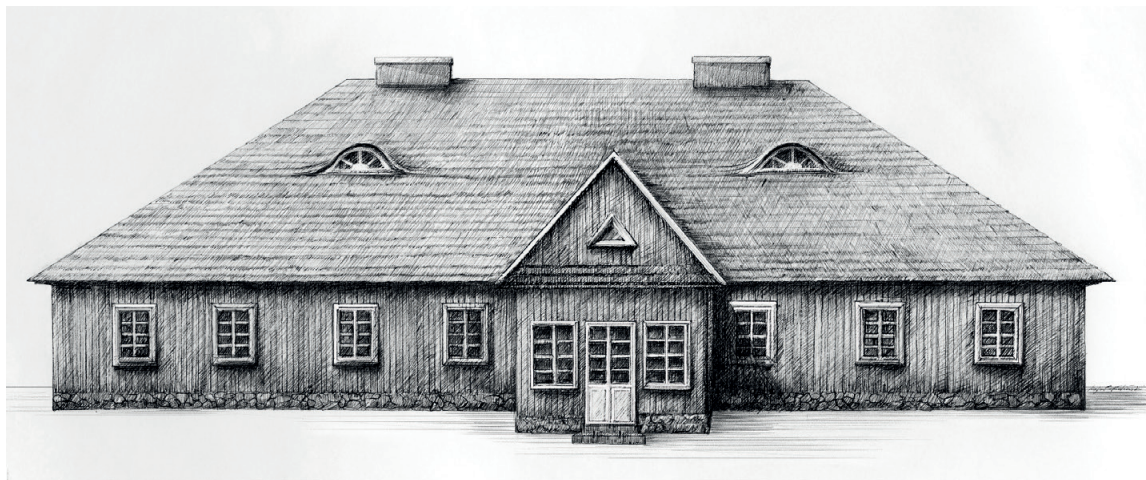
MAŁGORZATA MISIĄK

JĘZYK MŁODEGO PIŁSUDSKIEGO

O języku Piłsudskiego nie pisano dotąd zbyt wiele. Ograniczano się przy tym do analizy języka jego pism, i to jedynie tych, które ukazały się drukiem jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. W nich jednak językowych próbek młodego Piłsudskiego, zwłaszcza przed 25. rokiem życia, praktycznie trudno się doszukać.

M

łodzieńcze teksty udostępnione zostały znacznie później, poczynając od opublikowania przez Władysława Pobóg-Malinowskiego w paryskich „Zeszytach Historycznych” jego listów z zesłania. One to, jak również wczesna korespondencja skierowana do partyjnych towarzyszy spod znaku Polskiej Partii Socjalistycznej oraz wczesna publicystyka pochodząca z podziemnego „Robotnika” i emigracyjnego, londyńskiego „Przedświtu”,



■ RAFAŁ KOLIŃSKI, *DWÓR PIŁSUDSKICH W ZUŁOWIE*, [HTTPS://RAFAELKOLINSKI.BLOGSPOT.COM](https://rafaelkolinski.blogspot.com)

stanowią podstawę niniejszego szkicu. Szkicu, obejmującego okres do, przyjmijmy umownie, 30. roku życia (do 1897).

Józef Piłsudski urodził się w grudniu 1867 r. w Zułowie, nieopodal Wilna, w 3 lata po stłumieniu najdłuższego, a zarazem najkrwawszego z polskich powstań narodowych. Wychowywał się w bardzo bogatym rodzinnym dworze położonym

nad rzeką Merą. Troskliwie się nim opiekowano – jak sam pisał, było to dzieciństwo, które można nazwać „sielskim, anielskim”. Mimo że najbliższe otoczenie stanowiła białoruska wieś, której językiem również potrafił się posługiwać, to jego najmłodsze lata związane są z polską mową. Guwernantki, rzecz zupełnie naturalna w zamożnej, szlacheckiej rodzinie, uczyły go francuskiego (znał go tak dobrze,



■ JÓZEF I BRONISŁAW PIŁSUDSCY, OK. 1873 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

■ KÓŁKO SAMOKSZTAŁCENIOWE
„SPÓJNIA” W GIMNAZJUM WILEŃSKIM;
JÓZEF PIŁSUDSKI DRUGI OD PRAWEJ,
1885 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

że został zwolniony z egzaminu maturalnego) i niemieckiego. W Wilnie, dokąd rodzina przeniosła się z konieczności po tym, jak spłonął żułowski dworek, został posłany do gimnazjum, gdzie można było używać wyłącznie języka rosyjskiego. Tam, obok francuskiego i niemieckiego, uczył się jeszcze łaciny i greki. Te wszystkie informacje wiele mówią o językowym przygotowaniu przyszłego Naczelnika Państwa, choć nie przynoszą jeszcze odpowiedzi na pytanie: jak mówił?



JAK MÓWIŁ, JAK PISAŁ

Przemawiał dużo i przy różnych okazjach, ale głos jego zachował się tylko na gramofonowej płycie nagranej specjalnie dla dzieci. Słyszymy więc śpiewny, kresowy akcent, dziś już – poza Wileńszczyzną – właściwie niespotykany. Ten specyficzny sposób mówienia towarzyszył mu przez całe życie, a zatem także w młodości: w czasach żułowskich, wileńskich, na zesłaniu na Syberii i w pierwszych latach socjalistycznej konspiracji.

Biograf Piłsudskiego, Andrzej Garlicki, tak pisał o jego stylu wypowiedzi: „Mówcą Piłsudski nie był. Nie miał za grosz daru porywania słuchaczy jasną konstrukcją, narastającą dramaturgią przemówienia. Przeciwnie wysławiał się zawile i mało komunikatywnie. O wiele lepiej pisał. Gdy czyta się obfitą korespondencję z tego okresu i konfrontuje z listami z Syberii, uderza bez porównania większa swoboda pisarska. Listy syberyjskie są nieporadne, roi się w nich od rusycyzmów i gramatycznych po-

tworów – listy do Z[wiązku] Z[agranicznego] S[ocjalistów] P[olskich] cechuje styl dobry, swobodny, coraz częściej pojawiają się w nich literackie metafory”.

Garlicki zwrócił uwagę na pewien aspekt: „Piłsudski w tym czasie musiał dużo czytać. Poczynają się bowiem pojawiać w listach aluzje literackie, cytaty z wybitnych dzieł. Przypomina sobie niekiedy szkolną łacinę, używa powiedzeń niemieckich i francuskich, no i oczywiście rosyjskich”. To wszystko prawda, zwłaszcza w odniesieniu do sporej grupy listów z początku lat 90., pisanych do swej pierwszej młodzieńczej miłości, Leonardy Lewandowskiej. Niemniej jednak językiem polskim już wówczas operował sprawnie, wykazując duże wycucie stylowe. Irytowały go na przykład rusycyzmy pojawiające się w listach od Leonardy.

Zarówno w korespondencji, jak i we wczesnej publicystyce Piłsudskiego na porządku dziennym są sformułowania, które językoznawcy określają mianem zapożyczeń leksykalnych. Są to wszelkie wyrażenia i zwroty, które do języka polskiego zostały przeniesione z innych języków. Zapożyczenia leksykalne z języków obcych pojawiają się we wszystkich ówczesnych typach tekstów młodego Piłsudskiego. Najczęściej można dostrzec rusycyzmy, galicyzmy oraz latynizmy, ale obecne są również germanizmy, italianizmy, ukrainizmy (takie jak *prowordyr*, czyli „podżegacz”) oraz białorutenizmy. W tym ostatnim przypadku w listach syberyjskich dało o sobie znać echo wczesnego dzieciństwa – swego ojca Piłsudski określił słowem *bačka* („ojczulek”).

W języku młodego Piłsudskiego zdecydowanie najczęściej pojawiają się rusycyzmy. Mimo że na świadectwie maturalnym wpisano mu ocenę ledwie dostateczną, to rosyjski znał bardzo dobrze. Był wszak poddanym cara. Doskonala znajomość języka pozwalała mu również na samodzielne tłumaczenie rosyjskich tekstów. Przełożył na przykład fragment z Engelsa, który był dla niego łatwiej dostępny w wydaniu w języku rosyjskim. Wykorzystał swój przekład w maju 1895 r., przygotowując artykuł do tzw. jednodniówki „Robotnika”, czyli do specjalnego wydania mającego czasowo zastąpić pismo konspiracyjne pod tym samym tytułem. Przyzwyczajenie, by przeplatać prowadzoną rozmowę charakterystycznymi zwrotami zaczerpniętymi z tego właśnie języka, pozostało mu – jak twierdził jego bliski współpracownik Leon Wasilewski – z czasów pobytu na zesłaniu. Co ciekawe, w listach dłuższe cytaty z rosyjskiego, a nawet pojedyncze wyrazy zapisywał konsekwentnie po rosyjsku, cyrylicą. Szczególnie jest to widoczne w korespondencji, tak prywatnej, syberyjskiej, jak i partyjnej.

List gończy JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

DOKUMENT HISTORYCZNY — NA DZIESIĘCIOLECIE NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Państwowy przestępca

JÓZEF PIŁSUDSKI Szlachcie

RYSOPIS:

Lat 19—1887 r.

Wzrost 1 m. 75. cm.

Twarz czysta

Oczy szare

Włosy ciemnoblond

Bokobrody jasnoblond rzadkie

Brwi ciemnoblond schodzące się

Broda ciemnoblond

Wąsy jasnoblond

Nos normalny

Usta normalne

Zęby nie wszystkie

Podbródek okrągły

Szczególne znamiona:

- 1) Twarz czysta, tylko brwi zra-
stają się nad nosem, 2) Na koń-
cu prawego ucha brodawka.



■ LIST GOŃCZY ZA JÓZEFEM PIŁSUDSKIM Z 1887 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Rozpocznijmy od cytatów leksykalnych. O rosyjskich socjaldemokratach wyrażał się, przykładowo, że organizują się *na polskij obraziec*, czyli „na polską modłę”. Demaskując rusyfikacyjne działania carskich urzędników, pisał z ironią o ich „odkryciu”, że mówią o Rydze jako o świeżo odnalezionym *iskoni ruskom gradie* (odwiecznie rosyjskim grodzie). Wreszcie „najwyższe upomnienie”, które od cara otrzymał jeden z lokalnych dygnitarzy, wieloletni marszałek gubernialny szlachty w okręgu twerskim, Trubnikow, to *wysoczajszij wygawor*.

Fraza o „najwyższym upomnieniu” znalazła się również w zasłyszonym dialogu. Piłsudski cudze wypowiedzi przytaczał również w oryginalnym języku.



■ JÓZEF PIŁSUDSKI PO ARESZTOWANIU PRZEZ OCHRANĘ, 1900 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Obok cytatów, czyli dosłownych, wiernych przytoczeń obcojęzycznych wyrażen, pojawiają się także zapożyczenia właściwe. Są to słowa przejęte z obcego języka wraz ze znaczeniem, przy czym ich forma zostaje dostosowana do systemu gramatycznego polszczyzny. W ten sposób pojawiły się: *swoboda*, czyli: wolność, *solewarka* – warzelnia soli, *zajawlenie* – doniesienie, *jamszczyk* – woźnica, *dura* – głupia, *niebłagonadiożny* – nieprawomyślny, a także *chałuj* – po prostu „cham”.

Znacznie rzadziej spotyka się kalki składniowe (zapożyczenia odwzorowujące obcą konstrukcję składniową). W ten sposób polskie „czekać na kogoś” zamieniło się w „naczekaliście się jej dostatecznie”, natomiast fraza „zabić czas” przybrała postać „by tu czas jakkolwiek ubić”.

Warto również wspomnieć o przytoczeniach przysłów rosyjskich. Są to np.: „wyżej łba uszy nie rosną”, „za grosz amunicji – za rubel ambicji”.

W listach z Syberii, co zrozumiale, znalazły się wyrazy, frazy odnoszące się zarówno do tamtejszej przyrody, jak i panujących stosunków społecznych. Ta grupa zapożyczeń jest relatywnie niewielka, np.: *pichta* to jodła syberyjska, a *brodnie* to

z kolei rodzaj obuwia noszonego na Syberii. W jednym z listów z późnej jesieni 1890 r., który był pisany do Lewandowskiej z Tunki, Piłsudski ironizował, że upodobanie do *brodni* to wymowne świadectwo, że się *oczałdonił* (czyli upodobnił się) do rdzennego mieszkańca Syberii. Na marginesie warto dodać, że czasownik *oczałdonić się* został utworzony od nazwy Czałdon. Tak określano mieszkańca Syberii (ale również niedźwiedzia), który nie należał jednak do żadnego z rdzennych plemion azjatyckich.

Wyborna znajomość języka francuskiego bardzo przydała się Piłsudskiemu na zesłaniu. Między innymi udzielaniem lekcji tego języka dorabiał sobie do skromnej zapomogi, wypłacanej przez carskich urzędników. W Tunce uczył np. synów tamtejszego lekarza Afanasija Iwanowicza Michalewicza. Nie mogą więc dziwić liczne galicyzmy w jego listach. Najczęściej występują one w postaci cytatów: *pardonnez le mot* – czyli: za przeproszeniem, *qui vivra, verra* – kto przeżyje, zobaczy. O niektórych partyjnych współtowarzyszach pisał, że są *plus marxistes que Marx lui-même*, a więc: bardziej marksistowscy niż Marks.

Niewiele z kolei jest wyrazów pochodzenia niemieckiego czy łacińskiego. Głównie występują one w postaci cytatów. Przykładowe germanizmy to: *Geld* – pieniądze, *Geszeft* – podejrzany interes, *na abcugach* – w krótkim czasie, *wzięli za hals*, gdzie pojawiło się niemieckie *Hals* – szyja, gardło. Z kolei latynizmy to chociażby *et cetera* – i tak dalej, *signum temporis* – znak czasu, *de gustibus non est disputandum* – nie dyskutuje się o gustach.

PO KACAPSKU NIEPRZYJEMNIE

Kolejnym ciekawym elementem języka młodego Piłsudskiego są nazwy własne. Rosję nazywał najczęściej Kacapią, tak jak zwykle wówczas mawiano na Litwie. Stąd pojawiają się wyrażenia: *po kacapsku*, *kacapski*, *kacap*. W liście do Lewandowskiej z kwietnia 1890 r. pisał: „Aha, piszesz Lola kwadratna, to po kacapsku” i apelował: „pisz choć z omyłkami, ale po polsku, bo po kacapsku jakoś nieprzyjemnie”. Inne stosowane nazwy na Rosjan to Moskale, ale także „mochy”. Ukraińców określał potoczny, pogardliwym mianem „chochły”, którego źródłem była specyficzna fryzura ukraińska, czub na głowie. Stąd też kilka lat później pisał o *chochłomanii*, czyli o „ukrainofilstwie”.

W sposób specyficzny używał natomiast Piłsudski nazw dla miast. Petersburg to Piter, Warszawa to Warszęga, Galicja – Galilea.

W listach często pojawia się również słownictwo potoczne. Na długiej liście kolokwializmów są zarówno pojedyncze wyrazy, jak i całe wyrażenia. Są zatem i „robociarz”, i „zasrańce”. Nieprzyjazny PPS-owi działacz „prowodyr peterski, o którym piszecie, jest *świnia* co się zwie”. Działacze londyńskich, niecierpliwie oczekujących w końcu 1894 r. na finansowe wsparcie z kraju, pocieszał: „my teraz jesteśmy też *goli, jak święci tureccy*”. A w liście do Centralnego Komitetu Robotniczego, wysłanym z Londynu w marcu 1896 r., zapowiadał: „Ja *nasmaruję* [napiszę] pewno cokolwiek ze stosunków obecnych”.

Piłsudski sięgał po wyraz *facet*. Dodajmy, że pojawia się również jego żeński odpowiednik: *facetka*. Babą nazywał w korespondencji zarówno mieszkanki wsi, służące, jak i ogólnie wszelkie kobiety. W publicystyce zawsze posługiwał się wyrazem *kobieta*. Przy mężczyznach podawał zazwyczaj zawód, sprawowaną funkcję, tytuł lub chociaż zwrot formalny *pan*: *pan Samojło, urzędnik Symonienko, generał Orzewski, p. Kotlarewski, hr. Tyszkiewicz, p. Rajewski*.

ROBOTA

W carskiej Rosji prowadzenie jakiegokolwiek samodzielnej działalności politycznej, a zatem bez zezwolenia władz, było niemożliwe aż do 1905 r. Z konieczności więc wszelka taka aktywność musiała być tajna, niezrozumiała dla postronnych. Z tego powodu Piłsudski, pisząc do współtowarzyszy, posługiwał się specyficznym rodzajem języka, który można określić mianem socjolektu konspiracyjnego.

W listach nie ma nazwisk – są jedynie pseudonimy, a niekiedy tylko pierwsza litera nazwiska. W ten sposób późniejszy prezydent Stanisław Wojciechowski to *Adaś* lub *Wacław*; *Jowisz* to Witold Jodko-Narkiewicz, redaktor „Przedświtu”, w II Rzeczypospolitej dyplomata; a *Gintra* to Maria Gertruda Paszkowska, współorganizatorka ucieczki Piłsudskiego z więzienia, w PPS odpowiadająca m.in. za kolportaż wydawnictw. Ze względów konspiracyjnych zdarzało się też, że dla zmylenia tropów w jednym liście Piłsudski wykorzystywał kilka pseudonimów, pisząc o tej samej osobie. Dotyczyło to przede wszystkim polskiego Tatara, Aleksandra Sulkiewicza, organizującego przemysł nielegalnych wydawnictw przez granicę. Występował on jednocześnie jako: *Broncia*, *Kizia* i *Mały*. Sam Piłsudski w korespondencji używał wówczas pseudonimu *Wiktor*.

Socjolekt konspiracyjny stosowany przez Piłsudskiego wskazuje, że słownictwo tej odmiany języka mieściło się w obrębie trzech ściśle związanych ze sobą grup

obecna była natomiast retoryka socjalistyczna. Piłsudski pisał zatem o *drodze rewolucyjnej, sprawie robotniczej i świadomości klasowej*. Walka klasowa była prowadzona w *imię interesów robotniczych*, a *zwycięski pochód socjalizmu* miał doprowadzić do zrzucenia *kajdan niewoli politycznej*. Robotnicy walczyli jednak i o wolną, niepodległą Polskę, walczyli po to, by wyzwolić się od *barbarzyńskiej Rosji*. Dla członków PPS i szerzej, socjalistów, Piłsudski był *towarzyszem*. On sam również posługiwał się tym zwrotem tak w korespondencji, jak i publicystyce, przy czym po raz pierwszy użył go w liście do redakcji „Przedświtu” w lutym 1893 r.

Na jeszcze jeden charakterystyczny element ówczesnego języka młodego Piłsudskiego warto zwrócić uwagę. W publicystyce, a przede wszystkim w odezwach, których był autorem, daje znać o sobie styl podniosły, nasycony patetycznymi wyrażeniami. Są zatem *kajdany nędzy* oraz *hańbiące kajdany*. Jest *niewola proletariatu*, z powodu której *robotnicy prowadzą bohaterską walkę z rządem*. Jest wreszcie *barbarzyńska Rosja*, na gruzach której *zakwitnąć może drzewo „wolności, równości i braterstwa”*.

Retoryka socjalistyczna, jakiej używał Piłsudski, nie różniła się od stylu tekstów ówczesnych socjalistów, zarówno polskich (np. Edwarda Abramowskiego, Bolesława Antoniego Jędrzejowskiego), jak i zachodnioeuropejskich czy rosyjskich (np. Fryderyka Engelsa, Jerzego Plechanowa). Wszędzie pojawiają się te same zwroty, jak: *walka klasowa, proletariat, sztandar socjalizmu*.

W obozie socjalistycznym Piłsudski dostrzegał jednak dodatkową wartość. Była nią, w co głęboko wierzył, siła sprawcza wolnego słowa, gdyż – jak twierdził – *boi się car polszczyzny nie dlatego, że jest ona polską, lecz dlatego, że niesie ona najniebezpieczniejszą dla niewoli naukę – naukę o potrzebie i konieczności walki z uciskiem i wyzyskiem*.

Analiza języka młodego Piłsudskiego pozwala na jednoznaczny konkluzję – po powrocie z zesłania i w początkach działalności socjalistycznej był już człowiekiem dobrze wykształconym, czytającym, sprawnie operującym rodzimym językiem. A przy tym swój język stale wzbogacał, sięgając po metaforę, niebanalne skojarzenie czy celny cytat.



Małgorzata Misiak – polonistka, dr hab., prof. UW. Pracownik Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego i Biura Badań Historycznych IPN. Autorka książek: *Łemkowie. W kręgu badań nad mniejszościami etnolingwistycznymi w Europie* (2006); *Między Popradem a Oslawą. Tożsamość kulturowo-językowa Łemków w ujęciu etnolingwistycznym* (2018); (współautorka) *Sam jeden i inni. Wrocławskie odczytania twórczości Józefa Mackiewicza* (2024) i in.

TOMASZ SZTURO

SERGIUSZ PIASECKI

ŻYWOT CZŁOWIEKA NIEUJARZMIONEGO

We wrześniu 1964 r. na cmentarzu w Hastings w Wielkiej Brytanii pochowano Sergiusza Piaseckiego. Skromny grób jednej z najbarwniejszych i najpiękniejszych figur polskiej literatury pokrywało rujnujące zapomnienie. I choć staraniem Instytutu Pamięi Narodowej płyta nagrobna została odnowiona, znakomity pisarz i patriota wciąż pozostawał na malowniczej wprawdzie, historycznie przez Wilhelma Zdobywcę w 1066 r. uświetnionej, jednak obcej ziemi, daleko od domu. Powrócił do kraju 29 września 2025 r. Po Mszy św. w katedrze polowej Wojska Polskiego z honorami, w uroczystości z udziałem prezydenta RP, spoczął na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

S

ergiusz Piasecki to bodaj najbardziej romantyczny polski pisarz XX w. Już sama jego biografia taka jest – bujna i wieloraka. Bo miał Piasecki życie barwne, awanturnicze, niczym z powieści przygodowej, ale też dramatyczne, pełne cierpień i napięć. Pozostawał przy tym niezależny, wierny sumieniu i stały w poglądach. Można o nim pisać jako o outsiderze: zbuntowany przeciw zakłamanemu światu, moralnie nieoczywisty – z przeszłością naznaczoną zbrodnią i występkiem.

Zanim odnalazł się jako pisarz, poznał życie wyrzutka, wkroczył w świat przestępczy, w którym zyskał sporą wiarygodność środowiska, z powodzeniem parał się przemytem, w tym także kokainą, od której się uzależnił. Służył jako wywiadowca na rzecz Oddziału II Sztabu Generalnego, próbował wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, dopuszczał się regularnych robojów i napadów rabunkowych, za co został skazany na karę śmierci. Wyrok zmieniono na 15 lat więzienia, które odsiadywał w najcięższym zakładzie karnym, na Świętym Krzyżu. Także i tam dał się poznać jako osobowość trudna i nieokiełznana. Przekładało się to na jego częste pobyty w izolatce (karcerze), z których uzbierało się łącznie 2 lata.

POLSKI VILLON

W więzieniu odkrył w sobie Piasecki zmysł literacki. Zupełnie jak późnośredniowieczny poeta francuski, François Villon. Odnajdujemy u Piaseckiego ten sam łotrzykowski-awanturniczy gen, to samo urzeczenie światem przestępczym, zmitologizowanym, uwznioślonym wedle praw literatury. Odtwarza Piasecki koloryt przestępczych obszarów, czy to przemytniczych (*Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*) czy złodziejskich (*Jabłuszko*). Opisuje techniczne niuanse, terminologię i zasady, odsłania arkana złodziejskiego cechu, rzemiosła, które miało być odległe od wulgarnego roboju i wszelkich form przemocy; to fach wymagający predyspozycji psychofizycznych oraz sumiennego podnoszenia kwalifikacji. „Cechowy” złodziej powinien być przenikliwym obserwatorem i analitykiem ludzkich typów, ma trafnie określać charakter, społeczną naturę i specyfikę dowolnie wskazanej postaci z tłumu.

Piasecki zastrzegał, że jego przestępcze historie nie miały być amoralne, nie miały być pochwałą występku czy „akademią przestępstw”¹. Stanowiły rodzaj moralitetu, wychowawcze napomnienie. Pisarz podkreślał, że rekonstruował biogramy ludzi „wydzie-

¹ S. Piasecki, *Jabłuszko*, Wrocław 1990, s. 2.

dziczonych przez Los”, że portretował ich tragizm². Ukazywał kolejne ich życia nie jako wybór łatwiejszej drogi, tylko konsekwencję społecznych dramatów i niesprawiedliwości. Świat przestępczy to u niego strefa ludzi poniżonych, wykluczonych przez system społeczny. Ich złodziejski fach jest niczym głos sprzeciwu, buntu wobec niesprawiedliwych i zakłamanych norm. Sięga przy tym Piasecki nawet po tony ewangeliczne, jak te z *Jabluska*, pierwszego tomu trylogii złodziejskiej: „To Chrystus powiedział do zbója: »Jutro będziesz ze mną w raju!« Powiedział jak do brata, jak równy do równego. Po prostu fakt mu znany potwierdził. Ani z prawa, ani z lewa Chrystusa nie było uczciwego obywatela, tylko przedstawiciele nasi. Uczciwi to byli ci, co krzyżują każdą śmiałą myśl, każdą nową ideę, każdy szczerzy odruch serca lub duszy, każdy protest!”³.

Po drugiej stronie jest świat ludzi obojętnych, egoistycznych, pozbawionych empatii i skrupułów. W *Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy* ukazywał Piasecki przestrzeń miasta – w tym przypadku Wilna – niczym teatr kłamstw i obłudy, a przeciwstawiał mu świat pogranicza, sferę autentycznych, szczerych relacji i prawdziwych ludzi – przemytników. Miasto u Piaseckiego ukazane jest trochę na wzór darwinowski, jako przestrzeń nieprzyjazna, dobywającą z mieszkańców najbardziej drapieżne i bezwzględne instynkty. Piasec-

² *Ibidem*, s. 3.

³ *Ibidem*, s. 147.





Paso savininko parašas

■ SERGIUSZ PIASECKI (VEL JAN TOMASZEWICZ), SZEF KOMÓRKI LIKWIDACYJNEJ KEDYWU W WILNIE, ODMÓWIŁ WYKONANIA WYROKU ŚMIERCI NA JÓZEFIE MACKIEWICZU, 1943 R.
FOT. BIBLIOTEKA POLSKA W LONDYNIE / AIPN

ki był piewą solidaryzmu, lojalności, określonego kodeksu moralnego, o co upominał się w swoich książkach i co poświadczał swoim życiem. To jeden z tych rzadkich przypadków jedności słów i czynów. Znać w tym wyraźny trop conradowski: ten sam maksymalizm etyczny, ta sama wierność wartościom pomimo okoliczności. Świat Josepha

Conrada określają przecież jednoznaczne kryteria dobra i zła, między którymi muszą wybierać jego bohaterowie. To zaś wiedzie do pojęcia honoru, które i u Conrada, i u Piaseckiego jest niepodzielne. Z drugiej strony obaj potrafili w przenikliwy sposób sportretować mrok kryjący się w ludzkiej naturze, tę ciemną złowrobną tajemnicę, która wyczekuje sprzyjających okoliczności, by się przebudzić.

Jest więc Piasecki znakomitym filozofem ludzkiej natury, przenikającym jej głupotę i skłonność do zła, czego próbkę znajdujemy w przywoływanym *Jabłuszku*: „Niewiele trzeba spostrzegawczości, aby zrozumieć, że podstawową cechą charakteru dziecka jest okrucieństwo, a drugą – egoizm. Dopiero wychowanie łagodzi w nich te zasadnicze strony charakteru i usuwa w cień, gdzie... drzemią⁷⁴. W ukazanym przez niego świecie to diabeł uczy się okrucieństwa i metodycznego zła od ludzi (*Siedem pigulek Lucyfera*).

Można wskazać też bardziej precyzyjne analogie między Piaseckim a Conradem. Joseph Conrad, który uznawany jest za jednego z największych stylistów w dziejach literatury anglojęzycznej, nauczył się języka angielskiego już jako osoba dorosła. Podobnie Piasecki – nie tylko zaczął pisać w więzieniu na Świętym Krzyżu, dopiero wtedy nauczył się języka polskiego, przede wszystkim dzięki lekturze Biblii i „Wiadomości Literackich”. Widać więc u niego ów gen literacki, który tak szybko dał o sobie znać zmysłem opowieści i fabularnej dramaturgii. Z kolei niewiele osób wie, że Conrad również miał w młodości awanturnicze incydenty, w tym udział w przemyśle broni i próbę samobójczą. Piasecki natomiast posiadał w sobie coś z bohaterów Conrada – doświadczenie outsidersa, reprezentanta innego świata zbudowanego z jasnych zasad i wartości.

⁷⁴ *Ibidem*, s. 33.

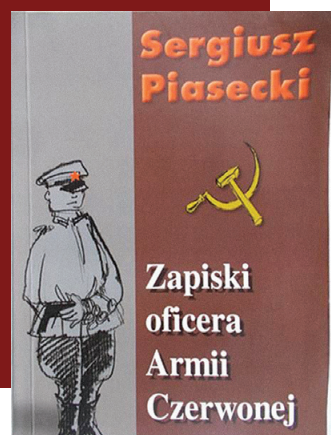
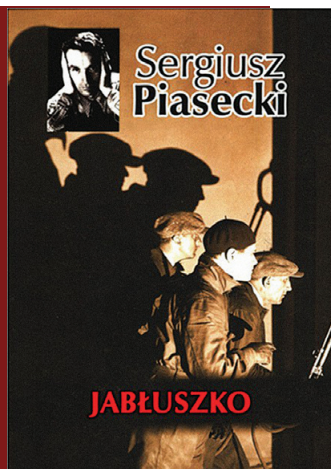
LOGICZNY ANTYKOMUNIZM

Do końca pozostał niezależny i do końca z najwyższą odrazą spoglądał na komunizm i państwo sowieckie. Tę postawę poświadczył zarówno życiem, jak i pisarstwem. Gdy przedstawiciele Związku Walki Zbrojnej zaproponowali mu dowodzenie specjalną grupą wykonującą egzekucje na osobach skazanych przez Polskie Państwo Podziemne, Piasecki propozycję przyjął, jednak nie został członkiem struktur ZWZ ani późniejszej Armii Krajowej, uznając jej stosunek do Sowietów za zbyt łagodny, wręcz ustępliwy.

W swojej działalności konspiracyjnej odznaczał się odwagą na granicy brawury. To on miał też wykonać wyrok śmierci na Józefie Mackiewicz, czego odmówił – widząc w tym haniebną pomyłkę – i czym ocalił temu ostatniemu życie. Ciekawe i dramatyczne to skrzyżowanie losów 2 chyba najbardziej antykomunistycznych pisarzy w naszej literaturze. Antykomunizm Piaseckiego to owoc jego pobytu w Moskwie, gdzie jako młody chłopak stał się świadkiem okropieństw rewolucji październikowej. Nadto system ten był zaprzeczeniem wszystkiego, w co pisarz wierzył. Opierał się na hierarchii kłamstw i obłudy, którymi tak Piasecki gardził. Literackim zapisem tej postawy są 2 powieści, które dobywają całą strukturę zła i ohydy sowieckiego totalizmu. Chodzi tu o *Siedem pigułek Lucyfera* oraz *Zapiski oficera Armii Czerwonej*. W obu posłużył się Piasecki niemalą dozą satyry i groteski, ale pod ich powierzchnią kryje się wszechstronne studium komunistycznego zniewolenia i przemocy.

Zapiski oficera Armii Czerwonej portretują sowiecki moloch z perspektywy jednego z jego funkcjonariuszy, tytułowego oficera, Michaiła Zubowa, postaci świadomie przerysowanej, w której egzemplifikuje się radziecki człowiek. Zubow to figura pod każdym względem odrażająca: prymitywna, ograniczona, konformistyczna. Bezmyślnie powiela propagandowe kłamstwa, nie ma pojęcia o świecie ani nawet o zasadach higieny. Ale instynktownie dopasowuje się do zmiennych reguł. Najbardziej odraża jego obłuda, której miarą jest okrucieństwo wobec osób, u których wcześniej znajdował pomoc. Za ironiczną fasadą umieścił Piasecki ludobójczą naturę sowieckiego świata, zbudowanego z najnędniejszych charakterów.

Jeszcze głębiej w estetyce satyry zakotwiczył Piasecki *Siedem pigułek Lucyfera*. W tej niedługiej powieści (której pełny podtytuł brzmi: *Autentyczne przygody diabła Marka w latach 1945 i 1946 w niepodległej Polsce demokratycznej, odtworzone na podstawie: dokumentów, zeznań świadków, wycinków prasowych oraz własnych obserwacji au-*



tora), sięgając po ironiczną formę, dociera autor do najgłębszej istoty zła. Przede wszystkim demaskuje kłamstwo, na którym zło wzrasta, owo odwrócenie pojęć spinające każdą postać totalitaryzmu. Potrafi Piasecki jakby mimochodem ukazać okrucieństwo i przemoc komunistycznego systemu, odsłonić perfidię i grozę sowieckiego aparatu represji i polskich adeptów enkawudowskiej szkoły. A choć to satyra przede wszystkim portretująca konkretny moment historyczny, nie brak w niej ogólnych refleksji o ludzkiej naturze, m.in. obrazków z chłopską psychologią, jakby dobytých z ludowych podań. Mimo ludyczno-jasełkowej poetyki wydobywa Piasecki z komunistycznego systemu zło, którego skala jest większa niż tylko wymiar polityczny, ma charakter uniwersalny i totalny, w rzeczy samej sięga rejestrów metafizycznych.

W wymiarze fabularnym to opowiadanie o „kwalifikowanym diable 9 kategorii” Marku, który za opieszałość w piekielnych obowiązkach zostaje zesłany na rok do okupowanej przez Sowieków Polski. W swej naiwności i ograniczoności przyjmuje za prawdę rzeczywistość kłamstw i absurdu, wierzy w świat na opak. Dlatego jako najszlachetniejszych na świecie

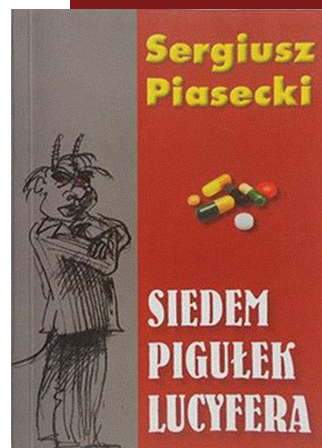
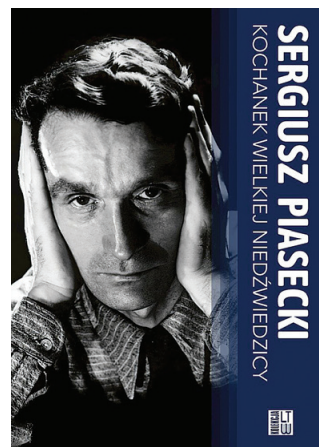
postrzega Rosjan, zwłaszcza żołnierzy, a Związek Sowiecki uważa za najszcześliwsze miejsce na ziemi. Odbywa podróż po zajętych przez komunistów krajach niczym po kręgach ziemskiego piekła. Coraz chętniej odurza się propagandowymi kłamstwami, ze szczerym entuzjazmem podkreśla swoje dla nich oddanie, więc pnie się w partyjnej hierarchii. Jest zresztą jedynym pośród niej, który daje wiarę w komunistyczne hasła i postulaty. Ale nawet jego przerasta skala zła i absurdu; mimo fanatycznego urzeczenia systemem decyduje się więc uciec z niego do piekła.

Przełomowym momentem w życiu Sergiusza Piaseckiego było napisanie *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*. Powieść ta, opublikowana jeszcze gdy jej autor przebywał w więzieniu na Świętym Krzyżu, okazała się wydawniczym objawieniem, zresztą do dziś pozostaje najgłośniejszą książką Piaseckiego. Przysporzyła mu sporej popularności, a przede wszystkim stała się argumentem we wcześniejszym zwolnieniu z więzienia (przy ważnym udziale Melchiora Wańkowicza). To opowieść dobrze

skomponowana, z krwistymi postaciami i pełnowymiarowym światem przedstawionym. Przy tym bardzo malownicza, napisana z awanturniczym nerwem, wiarygodnie odtwarzająca koloryt przemysłowego światka. A na to nanizane miejscowe legendy i zmitologizowane podania, niby baśnie, w których trudno rozstrzygnąć, co jest prawdą, a co owocem wyobraźni. Bo to powieść mocno romantyczna, począwszy od egzotyki pogranicza po metafizykę nocy. Znać w *Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy* echo Mickiewicza (czy to z *Ballad i romansów*, czy z *Sonetów krymskich*), z motywem samotnego wędrowca, któremu w nocnym pejzażu towarzyszą tylko gwiazdy. Świat Sergiusza Piaseckiego to przecież obszar dawnych kresów Rzeczypospolitej, a więc przestrzeń, na której rozkwitł romantyzm. To ta bujna, trochę dzika przyroda pogranicza. Z gęstymi lasami i kurhanami, pośród których snują się widma i upiory. To sfera jednocześnie przyjazna i naznaczona tragicznymi napięciami, nagłą śmiercią i metafizycznym niepokojem.

Kresy Piaseckiego to terytorium zmitologizowane, zamieszkałe przez widma i ożywione legendy, których przykładem jest Kapitańska Mogiła: „Spojrzałem w lewo i zobaczyłem coś białego, szybko poruszającego się w ciemnościach przed nami. Nie była to postać ludzka, bo była zbyt mała i dziwnie wirowała w powietrzu, to unosząc się w górę, to opadając w dół. Chyba było to widmo”⁵. Kapitańska Mogiła jest echem zdrady i cierpień, które rzutują w wymiar nadprzyrodzony.

Powieść obfituje też w ludowe wierzenia i wróżby, w których widać szczelinę „innego” świata. Ważną rolę odgrywają w niej także sny, a ich opisy mają charakter bez mała surrealistyczny, zwłaszcza sen z ożywającymi drzewami, które próbują pochwycić i udusić głównego bohatera⁶. Romantyczną kotwicą powieści jest noc – niczym przyjaciółką głównego bohatera. Noc to właściwie jedna z bohaterów książki. Nocne pejzaże lasu i gwałtowne burze mają w sobie coś gotyckiego, budują nastrój



⁵ S. Piasecki, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, Łomianki 2019, s. 19.

⁶ *Ibidem*, s. 204.

grozy i niesamowitości. Niesamowita jest cała natura, która tchnie jakimś tajemnym życiem i śle zagadkowe symboliczne treści⁷.

Przy czym tak częste wyprawy bohaterów *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*, zanurzających się w mrok przygranicznej puszczy, mają w sobie coś z conradowskiej podróży do serca ciemności. Ale ciemność u Conrada kryje zło, które przenika albo wypęła z głębi ludzkiej psychiki, zło metafizyczne. U Piaseckiego natomiast przyroda to przestrzeń przyjazna, udziela azyłu. Nawet ciemność jest tu schronieniem, daje wytchnienie przemysłom kryjącym się przed bolszewickimi pogranicznikami. Romantyczne echo *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy* stanowi też pośpieszny pogrzeb Grabarza (*nomen omen*), mający w sobie coś pogańskiego: brak chrześcijańskich znamion, w miejsce których wprowadzone są elementy świata przyrody, bo i prowizoryczna mogiła stanie się częścią natury. Podkreśla to więc z przyrodą o znamionach mistycznych lub panteistycznych. Do tego dochodzi współgrająca z nastrojem pogoda: deszcz, wichura, zmrok, a wszystko w jesiennej aurze, co zwielokrotnia efekt jedności ze światem natury. Jest w tym przecież romantyczna sakralizacja przyrody. Nadto obraz samotnego grobu pośród tajemniczej przyrody to pejzaż w stylu Caspara Davida Friedricha lub ballad Mickiewicza.

Powieść Piaseckiego to przygoda indywidualisty. Pochwała samotności, w której jest zew swobody, poczucie pełni i autentyzm. Ale też osamotnienie i smutek podkreślone widokiem samotnych jesiennych liści. Może to i ograna figura, ale jej egzystencjalny ładunek pozostaje niezmiennie prawdziwy. Tak chyba można zamknąć biografię Sergiusza Piaseckiego, który przecież umiłował wolność myśli i poglądów, nie ulegał żadnym konformizmom, pozostawał uczciwy i jednoznaczny w głoszonych poglądach. Zdecydowanie przeciwstawiał się systemom zła i kłamstwom, nawet gdy te były legitymizowane przez autorytety.

⁷ *Ibidem*, s. 208–209.



Tomasz Szturo (ur. 1976) – literaturoznawca, dr. Pracownik Wydawnictwa IPN. Poprzednio nauczyciel licealny i akademicki, zastępca dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, doradca prezesa IPN. Autor pracy doktorskiej: *Aspekty eschatologiczne prozy Waldemara Łysiaka* (2014).

PRENUMERATA

GWARANCJĄ REGULARNEGO OTRZYMYWANIA „BIULETYNU IPN”

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa	INSTYTUT PAMIĘCINARODOWEJ																										odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie
	KURTYKI 102-676 WARSZAWA																										
	71101010100092922231000000																										
	PLN 60													WP													
PRENUMERATA BIULETYNU IPN																											
ODNR. 1-2 / 2026 DONR. 12 / 2026																											

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPLĄCIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

DANE OSOBY,
DLA KTÓREJ
ZAMAWIANA JEST
PRENUMERATA:
IMIĘ NAZWISKO
DOKŁADNY
ADRES

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa	INSTYTUT PAMIĘCINARODOWEJ																										odcinek dla zleceniodawcy
	KURTYKI 102-676 WARSZAWA																										
	71101010100092922231000000																										
	PLN 60													WP													
PRENUMERATA BIULETYNU IPN																											
ODNR. 1-2 / 2026 DONR. 12 / 2026																											

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPLĄCIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

DANE OSOBY,
DLA KTÓREJ
ZAMAWIANA JEST
PRENUMERATA:
IMIĘ NAZWISKO
DOKŁADNY
ADRES

ZAMÓW „BIULETYN IPN” BEZPOŚREDNIO DO DOMU!



**W NASTĘPNYCH NUMERACH POLSKA POLITYKA HISTORYCZNA
W KONTEKŚCIE POLITYKI HISTORYCZNEJ: ROSJI, LITWY,
BIAŁORUSI, UKRAINY, CZECH, SŁOWACJI, WĘGIER I NIEMIEC**

**Koszt prenumeraty
na cały rok**

od nr. 1–2 do nr. 12 2026 wynosi **60 zł.**

Otrzymają Państwo 10 kolejnych numerów pisma

(w tym 2 podwójne po 200 stron i 8 pojedynczych po 160 stron).

Zamówienie prenumeraty można składać za pomocą blankietu
płatniczego zamieszczonego na poprzedniej stronie.

Prosimy o przesłanie informacji o wpłacie

- mailem pod adresem: prenumerata@ipn.gov.pl

- lub pocztą: Instytut Pamięci Narodowej – Księgarnia IPN, ul. Kurtyki 1, 02-676 Warszawa

Wszelkie informacje, w tym także o wysyłce zagranicznej, pod numerem: (22) 544-57-19.

Informacje związane z ochroną danych osobowych: <https://ipn.gov.pl/pl/o-ipn/ochrona-danych-osobowych>

**W PRENUMERACIE TANIEJ
I BEZ DOLICZANIA
KOSZTÓW PRZESYŁKI**